

Radosław Markowski

DEMOKRACJA i DEMOKRATYCZNE INNOWACJE

Z teorią
w praktykę

DEMOKRACJA

Radosław Markowski

DEMOKRACJA

i DEMOKRATYCZNE INNOWACJE

Z teorią w praktykę

Copyright by Instytut Obywatelski
Warszawa 2014

Publikacja dostępna na stronie
www.instytutobywatelski.pl

Redakcja i korekta
Agnieszka Bąk

Projekt graficzny
skład, łamanie
Hanna Milanowicz

Publikacja bezpłatna

ISBN 978-83-63874-27-8



Instytut Obywatelski
ul. Wiejska 12 lok. 9
00-490 Warszawa
tel. 22 459 64 41
www.instytutobywatelski.pl
e-mail: biuro@instytutobywatelski.pl

SPIS TREŚCI

WSTĘP	5
CZĘŚĆ PIERWSZA	
DEMOKRATYCZNE TRADYCJE I IDEE	21
Rozdział 1. Klasycy współczesnych koncepcji demokracji	23
Koncepcja Marksowska	23
Propozycja Weberowska	26
Reakcja Dahla – pluralizm	29
Rozdział 2. Demokracja a rozwój	33
CZĘŚĆ DRUGA	
DYLEMATY WSPÓŁCZESNYCH DEMOKRACJI	45
Rozdział 1. Czy istnieje „dobra” demokracja?	47
Rozdział 2. Modele demokracji a jej jakość	57
CZĘŚĆ TRZECIA	
RECEPTY NAPRAWY	69
Rozdział 1. Doświadczenia demokracji bezpośredniej	70
Rozdział 2. Demokratyczne innowacje	79
Teoretyczne podstawy „deliberatywnego zwrotu”	93
Deliberatywne innowacje: o założeniach	100
Innowacje w demokracji	106
CZĘŚĆ CZWARTA	
DEMOKRACJA XXI WIEKU: NOWE WYZWANIA I DELIBERATYWNA PROPOZYCJA	113
CZĘŚĆ PIĄTA	
PROPOZYCJE ZMIAN – KONKRETNE INNOWACJE	123

Rozdział 1. Założenia ogólne przedsięwzięć demokracji deliberatywnej	125
Rozdział 2. Przykłady konkretnych demokratycznych innowacji (DI)	133
Panele technologiczne – Dania	133
Uczestnictwo w decydowaniu o budżecie – <i>participatory budgeting (PB)</i>	136
<i>Civilocracy</i>	137
Propozycje zmian wyborczych i politycznych	139

CZĘŚĆ SZÓSTA

O TRZECH FUNDAMENTALNYCH ASPEKTACH POLITYKI I DELIBERACJI	145
Rozdział 1. Dyskurs polityczny	147
Rozdział 2. Personalizacja kontaktów – rozmowy „w cztery oczy”	154
Rozdział 3. Standardy dyskursu publicznego	157

CZĘŚĆ SIÓDMA

ODMIENNY PUNKT WIDZENIA: KRYTYKA ZAŁOŻEŃ WSPÓŁCZESNEJ DEMOKRACJI I RÓŻNYCH ASPEKTÓW DEMOKRACJI DELIBERATYWNEJ	161
--	-----

WAŻNE LINKI	171
BIBLIOGRAFIA	172

WSTĘP

Sceptycyzm i krytycyzm wobec demokracji towarzyszy od zarania jej istnienia. Fundamentalne zastrzeżenia mieli klasycy starożytnej myśli politycznej, przez wiele wieków, niemal po współczesność demokracja jako opcja realnego ustroju politycznego nie znajdowała zastosowania w praktyce. Demokratyczne procedury, głosowania i decyzje większości w różnych organizacjach co prawda były stosowane, ale nie stanowiły o istocie relacji międzyludzkich, o logice ładu społeczno-politycznego. Właściwie dopiero od końca XIX wieku mamy do czynienia z – niełatwym, ale jednak – rozpowszechnianiem się tej formy ustrojowej w znanej nam dzisiaj postaci, jako demokracja przedstawicielska o silnych rysach liberalnych, ze znacznymi niszami wyjętymi spod prostych praw dominacji decyzji większości. Nie jest jednak tak, by wiek XX, w którym to stuleciu rozpoczął się sukces tej formy ustrojowej, był monotonna, słodką opowieścią o postępach głosu ludu w kształtowaniu ładu i praktyki politycznej. Wręcz odwrotnie, mieliśmy do czynienia z długimi okresami dominacji autorytarnych i totalitarnych alternatyw wobec demokracji. I nie tylko ich istnienia, ale swoistej prestiżowej dominacji, w której demokrację traktowano – w najlepszym razie – jako historyczną, a najczęściej jako system nierokujący nadziei na rozwój krajów (Huntington 1996).

O wadach demokracji pisano już dwa i pół tysiąca lat temu, niemal od zarania jej istnienia. Kryzysem współczesnej demokracji poważna publicystyka i nauki społeczne zajmują się nieustannie od połowy lat 70. XX wieku. Liczba znakomitych opracowań jest tak długa, iż pozwolę sobie tu tylko na zasygnalizowanie kilku podsumowujących liczne debaty, przywołując

ich najważniejsze tezy. Jedną z pierwszych była książka autorstwa Croziera, Huntingtona i Watanukiego (1975), która podsumowuje stan demokracji w końcówce lat 60. i na początku lat 70. Ówczesne obawy można streścić następująco: przyszłość demokratycznych rządów jest niepewna, następuje dezintegracja ładu społecznego, upadek dyscypliny społecznej, wzrasta niekompetencja liderów politycznych, a jednocześnie alienacja społeczeństwa od polityki.

Ćwierć wieku to dostatecznie długi okres, by zerknąć wstecz i sprawdzić, które z wówczas głoszonych obaw się sprawdziły, a którym udało się zaradzić. Warto też zastanowić się, czy część z tych obaw nie była na wyrost i czy niektóre nie okazały się zbawienne, gdyż zawczasu uruchomiły procesy zapobiegawcze. W 2000 roku została opublikowana książka pod redakcją Roberta Putnama i Susan Pharr pt. *Disaffected Democracies* nawiązująca wprost do tradycji cytowanej wyżej publikacji z 1975 roku. Zanim przytoczę kilka istotnych konkluzji z tej ostatniej publikacji zerknijmy na lata 80. i 90. XX wieku.

Zauważmy na wstępie, że upadek komunizmu i wraz z nim zanik wielu strategicznych zagrożeń spowodowały mniej bezkrytyczne spojrzenie na praktykę liberalnych demokracji i funkcjonowanie rynku. W sferze socjokulturowej zwiększa się indywidualizm, dalszej erozji ulegają wartości tradycyjnej rodziny, stajemy się uzależnieni od środków masowego przekazu, i dotyczy to zarówno sposobu spędzania czasu wolnego, jak i dostarczania nam wiedzy o sferze publicznej. W sferze politycznej, zwłaszcza w latach 80., obawa przed niewydolnością rynku ustępuje miejsca obawie o niewydolność rządów, o zbytne panoszenie się rządzących w sferze gospodarczej i spadek zaufania do sfery politycznej jako całości.

Co w międzyczasie dzieje się z demokracją, a zwłaszcza ludzkiimi wobec niej postawami? Obraz jest dość skomplikowany. Po pierwsze, nie widać spadku atrakcyjności demokracji jako ideału; także dlatego, że nie widać żadnej realnej atrakcyjnej dlań alternatywy. Kryzys demokracji zaczyna być widoczny natomiast na poziomie pośrednim – w ocenach partii politycznych, parlamentu, całej „klasy politycznej”, a także szczegółowych aspektów funkcjonowania demokracji. W końcu lat 90. XX wieku ukazują się wiele poważnych publikacji opisujących nowe zjawisko – pojawienie się „krytycznego obywatela” (P. Norris), „niezadowolonego demokracji” (H.-D. Klingemann) i tym podobnych. Wzrastają wskaźniki „cynizmu politycznego”, braku zaufania do całości klasy politycznej, obniżają się także wskaźniki „poczucia podmiotowości politycznej” i oceny „reaktywności systemu politycznego”. Krótko rzecz ujmując, w ostatnich dwóch dekadach obywatele czerpią coraz mniejszą satysfakcję z ograniczonego wpływu na politykę oraz faktu, że sprawy publiczne są niemal wyłącznie w rękach polityków. Spada uczestnictwo ludzi w polityce: w mityngach politycznych, w działalności na rzecz partii, w członkostwie w partiach, w gotowości do poświęcania czasu sprawom politycznym, a identyfikacja partyjna (uświadamiany i deklarowany związek emocjonalny z wybraną partią polityczną) obniżyła się prawie we wszystkich demokracjach Zachodu.

Czy rzeczywiście jednak należy się martwić tymi nowymi procesami? Może jest tak, że zostaliśmy w latach 60. zbyt mocno zindoktrynowani książką *The Civic Culture: Political Attitudes and Democracy in Five Nations*, lansującą jako jedynie możliwy wzorzec obywatela podobny do greckiego pierwowzoru

– obywatela o wybitnych cnotach obywatelskich (Almond, Verba 1963). A przecież można sobie wyobrazić, że obywatel nieco bardziej cyniczny, a z pewnością krytyczny może być równie dobrym demokratą. Wszak krytycyzm obywateli to objaw zdrowia demokracji, jest naturalnym wynikiem ich aktualnie lepszego wykształcenia i politycznego wyrobienia. Może to wcale nie wysokie poparcie i zaufanie do polityków w pierwszych dekadach powojennych było „naturalnym” i normalnym stanem świadomości obywateli demokracji, lecz obecny poziom krytycyzmu winien być uznany za takowy. Krytyczny obywatel bywa wszak lepszy dla demokracji, bo pozwala wychwytywać zło w zarodku, a nie trwać ślepo w ufności wobec (nie zawsze odpowiedzialnych) elit. Coraz więcej danych wskazuje na to, że dla sprawnego funkcjonowania systemu politycznego nie jest potrzebny **maksymalny** poziom cnót obywatelskich, lecz tylko **optymalny** – taki, który pozwala na skuteczną mobilizację, ściąganie podatków, utrzymywanie ładu i niezbędnego poziomu posłuszeństwa etc., etc.

Co zatem w demokracjach się nie udało? Wiele młodych demokracji nie radzi sobie z monitoringiem władzy, zwłaszcza gdy ta w znacznym zakresie działa tajnie. Styk biznesu i decyzji politycznych prawie wszędzie pozostawia wiele do życzenia, z wyjątkiem kilku krajów Północy Europy. Nepotyzm, klientelizm i czysta korupcja dominują w życiu publicznym większości z nich. Demokracje te nie poradziły sobie też z konsolidacją podstawowej relacji w jej wersjach przedstawicielskich – reprezentacją obywateli przez grupy elit politycznych; które to elity zbyt często nadają priorytet innym sprawom niż chcieliby tego obywatele. Pokażny dorobek praktyczny wskazuje jednak, że w wielu kwestiach tak być musi. Skomplikowana maszyneria demokracji oraz wyzwania, najogólniej rzecz ujmując,

globalnej konkurencji nakazują bowiem, by zarządzanie państwem było w rękach kompetentnych specjalistów, w domyśle – wykształconych elit. Tak jednak nie jest. Elity nie zawsze są światłe. Demokracje cierpią ponadto na zbytne upartyjnienie – politycy kierują się głównie wąsko pojętym, partykularnym interesem organizacji partyjnej.

Demokracja – jak wiemy – to rządy ludu. Tak zakłada normatywna, naiwna teoria tego ustroju. Należy zatem dokładnie doprecyzować, jak rozumieć lud i na czym polega rządy. Te dwie podstawowe kwestie należy uzupełnić trzecią – w demokracjach przedstawicielskich wypada odnieść się klarownie do kwestii, co to znaczy rządy „przez” reprezentantów. Co się tyczy zagadnienia określenia zbioru obywateli, to borykamy się z tym problemem po dzień dzisiejszy. Demokracje stają się coraz bardziej inkluzywne, ale większa część historii tego ustroju to historia uzasadnień wykluczania znacznych odłamów społeczeństwa: młodych, kobiet, mniejszości etnicznych, ludzi o niskim statusie materialnym lub edukacyjnym etc. Do niedawna w Europie istniały państwa, w których osoby płci żeńskiej nie miały prawa głosowania (Francja do 1946, Szwajcaria do 1971). W innych trwałych demokracjach w czasie wojny internowano bez żadnych zasadnych powodów, a co ważniejsze – bez sądowych orzeczeń, całe grupy mniejszości etnicznych (np. Japończyków w USA w okresie drugiej wojny światowej). Przypomnijmy też, że wielkie otwarcia systemów politycznych względem kobiet na Antypodach miały miejsce w ostatniej dekadzie XIX wieku – najpierw w Nowej Zelandii, a potem w Australii. Współcześnie demokracje wykluczają jednostki z prawa do głosowania właściwie tylko ze względu na wiek, a i to rozwiązanie coraz częściej jest kwestionowane.

Tak więc o ile inkluzywność współczesnych demokracji – kwestia, kto jest obywatelem, a kto nim nie jest – nie stanowi obecnie czynnika różnicującego poszczególne państwa uchodzące za skonsolidowane demokracje, o tyle znaczne różnice odnajdujemy w zakresie, w jakim demokracje rządzą lub zarządzają sprawami publicznymi. Mamy do czynienia z demokracjami, tymi o bardziej liberalnym profilu, które ograniczają zakres swej interwencji do niezbędnego minimum, np. w dziedzinie gospodarczej oraz demokracjami o tak zwanym koordynowanym kapitalizmie, z silnymi korporacyjnymi cechami, w których z powagą traktowane są trójstronne umowy między kapitałem, pracą a rządem.

Stopień ingerencji władzy politycznej w sferę prywatną też znacząco różni współczesne demokracje – od tych ujmujących kwestie obyczajowe i prokreacyjne jako należące wyłącznie do sfery prywatnej, po te traktujące te sfery jako słusznie poddawane społecznej kontroli. Większość demokracji traktuje dość rygorystycznie kwestie prawa, porządku i systemu sprawiedliwości, monopolizując te sfery przez państwo, choć – rzecz jasna – ład i bezpieczeństwo publiczne nie musi zależeć wyłącznie od państwowej policji.

W końcu, gdyby na chwilę zapomnieć o greckim pierwowzorze – demokracji bezpośredniej, lecz ograniczonej do niezwykle niskiego odsetka ludzi żyjących w danej wspólnotie – i skoncentrować uwagę na wersji przedstawicielskiej, wypada zdecydować, jak konkretnie rządzenie „przez” przedstawicieli wygląda w szczegółach. Istnieje wiele praktykowanych rozwiązań tego problemu, jednak najbardziej ogólny, a zarazem teoretycznie płodny dylemat został przedstawiony przez Edmun-

da Burke'a w słynnej mowie do wyborców w Bristolu w roku 1774. Samo wystąpienie było dość sprytną manipulacją zebranymi, ale stawiane przez Burke'a pytania do dziś stanowią ważny punkt odniesienia, zwłaszcza dla badaczy kwestii reprezentacji politycznej (Pitkin 1967; Mansbridge 2003). O czym zatem Burke deliberował ponad dwa wieki temu? Po pierwsze (i to stanowi stały odnośnik we współczesnych debatach) rozpatrywał dwie role przedstawiciela: rolę delegata (*delegate*) i rolę powiernika (*trustee*). Ta pierwsza, w największym uproszczeniu, miała polegać na relacji wzorowanej na prostym „pasie transmisyjnym” – przedstawiciel miał reprezentować wolę wyborców, czegokolwiek by oni nie chcieli. Inaczej rzecz ujmując, uznanie i wolna wola reprezentanta jest tu ograniczona do minimum, limitowana właściwie do wyborów natury technicznej. Ta druga, rola powiernika, wręcz odwrotnie – przedstawiciel miał reprezentować interesy wyborców, wykorzystując do tego swoje oceny, kompetencje i rozeznanie w długotrwałych interesach wyborców. W tym ujęciu przedstawiciel dlatego reprezentuje swych wyborców według własnego uznania, że posiada wiedzę i umiejętności, których brakuje większości obywateli, jako że współczesne państwa to skomplikowana maszyna, złożona z licznych powiązanych ze sobą dziedzin, relacje między którymi stanowią dylematy trudne do rozstrzygnięcia nawet dla fachowców. Propozycja Burke'a nie ograniczała się jednak wyłącznie do wyżej wzmiankowanej opozycji; klasyk zwracał też uwagę na znaczenie poziomu, na którym zachodzi reprezentacja, a konkretnie – czy reprezentowane interesy są kwestiami poziomu lokalnego, czy narodowego. Nie będziemy w tym miejscu zagłębiać się w zależności między poziomem reprezentacji a rolami przedstawicielskimi, gdyż powrócimy do tego zagadnienia szczegółowo w dalszej części książki. Warto jednak

podkreślić, że Burke był przekonany, iż na poziomie ogólnokrajowym rola powiernika jest jak najbardziej odpowiednia i pożądana, zaś na poziomie lokalnym rola delegata nie powinna stanowić problemu, gdyż na tym poziomie obywatele posiadają niezbędne merytokratyczne minimum, by sensownie decydować o różnych kwestiach publicznych.

Tak więc podstawowe uniwersum pojęć, znaczeń i zjawisk, w jakim się obracamy, omawiając dylematy demokracji, to: koncepcja *demosu*, sfer, które podlegają zarządzaniu oraz wizja przedstawicielstwa. Są też inne ważne dla rozumienia demokracji zagadnienia, do których będziemy powracać na stronicach tej pracy. Należy do nich rozstrzygnięcie kwestii: czy ludzie muszą respektować prawa ustanawiane przez lud? A jeśli tak, to czy bezwyjątkowo; inaczej rzecz ujmując, jaka jest rola nonkonformizmu i „dewiacji” i przyzwolenie na nie? Jak zapewnić ludziom nie tylko normatywną, ale też rzeczywistą równość we wpływanie na zbiorowe decyzje? Jaki jest status osób świadomie i aktywnie pasywnych – ludzi niebiorących udziału na przykład w wyborach; czy przysługują im takie same prawa, jak aktywnym obywatelom? W jakich sytuacjach i pod jakimi warunkami demokratyczne państwo może coś nakazywać, czegoś zabraniać lub używać przemocy wobec swych obywateli? Co więcej, demokracje funkcjonują odmiennie w zależności od kontekstu historycznego (wojna, głęboka recesja) lub społecznego (bieda, nierówności społeczne).

Zagadnieniem wielce zagmatwanym jest to, czy współczesne demokracje przedstawicielskie, takie jakie znamy (a więc o znacznej roli ciał pośrednich, liberalnych niszach i dominującej roli elit) na pewno są ontologicznie tymi samymi bytami,

co grecki pierwowzór. Przypomnijmy w tym miejscu skróto-wo podstawowe cechy tego ostatniego – demokracji ateńskiej. Autorytety badające starożytny model uczulają nas zwłaszcza na iluzoryczność przekonania, iż demokratyczna władza pochodzi z praktyk greckich polis (Birch 2001: 71 i nast.). Iluzoryczność ta bierze się stąd, iż Grecy co prawda dostarczyli nam pojęcie, ale nie model, mieli ponadto dość mętne wyobrażenie, a właściwie nie mieli go wcale, na przykład o koncepcji praw jednostki – podstawowej idei współczesnych demokracji. Demokracja ta była wysoce ekskluzywna, partycypacja była ograniczona do nielicznych i miała miejsce w małych wspólnotach, gdzie wszyscy uprawnieni do podejmowania decyzji po prostu znali się – lepiej lub gorzej – osobiście, a wokół dominowała gospodarka niewolnicza, co pozwalało na nieskrępowaną deliberację obywateli i poświęcanie swego czasu wolnego na kwestie publiczne. Ci nieliczni mieli prawo decydowania, poprzez głosowanie, o wszystkich najważniejszych sprawach wspólnoty politycznej.

Nawet ten uproszczony szkic istoty demokracji greckiej wskazuje na fundamentalną różnicę między modelem antycznej, bezpośredniej jej wersji a modelem demokracji przedstawicielskiej. W pierwszej z nich *demos*, choć niezwykle ograniczony liczebnie, *de facto* sam dokonuje wyborów i podejmuje wiążące decyzje. W wersji przedstawicielskiej lud o niczym substancjalnym nie decyduje; lud wybiera swych przedstawicieli, deleguje im swą władzę i – mniej lub bardziej skutecznie – kontroluje, co w jego imieniu jest czynione, w końcu rozlicza tych, których upoważnił do zawiadywania sprawami publicznymi. Ostatecznie nie chodzi o to, czy dostrzegamy różnicę, bo ona jest oczywista, ale czy przypadkiem obydwie wersje

demokracji nie są wręcz ontologicznie odmiennymi bytami. W końcu osobiste decydowanie i przyzwalanie na decydowanie za nas to ewidentnie nie to samo.

Nie jest rzecz jasna tak, by sama ontologiczna odmienność obydwu ustrojowych rozwiązań stanowiła o istocie sporów. W ciągu wielowiekowej tradycji debatowania o praktykowaniu demokracji najistotniejszym problemem był jej podstawowy element – *demos*. Od greckiego zarania poprzez twórców amerykańskiej konstytucji – tak sugestywnie uzasadnianej i propagowanej w *Federalist Papers* przez Madisona i Hamiltona – po wstrzeźliwość wodzów rewolucji francuskiej i brytyjskich myślicieli zaprzątniętych efektywnością rządu przedstawicielskiego, ciągle powracającym tematem są ułomności ludu. Wad dostrzegano mnóstwo: od braku merytorycznych kompetencji, niezdolności rozumienia istoty kontraktu, nieuznawania kompromisu oraz konieczności tolerancji i akceptacji mniejszości, po brak poszanowania praw własności i immanentną rywalizacyjną agresywność w relacjach z otoczeniem (Sartori 1987; Manin 1997; Hamilton 1901). Ważkie wątpliwości co do kompetencji obywateli pozostały po dzień dzisiejszy, a wynikają zwłaszcza z rzetelnej analizy problemów demokracji bezpośredniej. Nawrót do jej stosowania nastąpił kilka dekad temu, głównie jako reakcja na domniemane wady i ich powszechność we współczesnej demokracji przedstawicielskiej (Crozier, Huntington, Watanuki 1975). Rozwiązania referendalne i plebiscytowe, tak popularne w wielu współczesnych demokracjach, zostały bardzo rzetelnie przebadane empirycznie przez nauki społeczne, zwłaszcza w takich krajach, jak Szwajcaria, Australia, Włochy, w wielu stanach USA, a konkluzje z tych badań zazwyczaj były dość

ponure. W największym skrócie – demokracja bezpośrednia, choć stanowi panaceum na niektóre niedomogi ustrojowe, zarazem tworzy wiele innych, nierzadko większych, problemów (LeDuc 2002).

Problemem o zasadniczym znaczeniu jest jednak to, w jakim stopniu i dlaczego demokracja ma być uważana za wartość samoistną i niekwestionowalną? I jak ma się ona do takich wartości, jak bezpieczeństwo ludzi czy ich zamożność? Czy aby na pewno gatunek *homo sapiens* marzy głównie o tym, by mieć wpływ na decyzje dotyczące spraw publicznych? Zarówno psychologia, socjologia, jak i nauki społeczne mają co do tego poważne wątpliwości. Huntington (1991) sugestywnie przekonuje nas, że alternatywą wobec demokracji może być przykład Singapuru („singapurski syndrom”), gdzie niezwykle wysoki poziom codziennego bezpieczeństwa obywateli wraz z wysokim poziomem życia oraz oświecone – choć autokratyczne – przywództwo obywateli satysfakcjonuje, a w każdym razie nie wydaje się konfiguracją destabilizującą ład społeczny, ani też sprzyjającą porywom nakierowanym na obalenie takich ustrojów. Singapur jest tu prototypowy; dziś takich krajów jest bowiem znacznie więcej, głównie w Azji Południowo-Wschodniej, co ciekawe – w wielu z nich dominującą religią jest islam (Malezja, Indonezja).

Powyższy dylemat prowadzi nas do kilku innych kwestii, poważnie debatowanych we współczesnej teorii i praktyce demokracji. Po pierwsze, jaka jest relacja między liberalizmem a demokracją? Po drugie, czy rzeczywiście po kilku dekadach intensywnego rozwoju, modernizacji, wysokiej skolaryzacji, sekularyzacji i znacznego wzrostu wyrafinowania politycznego

obywateli ma sens kurczowe trzymanie się ograniczonej, proceduralnej konceptualizacji demokracji zaproponowanej przez Schumpetera (1942). Po trzecie, czy nie nadszedł przypadkiem czas, by poważnie potraktować gettysburskie słowa Lincolna i ujmować demokrację nie tylko jako *government of i by the people*, ale także *for the people*? Inaczej rzecz ujmując, czy nie czas, by elementy ekonomiczne i socjalne, a zwłaszcza kryteria i uzasadnienie polityk redystrybucyjnych ujmować w kategoriach sprawiedliwości społecznej?

W tym ostatnim przypadku chodzi o to, by rządy – oprócz zapewnienia praw obywatelskich i politycznych jednostek – gwarantowały zasoby pozwalające obywatelom z tych praw korzystać. Zasoby te są rozumiane szeroko, ale głównie jako „jakość” samych obywateli (ich wiedzy, umiejętności, materialnych możliwości, zdolności organizacyjnych itp.), jako wyrównywanie nierówności społecznych. Równość czego – pozostaje istotnym pytaniem, ale wtórnym wobec samego zamysłu¹. Najdobitniej wyraził to praktyk polityczny, Julius Nyerere, wieloletni prezydent Tanzanii, który – przypomnijmy – „eksperymentował” z wieloma ustrojami socjopolitycznymi, mówiąc, że w Afryce walka o wolność to po prostu walka o wolność od głodu, od choroby i od biedy. Tak jest w istocie, gdy znaczny odłam społeczeństwa walczy głównie z głodem, stara się o zapewnienie dachu nad głową, gdy choroby są wszechobecne, a bezpieczeństwo jest tak iluzoryczne, że życie ludzkie prawie nic nie jest warte; trudno w takiej sytuacji oczekiwać zaangażowania w sprawy publiczne, a budowa trwałej demokracji staje się nieosiągalna (Cohen 1971). Przypomnijmy, że

1 Z bogatej literatury przedmiotu wypada tu wymienić choćby kilka publikacji: Miller i inni (1967), Kitching (1983), Sen (1992), a zwłaszcza Ringen (2007).

gdy w swej bestsellerowej książce Huntington (1991) analizował, co było przyczyną tak radykalnych i licznych odwrótów od demokracji po tzw. drugiej fali demokratyzacji, to wśród owych makroprzyczyn niepowodzeń i upadków demokracji wymieniał między innymi: nieadekwatność demokracji dla krajów biednych, występowanie wysokich nierówności społecznych (niezależnie od ogólnego poziomu zamożności kraju) oraz analfabetyzm².

Na znaczenie kwestii ekonomicznych dla demokracji i jej jakości zwracają także uwagę Linz i Stepan (1996) w powszechnie cenionym i cytowanym dziele o demokratyzacji i konsolidacji demokracji. W jednej ze wstępnych części książki omawiają pięć sfer, które winny podlegać ocenie, gdy wyrokujemy o stopniu konsolidacji demokracji i jakości tejże. Wśród nich znajdują się trzy sfery wymieniane przez większość znawców problematyki: społeczeństwo obywatelskie, polityczna wspólnota i państwo prawa; jedna uznawana za problematyczną³ – efektywna biurokracja oraz jedna, najbardziej problematyczna, przez wielu teoretyków i badaczy-empiryków uznawana za nienależącą do demokracji – wspólnota ekonomiczna (*economic society*). O co chodzi tym Autorom i co wydaje mi się w tej propozycji niezwykle atrakcyjne i słuszne? Autorzy wyłuszczają dwa uzasadnienia swej propozycji; po pierwsze współcześnie – powiadają – w demokracjach nie może istnieć gospodarka nakazowo-

2 Oprócz wyżej wymienionych przyczyn wskazuje także na: pozostałości feudalizmu i klanową organizację życia społecznego, brak narodowej burżuazji i licznej klasy średniej oraz brak tolerancji wobec odmienności.

3 „Problematyczna” w sensie przynależności do konstytutywnych elementów demokracji, a nie jej ogólnej wagi jako oczywistego zjawiska skorelowanego z demokracją i od niej zależnego.

-rozdzielcza; po drugie, nie sposób też wyobrazić sobie w nich gospodarki kierującej się wyłącznie mechanizmami rynkowymi. Jeśli tak – argumentują dalej Linz i Stepan (1996: 11 i nast.) – współczesne demokracje muszą wykreować zestaw socjopolitycznych norm, procedur, regulacji i instytucji mediujących między państwem a rynkiem. Jest to niezbędne ze względu na czytelność relacji międzyludzkich i skuteczność. Rynki potrzebują prawa korporacyjnego; giełdy winny być regulowane, podobnie jak standaryzacja miar i wag różnego typu; konieczna jest akceptacja składników produktów, a także – a może przede wszystkim – ochrona własności. Ponadto rynki nie są doskonałe, a ich efektywność w różnych obszarach jest zróżnicowana. W końcu istnieją takie obszary, jak edukacja, transport czy ochrona zdrowia, które muszą funkcjonować efektywnie, w przeciwnym przypadku zarówno rynek, jak i codzienna aktywność ludzi narażone są na ogromne dysfunkcje. Krótko: nawet najbardziej liberalne zamysły i procesy polityczne, np. takie jak prywatyzacja, muszą polegać na regulacjach i instytucjach wspartych silnym państwem; słabe państwo kiepsko radzi sobie z wielkimi alokacjami i transferami, zmianami właścicielskimi, w tym z prywatyzacją.

Podobną argumentację na rzecz konieczności państwowej regulacji mechanizmów rynkowych odnajdujemy u Roberta Dahla (1993).

Tak więc jednym z kluczowych problemów demokracji jest relacja między jej komponentem rynkowym a regulacyjnym oraz ideami liberalnymi a populistycznymi. Zauważmy, że źródeł liberalizmu można dopatrywać się w różnych ustrojach i epokach, ale jego rozwój nastąpił głównie w opozycji

do średniowiecznych hierarchicznych struktur, norm i instytucji oraz wobec konserwatyizmu monarchii i założenia o boskim nadaniu jej władzy. Liberalowie walczyli o dwie sprawy: o uznanie władzy za pochodną suwerennej decyzji ludu, a nie za pochodzącą od ponadnaturalnych sił oraz o ograniczanie sfery państwowej na rzecz tego, co dziś nazywamy społeczeństwem obywatelskim. Liberalizm wspierał doktrynę indywidualizmu – przekonanie, że jednostki winny być wolne w kształtowaniu swych oczekiwań, preferencji, wartości i, co najważniejsze, winny mieć nieskrępowane prawo dysponowania swym majątkiem, a własność prywatna winna być chroniona za wszelką cenę. Kwestie politycznej reprezentacji, jej odmian i skuteczności nie zaprzętały początkowo liberałów, bardziej byli skupieni na wolności i jej protekcji.

Konkludując: liberalna demokracja jako pomysł, a zwłaszcza jako zinstytucjonalizowana praktyka ustrojowa była najpierw liberalna, skupiona na ograniczaniu wpływów państwa i eliminowaniu jego domniemanych tendencji autorytarnych, a demokratyczna później, nastawiona na kreację czytelnych struktur elekcyjnych, na legitymizowanym wyborze ciał przedstawicielskich i na rozliczalności polityków. To w tym właśnie historycznym rozwoju idei i praktyki odnajdujemy to, co potem zostało tak sugestywnie opisane przez Roberta Dahla. Wyróżnia on dwa filary demokracji – współzawodnictwo i partycypację – i taką właśnie ich sekwencję pojawiania się, gwarantującą zachowanie stabilności demokracji. Jego wielkie i ważne spostrzeżenie można zreasumować tak: zarówno dla skutecznej implementacji demokracji, jak i dla jej bezproblemowego i efektywnego trwania najlepiej, by najpierw długo praktykować demokrację we własnym gronie, a potem

rozszerzyć jej aplikację na wszystkie grupy społeczne. Większość współczesnych trwałych i jakościowych demokracji zaczęła od wielu dekad praktykowania demokracji ograniczonej do – różnie definiowanych – elit, które testując, „naturalizując” i instytucjonalizując demokratyczne procedury, następnie rozszerzały praktykowanie demokracji na nowe, wchodzące na arenę wyborczą grupy społeczne – głównie klasę robotniczą, kobiety i inne poprzednio wykluczone grupy. Mądrość tej sekwencji polega właśnie na tym, że nowe grupy korzystają z już utrwalonych procedur i instytucji, a dopiero następnie są socjalizowane do przestrzegania demokratycznych reguł gry. Gdy jest inaczej, gdy sekwencja ta jest odwrócona albo obie fazy następują mniej więcej symultanicznie, perspektywy demokracji są gorsze. Inaczej rzecz ujmując, im więcej tradycji w modernizacji czy innowacjach, tym lepiej. Nie przypadkiem najbardziej stabilne państwa demokratyczne Europy (bez autorytarnych nawrotów) to monarchie, dziś „konstytucyjne” rzecz jasna.

CZĘŚĆ PIERWSZA

DEMOKRATYCZNE
TRADYCJE I IDEE

ROZDZIAŁ 1.

Klasyki współczesnych koncepcji demokracji

Historia demokracji, jej rozwoju i rozprzestrzeniania się była opisywana przez wielu i w bardzo różny sposób. W niniejszym opracowaniu nie rościmy sobie pretensji do całościowego opisu tego zagadnienia, staramy się raczej opisać i poddać analizie te jego aspekty, które posłużą nam w dalszej części pracy jako punkty odniesienia do analizy współczesnych dylematów dotyczących demokratycznej teorii i praktyki. I tak, prawie całkowicie zostanie pominięty okres do XIX wieku, a skoncentrujemy uwagę na trzech tradycjach rozwijanych na przełomie XIX i XX wieku – propozycjach Marksa, Webera i Schumpetera oraz Dahla. To one – moim zdaniem – stanowią bardzo istotne podłoże, swoiste filary demokratycznych tradycji, które są warte omówienia.

Koncepcja Marksowska

Będziemy poruszać się chronologicznie, gdyż nowe idee i propozycje nawiązywały do poprzednich. Zaczniemy więc od Karola Marksa – od razu kontrowersyjnie. Jego propozycja w tej kwestii winna być zaklasyfikowana jako liberalna; owszem, „liberalna inaczej”, ale jednak. Marksowi bowiem chodziło przede wszystkim o wolność człowieka, choć rzecz jasna wolność inaczej uzasadnianą i inaczej paradygmatycznie ujmowaną niż u Milla czy u Madisona. W ujęciu tego klasyka wolność była traktowana jako warunek konieczny zapewnienia

realizacji ludzkich aspiracji; dodajmy – jakichkolwiek aspiracji. Wolność to fundamentalna wartość gwarantująca koniec eksploatacji człowieka. By nie było wątpliwości, nie występuje tu metodologiczny redukcjonizm sprowadzający wszystko do poziomu jednostkowego. Jego propozycja to atak na – liberalną właśnie – koncepcję domniemanej neutralności liberalnego państwa i nieskrępowanie wolnej gospodarki rynkowej. Kapitalizm i demokracja okresu opisywanego przez Marksa to sytuacja, gdy państwo – jego zdaniem – znajduje się pod kontrolą klas posiadających, jest swoistym narzędziem w ich ręku zapewniającym dominację, powodującym wyzysk, co prowadzi z kolei do walki klasowej. W konsekwencji naczelny cel i swoiste hasło tego nurtu to: „Precz z państwem”. Zakres demonstacji państwa miał być przy tym totalny, a nie limitowany, jak było w klasycznych koncepcjach liberalizmu.

I tu pojawia się pytanie: co zamiast państwa? Wszak jakiś model kształtowania ładu społeczno-politycznego musi istnieć. Propozycję Marksa można nazwać „piramidalną strukturą samorządową”. Podstawą tej struktury miały być „rady” wybierane oddolnie na różnych poziomach, w której także urzędnicy wyłanianiani mieli być w drodze wyborów, i nawet organy zapewniające ład i porządek (sfera „siłowa” zazwyczaj podległa bezpośrednio władzy państwowej) pozostawać miały pod bezpośrednią kontrolą społeczną wspólnoty.

Powyższy szkic należałoby uzupełnić mnóstwem dodatkowych warunków kontekstu i niezbędnych korelatów wymienianych przez Marksa, takich jak np. zakładana jedność klasy robotniczej oraz jej zdolność do pokonania burżuazji i wyrugowania przywilejów klasowych. W sferze ekonomicznej

postulowana była sytuacja – dla niektórych wielce wątpliwa – wysokiego poziomu efektywności ekonomicznej, racjonalności planowania wykorzystywania zasobów czy względnie bezproblemowy rozwój sił wytwórczych.

Tak więc mamy do czynienia z wersją demokracji niemal bezpośredniej, gdzie obywatele w sposób nieskrępowany i oddolny, bez zinstytucjonalizowanej przemocy i wpływów tradycyjnie rozumianego państwa, kształtują ład demokratyczny.

Pośród wielu krytyk koncepcji Marksowskiej najbardziej zasadnicza, a zarazem najtrafniejsza z punktu widzenia praktyki demokratycznej, wydaje się ta sformułowana przez Maxa Webera. Zanim skrótowo omówimy szerszy kontekst propozycji Webera, przejdźmy wprost do jego krytyki Marksa. Zastrzeżenia te były bardziej skomplikowane i stonowane niż prezentowane tu moje streszczenie, by nie powiedzieć uproszczenie. Jest ono jednak celowe. I tak, Weber nie uważał, by proponowana przez Marksa koncepcja (i wiele innych krytycznych uwag o różnych wersjach demokracji bezpośredniej we współczesnych społeczeństwach) nie miała zastosowania. Postrzegał sugerowane rozwiązanie za jak najbardziej możliwe (i tu trochę jak w dowcipach o Radiu Erewań), ale tylko wówczas, gdyby organizacje spełniały następujące warunki: (a) pozycje społeczne członków wspólnoty winny być podobne, a w każdym razie niezbyt zróżnicowane, (b) funkcje administracyjne muszą być stałe i możliwie proste, a w każdym razie niekompleksowe; i dwie kwestie – moim zdaniem – o fundamentalnym znaczeniu: (c) członków wspólnoty musi cechować „merytoryczne minimum” niezbędne do kompetentnego podejmowania wiążących decyzji, inaczej mówiąc, obywatele muszą być

dobrze poinformowani i potrafiący radzić sobie z rozumieniem zjawisk i procesów, odnośnie do których mają podejmować decyzje, (d) w końcu najważniejsze, by demokracja bezpośrednia działała skutecznie, organizacja musi być lokalna lub inaczej ograniczona, a w każdym razie o niezbyt wielkiej liczbie członków (Weber 1978).

Ten prosty zarys krytyki Webera prowadzi nas do konkluzji, że demokracja bezpośrednia proponowana przez Marksa jest całkowicie nieadekwatna do współczesnych skomplikowanych społeczeństw, choć z pewnością może stanowić mechanizm uzupełniający na poziomie fabryk, gmin czy innych niezbyt licznych ciał wspólnotowych.

A teraz o pozytywnym zamyśle Maxa Webera.

Propozycja Weberowska

Na początek przywołajmy Weberowski „sos”, w jakim jego propozycja modelu demokracji jest ulokowana. Uniwersum pojęć, jakim posługuje się Weber, składa się z biurokracji i biurokratycznej racjonalności, modeli legitymizacji władzy, plebiscytarności wyborów, politycznych elit i ich znaczenia, charyzmatycznego przywództwa itp.

Sama zaś jego koncepcja demokracji została nazwana „elitarną”. Koncepcja ta była restrykcyjna i traktowana jako środek wybierania decydentów oraz mechanizm zapobiegania potencjalnym ekscesom władzy. Weber był dość sceptyczny na temat domniemanych politycznych umiejętności i wiedzy politycznej przeciętnego obywatela. Nie dziwota, przypomnijmy, że jego

poglądy w tej sprawie kształtowały się na przełomie XIX i XX wieku. Z tego właśnie względu tak ogromne znaczenie przypisywał profesjonalnej, neutralnej klasie biurokracji oraz elitom politycznym. To one miały panować nad skomplikowanymi zależnościami współczesnych złożonych społeczeństw i proponować ludowi uproszczone wersje programów politycznych, a nierzadko całkiem skrótowe wersje ideologicznych orientacji. Oprócz założenia o kompleksowości mechanizmów społecznych jest w tym opisie także przekonanie o naturalnej bierności (większości) elektoratu, choć rzecz jasna mamy tu do czynienia ze sprzężeniem zwrotnym – ta bierność bierze się z braku politycznej wiedzy i kompetencji.

Warto w tym miejscu podkreślić, że nie chodzi tu o zjawisko tak sugestywnie zaproponowane pół wieku później przez Anthony'ego Downsa (1957), a nazwane „racjonalną ignorancją” (*rational ignorance*) wyborcy, które dotyczyło nieopłacalności dla jednostek inwestowania swego czasu w rozeznanie się w zawiłych kwestiach polityk sektorowych. Weber zaś po prostu uważa, że przeciętnemu obywatelowi nie tyle nie opłaca się nabywać wyrafinowaną wiedzę o polityce, ile po prostu jej nie posiada, nie stanowi ona zasobu do wykorzystania przez niego, chyba że wiedza ta jest nieskomplikowana i dotyczy spraw lokalnych.

Samą procedurę demokracji Weber metaforycznie porównywał do rynku, na którym wyłania się liderów, odrzuca słabych, a akceptuje zdolnych. Nazwał ją „demokracją plebiscytarną”, cechującą się dominacją emocji nad racjami, nastawioną na wybór elit. Przekonywał, że procedurę tę można nazwać „wybieralną dyktaturą”, był sceptycznie nastawiony do równości

ludzi. Uważał natomiast, że możliwa jest równość względem procedur wybierania liderów. W skrócie, rolę *demosu* uważał za marginalną, a za główny problem demokracji – znalezienie równowagi między polityczną władzą a jej odpowiedzialnością.

Bezpośrednim kontynuatorem Weberowskiego ujęcia, a zarazem propagatorem nowego elitarnego podejścia do demokracji stał się – kilka dekad później – Joseph Schumpeter (1942). Przez ostatnie kilka dekad jego koncepcja stała się najczęstszym punktem odniesienia zarówno dla teoretyków, jak i empiryków analizy współczesnych demokracji. Jego praca jest wzorem podejścia pragmatycznego – poświęcona była głównie znalezieniu odpowiedzi na pytanie: jak demokracja działa? Celowo w swych dociekaniach odrzucał wszystkie dokonania spekulatywne i normatywne. Dla Schumpetera demokracja to polityczna struktura i metoda, swoista instytucjonalna konfiguracja pozwalająca na podejmowanie decyzji politycznych poprzez uprawnienia delegowane jednostkom wybranym w wyborach (1942: 269). I co najważniejsze, w jego koncepcji demokracja może służyć, jako środek, wielu rzeczom: czy to osiągnięciu równości, czy to wolności, czy sprawiedliwości społecznej, ale nie należy mylić samej demokracji jako procedury właśnie z celami, którym ma służyć.

Istoty demokracji upatrywał w tym, że obywatele mają możliwość: (a) cyklicznej zmiany jednej władzy (rządu) na inną, (b) realistycznego wyboru między co najmniej dwiema opcjami politycznymi, (c) ochrony przed władzą autorytarną i nieusuwalną. Podobnie jak Weber, chciał klarownego oddzielenia państwa od społeczeństwa. Fundamentalny problem, z jakiego

zdawał sobie sprawę, to kwestia – czy w jakimkolwiek sensie ujęcie to zakłada „rządy ludu”. I odpowiadał sobie, że jego koncepcja jest dość daleka od założenia, by lud w jakikolwiek sposób „rządził”. To, co w demokracjach lud może robić, to korzystać z cyklicznych okazji, by polityków nieudolnych odsuwać od władzy, a zdolnym przedłużać mandat. W konsekwencji można zaryzykować tezę, że właściwie demokracja to rządy polityków, nadzorowanych i kontrolowanych przez lud. Co więcej, istnieje tu swoisty podział pracy między wyborcami i politykami. Wyborcy wybierają, a reszta to polityczny biznes. Wyborcy ponadto nie powinni ingerować w to, co robią wybrani politycy, nie powinni ich szczegółowo instruować. Powinni powstrzymać się od oceniania ich w trakcie pracy, nie powinni także pochopnie wycofywać swojego poparcia dla nich podczas trwania kadencji. Jedyna okazja do wyrażania swoich preferencji to wybory.

I tak wracamy do pytania zasygnalizowanego we wstępie: czy te dwie formy demokracji – antyczna, bezpośrednia, w której lud podejmuje konkretne decyzje, i ta, w której podejmowanie decyzji lud ceduje na wybranych przez siebie przedstawicieli, w ogóle można wrzucać do tego samego ontologicznego koszyka?

Reakcja Dahla – pluralizm

Propozycje Webera i Schumpetera doczekały się poważnego konkurenta już w końcu lat 50. XX wieku, w postaci teorii zaproponowanej przez amerykańskiego Norwega Roberta Dahla. Używając przestrzennych metafor, koncepcję elitarystów można by nazwać pionową – „na dole” niezbyt wyrafinowany suweren, głównie ze względu na swe intelektualne

ograniczenia, musi cedować swe decyzyjne uprawnienia „do góry”, elitom, które w jego imieniu podejmują decyzje polityczne. Między tymi dwoma poziomami właściwie nie ma żadnych instytucji, organizacji i pośredników, tylko cykliczne wybory, decydujące, która grupa elit będzie rządziła.

Dahl (1956) uznał, że obraz ten jest znacznie uproszczony. Z perspektywy amerykańskiej, drugiej połowy XX wieku uproszczenie to dotyczyło głównie istnienia właśnie owych – szeroko rozumianych – „pośredników”, bogactwa organizacyjnego społeczeństwa obywatelskiego: stowarzyszeń, klubów, związków zawodowych, parafialnych czy biznesowych organizacji etc. Co prawda Dahl i inni pluraliści nie negowali faktu słabego wyrafinowania publicznego przeciętnego obywatela i politycznej bierności mas, ale nie uważali, by koncentracja władzy w rękach elit była koniecznością. Dahl przywoływał zwłaszcza myśl polityczną Madisona, który – inaczej niż większość liberałów – wykraczał poza troskę o wolności jednostki i poważniej traktował mezostruktury społeczne, właśnie owe stowarzyszenia, kluby itp. (1956: 61 i nast.). Pluraliści i Dahl podkreślają zatem ogromne znaczenie istnienia owej mezostrukturalnej różnorodności, frakcji i grup interesu, których liczba i odmiennosc winna być pieczołowicie chroniona, gdyż stanowi podstawę należytej reprezentacji odmiennych interesów społecznych i – co ważne – zinstytucjonalizowany mechanizm ich agregacji. To właśnie ten mechanizm negocjacji i grupowania interesów jednostkowych w programowe pakiety polityczne stanowi podstawę trwałości systemu i ładu politycznego; ich mnogość zaś jest gwarantem demokratycznej równowagi. Dzieje się tak ze względu na rynkowość dóbr i zasobów, jakimi dysponują ludzie. Wszyscy – powiada się w tym nurcie

myślenia – każda grupa społeczna posiada w nadmiarze coś, co można zaoferować innym. Nie tylko pieniądze czy wpływy się liczą, bezrobotny ma mnóstwo czasu, co jest ważnym zasobem, trzeba tylko trafnie go zagospodarować. Oznacza to jednocześnie, że każda grupa, po pierwsze, staje się atrakcyjna dla innych, oraz że wpływ każdej z tych grup na życie publiczne waha się w zależności od kwestii, na jakiej się koncentrujemy. Demokratyczne życie polityczne w tym ujęciu to stały proces negocjacji, przetargów i wymiany między poszczególnymi grupami. A ponieważ każda z nich jest względnie mała, powstają konstelacje koalicji nastawione na realizację konkretnych interesów i celów. Każda z tych konstelacji może mieć różny skład w zależności od celu, do jakiego została powołana; i nie ma w nich stałości – ci sami aktorzy zbiorowi w różnych sprawach, w różnych okresach mogą zawierać odmienne koalicje.

Tak więc władza jest tu – inaczej niż w koncepcji demokracji elitarniej – niehierarchiczna, jest pozioma. Władza to niekończący się proces przetargów i kooperacji między podmiotami reprezentującymi różne interesy. Europejska perspektywa jest nieco odmienna, w Europie bowiem demokratyczna polityka oparta była na bardziej trwałych podziałach, nazywanych rozłamami socjopolitycznymi (Lipset, Rokkan 1967; Bartolini, Mair 1990), gdzie agregacja interesów zazwyczaj następowała na poziomie klas społecznych, a korporacyjna kultura gospodarcza czy polityczne „filarowe” rozwiązanie (typu holenderskiego) grupowało, najczęściej w opozycji do innych grup, znaczne i liczebne agregaty społeczne, na dodatek zazwyczaj na całe życie. W Stanach Zjednoczonych strukturalna odmienność reprezentacji interesów i cała logika demokratycznej polityki jest dość oczywista, co nie znaczy, że niektóre interesy nie są agregowane w większe całości.

Pluralistyczna koncepcja zakłada, że właśnie dzięki owej mozaikowości interesów i ich liczbie nie ukonstytuuje się żadna trwale zjednoczona większość mogąca zagrozić porządkowi politycznemu. Pluraliści, Dahl w szczególności, obawiali się raczej czegoś innego – czy właśnie owo rozproszenie interesów i ich mała trwałość nie będzie przeszkodą w skutecznej akcji zbiorowej. Konkludując, wypada powiedzieć tak: demokracja w ujęciu pluralistów to *de facto* rządy mniejszości, a dokładniej liczne większościowe nietrwałe koalicje złożone z mniejszościowych grup. Te liczne konfiguracje nietrwałych większości decydują o trwałości demokracji. Tak jak dla Schumpetera demokratyczna polityka to współzawodnictwo elit, tak dla Dahla i pluralistów jest ona oparta na zmiennych konsensusowych konstelacjach różnych grup. Władza państwowa jest tu głównie mediatorem tych sprzecznych interesów.

ROZDZIAŁ 2.

Demokracja a rozwój

Związki demokracji z różnymi aspektami rzeczywistości ekonomicznej i – szerzej – rozwoju społecznego są złożone i bardzo różnie ujmowane przez poszczególnych badaczy. Jedni po prostu wskazują na współwystępowanie trwałych demokracji i wysokiego rozwoju społecznego czy gospodarczego (Lipset 1959), inni odnoszą to do modelowych rozwiązań kapitalizmu (Rueschemeyer, Stephens, Stephens 1992; Hall, Soskice 2001), jeszcze inni podkreślają fundamentalną opozycję logiki rynku i demokracji (Przeworski 1991), są też tacy, którzy skupiają się na sferze redystrybucyjnej, czy to w formie zinstytucjonalizowanej *via* modele państw dobrobytu (Esping-Andersen 1990), czy też koncentrują się wprost na mechanizmach podziału (Boix 2003).

Wiele uwagi poświęcono kierunkowi przyczynowości tej relacji, a to dlatego, że pierwsza ważna praca poświęcona tej problematyce wprowadziła do debaty naukowej – oprócz wielu płodnych idei – także sporo metodologicznego zamieszania. I tak, S.M. Lipset (1959) napisał swój specyficznie zatytułowany⁴ tekst w końcu lat 50., a to oznacza, że odnosił się do dość ograniczonego grona państw mogących uchodzić wówczas za demokratyczne. A skoro chciał tropić związki między jakością

4 Tytuł ten brzmi: *Some Social Requisites of Democracy: Economic Development and Political Development*. Zwraca uwagę zwłaszcza użyty termin *requisite*, a więc ‘warunek’, a nie przyczyna.

demokracji danego kraju a poziomem jego rozwoju społeczno-gospodarczego, wymagana była wariacja po obu stronach równania, co nie do końca mogło być spełnione. Jego praca przynależała do funkcjonalizmu i do wczesnych wersji teorii modernizacji, choć wątki dotyczące konfliktu i walki klasowej świadczą o niekonwencjonalnym i interparadygmatycznym ujęciu. Nie jest też tak, by upierał się przy determinizmie i immanentnym poszukiwaniu równowagi.

Zaczyna od prostej obserwacji, że zamożność ekonomiczna kraju jest okolicznością sprzyjającą demokracji. W oryginale najważniejsze zdanie brzmi: *The more well-to-do a nation, the greater the chances it will sustain democracy* (Lipset 1959: 75). Autor ten wykorzystuje dość szeroki wachlarz wskaźników oraz zaawansowane – jak na owe czasy – metody statystycznej analizy. Poddaje kontroli czyste wskaźniki makroekonomiczne (PKB *per capita* czy procent zatrudnienia w rolnictwie), czynniki socjoekonomiczne (np. średni poziom wykształcenia), czynniki socjokulturowe (telefonizacja per 1000 mieszkańców, poziom analfabetyzmu) i inne. Celowo podkreślam fakt wieloczynnikowej analizy Lipseta, gdyż wielu komentatorów – pewnie tych, którzy nigdy oryginału nie mieli w ręku – trywializuje opisywaną przez niego tezę i sprowadza ją do rzekomo prostej korelacji między PKB *per capita* a demokracją. Lipset podkreśla, że wskaźniki kilku makroczynników, takich jak urbanizacja, zagregowany poziom edukacji, uprzemysłowienie i zamożność – razem i we wzajemnych interakcjach – stanowią swoisty syndrom skorelowany z demokracją, będąc jednocześnie warunkiem pojawienia się tejże. Autor był świadom i skrupulatnie opisywał omawiany związek z perspektywy klasowej: interesów klasowych i – co później

w literaturze stało się powszechnikiem – zawieranych aliansów klasowych. Klasa robotnicza, a nawet poziom presji jej zorganizowanej części, sama w sobie nie jest w stanie zdemokratyzować systemu autorytarnego czy doprowadzić skutecznie do pierwotnego demokratycznego (elekcyjnego) otwarcia systemu. Klasa robotnicza potrzebowała sojuszników; tym sojusznikiem w wielu miejscach na świecie okazywała się klasa średnia (Rueschemeyer, Stephens, Stephens 1992), ale nie działało się to samoistnie, „ot tak sobie”. Potrzebne było podmiotowe sprawstwo, kreacja społecznej konstrukcji interesu klasowego oraz rozwinięty kapitalizm. Była jasność, właśnie kapitalizm, a nie kapitaliści. Rozwój kapitalizmu prowadzi bowiem do osłabienia siły politycznej ziemiaństwa jako klasy, a wzmocnienia (choć jako skutek uboczny logiki własnego rozwoju, a nie jako zamiar kapitalistów) klasy podporządkowane, w tym robotniczą – i to jest najważniejszy przekaz wielu znaczących prac dotyczących tej tematyki (Moore 1966; Lipset, Rokkan 1967; Skocpol 1979; Przeworski 1985). Tak więc demokratyczne otwarcie staje się możliwe nie dzięki kapitalizmowi, a pomimo. Kapitalizm bowiem w sposób niezamierzony wykreował klasę robotniczą (nawet bez marksistowskiego uporu, że to elity musiały skutecznie wprowadzić doń właściwą odfalszowaną świadomość własnego interesu). Stworzył ją najpierw przestrzenią: ulokował wielu podobnych do siebie ludzi w jednym miejscu, w fabrykach i w wydzielonych dzielnicach miast, gdzie mieli okazję ze sobą obcować, wymieniać doświadczenia, w potem – organizować się i mobilizować do działania.

Nie jest jednak tak, by słabość ziemiaństwa i obiektywne tendencje rozwoju kapitalizmu wzmocniające klasę robotniczą wystarczyły. Potrzebny był sojusznik. Okazała się nim być

– najczęściej – klasa średnia, jako najważniejszy element demokracji, potem demokratycznej konsolidacji, a w końcu jej trwałości i odporności na zewnętrzne turbulencje. Zgadza się co do tego zarówno Lipset, jak i Barrington Moore. By tak się stało, społeczeństwa muszą przejść długi proces modernizacji, poprawy jakości edukacji i wzrostu zamożności. Zmiana warunków codziennego bytowania mas oraz niwelowanie ostentacyjnych nierówności społecznych to warunki niemal konieczne skutecznej demokracji. Robotnicy osadzeni w kontekście skłonnych do akomodacji kapitalistów, wraz z zainteresowaną pokojem społecznym liczną klasą średnią, to konfiguracja skłaniająca klasę robotniczą do udziału w bogatym w kapitał społecznym środowisku licznych pluralistycznych stowarzyszeń społecznych. Prowadzi ją to do większej tolerancji i odrzucania ideologii radykalnych (Lipset 1959: 83 i nast.), zwłaszcza gdy istnieje dostępność umiarkowanych partii politycznych.

Zanim ponownie powrócimy do opowieści zapoczątkowanej przez Lipseta, zwróćmy uwagę na nieco odmienne ujęcie związków demokracji i gospodarki.

Zauważmy na wstępie, że analiza Lipseta odnosiła się do świata powojennego; z jego analizy nie bardzo wiadomo, na ile to proste współwystępowanie, o którym mowa, da się zaaplikować do świata końca XIX i początku XX wieku. Można podejrzewać, że nie bardzo, gdyż większość demokracji końca przełomu wieków to były kraje biedne według standardów drugiej połowy XX wieku. Nie jest też jasne, jaki mechanizm kryje się za niedemokratyczną ścieżką rozwoju. Co prowadzi kraje do lewicowych rewolucji i ustrojów socjalistycznych oraz co sprzyja rodzeniu się prawicowych autorytaryzmów? Z pewnością próbując

odpowiedzieć na te i podobne pytania, należy kierować się wskazaniem Dahla (1971) i Huntingtona (1991) – choć nieco inaczej sformułowanymi – sprowadzającymi się do przestrogi, iż nie należy tropić monokazualności. Przyczyny zmian systemowych to splot wieloczynnikowy i kompleksowy. Biorąc przestrożę tak wybitnych analityków na poważnie, byłbym jednocześnie skłonny odrzucać podejście właściwe uproszczonemu holizmowi i opowiadać się za poszukiwaniem owej przyczynowości w bardzo wielu czynnikach. Krótko rzecz ujmując, potrzebne jest teoretyczne uzasadnienie, a i intuicja nie zaszkodzi.

Teoria modernizacji była krytykowana jako sposób wyjaśniania demokratyzacji i demokracji głównie ze względu na jej funkcjonalistyczny charakter oraz uproszczone założenia o ich „naturalnym” dążeniu do równowagi. Dlatego tak ważną okazała się propozycja Moore’a (1966), stanowiąca podwaliny pod docenienie podmiotowego sprawstwa jako kluczowego czynnika zmiany reżimów. Szczególna relacja sił między chłopstwem a ziemiaństwem wraz z jednoczesnym brakiem lub istnieniem równowagi sił między tym ostatnim a burżuazją to zdaniem Moore’a fundamentalne czynniki prowadzące do demokratyzacji systemów politycznych lub – alternatywnie – do rozwoju prawicowych autorytaryzmów oraz lewicowych totalitaryzmów. Liczne prace (Luebbert 1991; O’Donnell, Schmitter 1986; Linz, Valenzuela 1994) ujmują to zagadnienie w kategoriach intencjonalnych działań elit politycznych nastawionych na poszukiwanie aliansów i kompromisów minimalizujących ryzyko dogłębnej przegranej którejkolwiek ze stron. W sytuacji, w której ważni aktorzy polityczni nie mają interesu w obstawianiu przy ekskluzywnych rozwiązaniach (wyłączających innych aktorów ze zinstytucjonalizowanego wpływu na bieg

wydarzeń), demokracja staje się wielce prawdopodobną opcją. Demokracja w tym ujęciu to wynegocjowana przez – uprzednio zwalczające się – elity warunkowa, lecz optymalna opcja.

Inni (sam do nich należę) uważają jednak, że nie można całkiem negować wagi podstaw owych interesów zbiorowych, choćby w postaci zasobów, jakimi jednostki i ich obiektywnie istniejące agregaty dysponują, a także – szerzej – charakter nierówności społecznych nie jest bez znaczenia. W makroskali czynnikiem kluczowym jest także charakter zasobów będących w dyspozycji jednostek oraz dystrybucja i rodzaj relacji i regulacji dotyczących tychże zasobów (głównie kapitału), jakie dominują w danym miejscu i czasie. W końcu także rodzaj aliansów politycznych, tych potencjalnych i tych już istniejących, ma ogromne znaczenie dla demokratyzacji. Tę ostatnią kwestię już poruszaliśmy, skupmy się zatem na dwóch pozostałych. Po pierwsze, poziom nierówności społecznych w danym kraju ma znaczenie całkiem nie do przecenienia. Uniwersalną zależnością zdaje się sytuacja silnego wpływu małych nierówności na demokratyzację. Na czym polega w tym przypadku mechanizm sprawczy? Ano na tym, że w sytuacji względnej równości ekonomicznej ładu przedemokratycznego biedni nie wywierają silnej presji na bogatych, by zmieniać ustrój. Bogaci nie mają wielkich obaw przed demokratycznym otwarciem i dopuszczeniem dołów społecznych do współrządzenia, gdyż ich przywileje są relatywnie nieduże. Można to ująć jeszcze inaczej: w sytuacji względnie płaskich nierówności ekonomicznych (i w sytuacji wolnego przepływu kapitału, za chwilę do tego wątku wrócimy) „klasy posiadające” uważają za dogodniejsze rozwiązanie płacenie umiarkowanych podatków niż finansowanie kosztów represji

niezbędnych do utrzymania swej wyjątkowej pozycji i hamowania demokratyzacji.

Czytelników zainteresowanych znakomitym przeglądem literatury na ten temat zachęcam do sięgnięcia do publikacji Landy i Kapsteina (2001), zaś intelektualnie prowokacyjny analityczny model został zaproponowany przez Acemoglu i Robinsona (2000)⁵. W końcu Boix (2003) nie tylko potwierdza omawianą zależność, ale zajmuje się także – wykorzystując unikalne dane retrospektywne sięgające połowy XIX wieku – pośrednimi wskaźnikami nierówności społecznych opartych na dystrybucji własności rolnej oraz poziomu kapitału społecznego. Jego wyrafinowane analizy statystyczne potwierdzają, że demokratyzacja i konsolidacja demokracji w większości przypadków są pozytywnie wspierane przez wysoką równość ekonomiczną oraz sprawiedliwy podział własności rolnej.

Kwestia nierówności ekonomicznych, choć istotna, sama może nie podołać jako wystarczający warunek demokratyzacji. Wspominaliśmy wcześniej, że drugim kluczowym elementem syndromu determinującego demokratyzację jest dwuaspektowa kwestia zasobów, jakimi dysponują jednostki. Zacznijmy od zagadnienia bardziej konstytutywnego – od dominującego rodzaju kapitału pozostającego w dyspozycji jednostek. Modernizacja ekonomiczna oznacza – poza innymi czynnikami – zmianę od gospodarki opartej na zasobach niemobilnych, takich jak ziemia, do gospodarki opartej na zasobach mobilnych, takich jak wiedza. Rodzaj zasobów pozostających w gestii jednostek

5 Acemoglu i Robinson testują kilka modeli analitycznych, wymowa których raz potwierdza, innym zaś razem przeczy opisywanej tu zależności.

ma o tyle duże znaczenie, że zasoby mało mobilne (ziemia, fabryki czy kamienice) dość łatwo jest przejąć, znacjonalizować czy w inny sposób zawłaszczyć przez (zazwyczaj nowe) siły polityczne dokonujące zmiany systemowej. Kapitał intelektualny nie podlega tak łatwej konfiskacie, choć można go zneutralizować (więzienie), zniszczyć („psychuszki”) lub instytucjonalnie ograniczyć (zakaz publikacji), ale to wymaga nie lada zabiegów, a na skalę masową nie zawsze jest skuteczne. Istnieje też zjawisko dotyczące rozwiązań makroekonomicznych, gdy – niezależnie od specyfiki kapitału – jego mobilność (np. wywóz kapitału czy swobodny transfer między branżami) nie jest formalnie ograniczana, a zapędy państwa, by sięgnąć po te zasoby, zmniejszają się, gdyż można je – obrazowo rzecz ujmując – „łatwiej ukryć”. Ale nie tylko możliwość ukrycia ma znaczenie. W opisywanej sytuacji pokusa, by zwiększać opodatkowanie kapitału, zmniejsza się, a co za tym idzie wzrasta przyzwolenie na demokratyczne otwarcie. W końcu czynniki czysto polityczne też odgrywają niebagatelną rolę. Skoro kapitalizm prowadzi do koncentracji siły roboczej, a ta z biegiem czasu przezwycięża problemy zbiorowego działania i staje się zdolna do mobilizacji i skutecznego działania, to koszty represji wobec ich aspiracji wzrastają. Dla świata kapitału staje się nieopłacalne sięganie po środki przymusu i tłumienie żądań ludzi pracy. Bardziej opłacalne staje się (kontrolowane) otwarcie systemu dla nowych klas i warstw społecznych.

Z perspektywy bardziej historycznej powiedzmy tak: są tacy (np. Rostow 1960), którzy bronią prostej wersji teorii traktującej zależność między modernizacją ekonomiczną a demokracją jako liniową i nieodzowną. Są jednak też tacy jak Moore (1966), którzy uważają, że modernizacja ekonomiczna może prowadzić do bardzo różnych rozwiązań ustrojowych.

Do powstania demokracji, ale też faszyzmu i komunizmu, dochodzi w zależności od konfiguracji wielu czynników omówionych poprzednio i jednego do tej pory pominiętego – stopnia autonomii państwa względem klasy dominującej.

Jeszcze inaczej zagadnienie to ujmuje Huntington (1968) w swej – nie tylko moim zdaniem – najlepszej książce sprzed niemal półwieku *Political Order in Changing Societies*. Uczula nas w niej na fakt, iż modernizacja ekonomiczna nawet jeśli jest udana – gdy jest zbyt szybko wprowadzana, może prowadzić do destabilizacji politycznej. Huntington podkreśla, że długoterminowo najważniejszym celem jest zachowanie ładu politycznego, nawet jeśli nie jest on demokratyczny. Na wielu stronach swego dzieła Autor ten przytacza wiele przykładów wskazujących na to, że ustrój demokratyczny nie może konkurować z tak podstawowymi wartościami, jak spokój, bezpieczeństwo i czytelny ład polityczny. I choć ponad dwie dekady później (Huntington 1991) wydaje się uznawać teorię modernizacji za bardziej przydatną w wyjaśnianiu demokratyzacji, samo podstawowe przekonanie tak sugestywnie wyłożone w 1968 roku, że nadmiar mobilizacji mas bez odpowiedniej jej instytucjonalizacji prowadzić musi do gorszych rzeczy niż brak samej demokracji, pozostaje warte uwzględnienia. W propozycji tej widać zarówno wpływ myśli Aptera (1965), jak i socjologicznego fundamentu zaproponowanego na początku XX wieku przez Williama Ogburna (1922), który zagadnienie to ujmował szerzej, traktując ład społeczny i jego destabilizację – dezorganizację społeczną w kategoriach dynamicznych. Wskazywał – w dużym uproszczeniu – że do dezorganizacji dochodzi wtedy, gdy zjawiska rozwoju cywilizacyjnego i modernizacji technologicznej wyprzedzają rozwój kultury „adaptacyjnej” (jak ją nazywa) w stopniu, który właśnie ową adaptację uniemożliwia.

By była jasność, Ogburn nie twierdzi, iżby empirycznie (a i normatywnie) miało być odwrotnie, to znaczy, by kultura duchowa, adaptacyjna wyprzedzać miała cywilizacyjną i technologiczną, ale chodzi o to – by dystans między cywilizacyjnymi wynalazkami a adaptacyjnymi reakcjami kultury duchowej i symbolicznej nie był zbyt wielki. Do dezorganizacji dochodzi tylko wtedy, gdy rozróżnienie jest temporalnie zbyt duże. Podobne – w sensie strukturalnym – zależności odnajdujemy w teoriach ujmujących modernizację jako determinantę demokratyzacji, a konkretnie kłopoty z demokratyzacją, gdy dochodzi do zbyt raptownej – nawet jeśli udanej – modernizacji.

Pod koniec XX wieku pojawiają się na rynku prace Adama Przeworskiego i kompanionów (Przeworski, Limongi 1997; Przeworski *et al.* 2000), którzy starają się dociekliwie poddać analizie omawianą relację, koncentrując się na zagadnieniu sekwencji czasowej. Czy rozwój i modernizacja prowadzą do demokracji, czy tylko pomagają w utrzymaniu istniejących już demokracji? Znakomite analizy i dość niejednoznaczne wyniki⁶ ukazują złożoność problematyki. W swym podstawowym dziele Przeworski i współautorzy (Przeworski *et al.* 2000) podsumowują swe wyniki tak, że czytelnik nabiera głębokiego przekonania, iż tylko **hipoteza egzogeniczna** jest prawdziwa, natomiast **hipoteza endogeniczna** – fałszywa. Innymi słowy: rozwój i modernizacja stanowią skuteczne wsparcie dla istniejących demokracji, natomiast nie są determinantami demokratyzacji jako procesu prowadzącego do demokracji.

6 Kwestionowane przez innych, np. Boix, Stokes (2003), Inglehart i Welzel (2005), Epstein *et al.* (2006).

Zespół Przeworskiego tłumacząc mechanizm wspierania demokracji przez rozwój, nie postarał się o jakąś wyrafinowaną interpretację. Głosili oni jedynie, iż sytuacja znacznej zamożności i niewielkich nierówności społecznych wywołuje ograniczone konflikty redystrybucyjne, których konkretne mechanizmy mikrospołeczne zostały pominięte. Najważniejsza teza książki sprowadza się jednak do twierdzenia, że rozwój nie prowadzi do demokratycznej tranzycji. Co więcej, ten zespół autorski powiada wprost, że demokracje pojawiają się prawie losowo, na różnych poziomach rozwoju. Twierdzenie to jest o tyle dziwne, że ich własne analizy świadczą o czym innym – większość prezentowanych analiz statystycznych ujawnia bowiem, iż szacowany współczynnik dla poziomu rozwoju ekonomicznego systematycznie wskazuje statystyczną istotność i pozytywny „kierunek” względem demokratycznej tranzycji, jakkolwiek rzeczywiście jest on nieco słabszy niż w przypadku hipotezy egzogenicznej. Można rzec, iż utrwalenie się ich konkluzji polegało głównie na silnym przekazie werbalnym, a nie liczni czytelnicy całości dzieła nie byli w stanie (przez pewien okres) skutecznie zaprzeczyć samym autorom, i to – paradoksalnie – na bazie ich własnych wyników. Rzetelna interpretacja wyników samego Przeworskiego i spółki została dostrzeżona i poniekąd zakwestionowana, głównie przez Epsteina i współautorów (2006). Inni dołożyli do ich propozycji swoje analizy. I tak, Inglehart i Welzel (2005) – używając tych samych danych, co Przeworski wraz ze współautorami – postawili sobie za cel sprawdzenie, jak modernizacja i rozwój **wpływają na jakąkolwiek zmianę reżimu**, czy to w kierunku demokracji, czy to jakiejś wersji autorytaryzmu. W tym celu obliczyli współczynnik prawdopodobieństwa przejścia do demokracji lub autokracji na tych samych poziomach rozwoju gospodarczego kraju.

Nie wchodząc w szczegóły ciekawych analiz, warto podkreślić, że ich konkluzja brzmi jednoznacznie i wspiera krytyczny ogląd też Przeworskiego – **modernizacja zwiększa prawdopodobieństwo przejścia do demokracji.**

Jeszcze inni – potwierdzając mylną interpretację współczynników uzyskanych w modelach samego Przeworskiego – krytykują jego podejście z bardziej zasadniczej perspektywy. Boix i Stokes (2003) powiadają tak: skoro Przeworski twierdzi, że hipoteza egzogeniczna jest prawdziwa, a więc jeśli nawet założyć, że państwa mają większą szansę pozostania demokratycznymi, gdy cechuje je wysoki rozwój gospodarczy, to nawet jeśli (co jest inną kluczową tezą Przeworskiego) dochodzą one do demokratyzacji losowo na różnych poziomach rozwoju, to z samej natury losowości i zamkniętej puli przypadków wynika, że po pewnym czasie po prostu pozostaje coraz mniej krajów, które mogłyby ową tranzycję rozpocząć. Sami zaś proponują, że by rzetelnie zbadać, jak dochodzi do demokratyzacji, trzeba całą analizę cofnąć w czasie do chwili, gdy żaden kraj nie był demokracją. Boix i Stokes podejmują ten trud i poddają analizie stworzone przez siebie zbiory sięgające wstecz do roku 1850 i analizują ponownie, w podobny sposób, dane Przeworskiego. Ich liczne ciekawe obserwacje potwierdzają dane wielu innych badaczy (wspominaliśmy o nich wcześniej), że w wielu przypadkach to nie sam poziom rozwoju gospodarczego jest najistotniejszy, lecz nierówności dochodowe (Boix, Stokes 2003: 540 i nast.). Twierdzą przy tym przekonująco, że wiele krajów, które osiągnęły niski poziom nierówności dochodowych, przed 1950 rokiem dokonało demokratycznego otwarcia na znacznie niższych poziomach PKB *per capita* niż kraje o wyższych nierównościach.

CZĘŚĆ DRUGA

DYLEMATY
WSPÓŁCZESNYCH
DEMOKRACJI

CZĘŚĆ DRUGA

W drugiej części omówione zostaną kwestie istotne – z punktu widzenia zaproponowanego przeze mnie w pracy wywodu – dla zrozumienia genezy i odmian współczesnego krytycznego stosunku do demokracji i proponowanych recept jej naprawy w postaci różnych innowacji. Omówimy i przeanalizujemy w niej trzy wątki: konstytucjonalizm i jego relację do istoty demokracji, istniejące modele demokracji i ich związek z jakością demokracji, przyjrzymy się roli mediów oraz skupimy uwagę na – często zaniechanym zagadnieniu – demokratycznym obywatelu, jego cechach jednostkowych i zbiorowych oraz jego stosunku do demokracji.

ROZDZIAŁ 1.

Czy istnieje „dobra” demokracja?

Empiryczne badania demokracji, zarówno rozwiązań instytucjonalnych, jak i demokratycznych postaw obywateli, zazwyczaj rozpoczynają się od zapewnień, że podstawą rozważań o jakości demokracji jest jedna z jej kluczowych wartości – równość. Dodajmy, obok takich wartości, jak najczęściej wymieniana – wolność, i nieco rzadziej wymieniana – kontrola (Buhlmann, Merkel, Wessels 2007).

Ważny projekt⁷ testujący teoretyczne domniemania podjęty został w 2010 roku przez grupę badaczy, którzy opracowali projekt badania empirycznego, które zostało zrealizowane w 2012 roku w większości krajów Europy. W projekcie tym, korzystając z propozycji Leonardo Morlino (2005; 2011), odnosimy się do kwestii równości w sposób ciągle jeszcze bardzo tradycyjny, a mianowicie uznajemy, że najważniejsza jest równość polityczna. Dotyczy ona praw politycznych, nieskrępowanego

7 Projekt zainicjowany przez grupę badaczy związanych ze szwajcarskim National Centre of Competence in Research pt. „Challenges to Democracy in the 21st Century”, po kilku latach analiz jakościowych opartych na ocenach eksperckich, postanowił rozszerzyć swe grono i wejść na rynek badawczy projektem poziomu indywidualnego. Obecnie rozszerzony zespół, którego mam przyjemność być członkiem, złożył do znanego międzynarodowego badania porównawczego European Social Survey i wygrał projekt Modułu nr 6 pt. „Europeans’ understanding and evaluations of democracy”. Wyniki badania zostały udostępnione szerokiej społeczności akademickiej w 2013 roku.

dostępu do artykulacji swych interesów i głosowania. Natomiast równość ekonomiczna jest ważna o tyle, o ile przyczynia się do praktykowania wolności politycznej. I tu (błędne) koło się zamyka: jedni twierdzą, że równość ekonomiczna ma być właśnie wynikiem nieskrępowanej demokracji proceduralnej i respektowania praw obywatelskich i politycznych w długim okresie. Długim dlatego, że w demokracjach – poza nielicznymi wyjątkami wieloletniej dominacji jednej opcji politycznej⁸ – mamy do czynienia z cyklami polityczno-ekonomicznymi. Po latach dominacji partii umownie prawicowych, konserwatywnych czy chrześcijańsko-demokratycznych, prowadzących zazwyczaj politykę monetaryzmu, kontroli wydatków socjalnych i ograniczających ingerencję państwa w sferę gospodarki, do władzy dochodzą partie lewicowe, socjalistyczne i socjaldemokratyczne w różnych konfiguracjach z ekologami lub socjalliberałami i te z kolei chętnie prowadzą politykę sterowania gospodarką, poluzowują fiskalizm, podwyższają podatki i chętniej wydają na bezrobocie oraz zasiłki socjalne... i tak dalej. Ta mądrość cykliczności powoduje, że różne wartości i odmiennie rozumiana sprawiedliwość społeczna są – lepiej lub gorzej – zaspokajane. Ale z drugiej strony – omawialiśmy to szczegółowo w pierwszej części pracy – pewien poziom rozwoju gospodarczego, a zwłaszcza równości zamożności, która jest silnie skorelowana z możliwościami edukacyjnymi, uczestnictwem w kulturze i sferze publicznej, jest absolutnie konieczny. Znaczne nierówności i wykluczanie (nie z zasady czy według ustanowionych praw, ale w wyniku nierównej dystrybucji dóbr) znacznych odłamów społeczeństwa z godziwego życia prowadzi właśnie do nierówności politycznych w państwie. Dysproporcjonalne

8 Jak w Szwecji okresu powojennego dominacja socjaldemokracji czy w Japonii do lat 90. partii Liberalno-Demokratycznej.

skupienie własności i zamożności w rękach niewielu pozwala im na skuteczne wywieranie nacisków na polityków. Naciski te nierzadko są w sprzeczności z interesem społecznym, jakkolwiek samo to pojęcie jest mętne.

Powyższe problemy były w politologii amerykańskiej dyskutowane, ale nie przebiły się – jako przestroga – do środków masowego przekazu; inna sprawa, czy przy obecnej dominacji własności tych ostatnich w ogóle cokolwiek, co nie jest ideologicznie poprawne, zwłaszcza gdy dotyczy ideologii „amerykanizmu”, ma szansę się przebić. Poświęćmy temu zagadnieniu nieco miejsca.

Cytowany już wielokrotnie Robert Dahl zadał swego czasu fundamentalne pytanie, poprzedzone tezą; brzmiało to tak:

W systemie politycznym, w którym prawie każdy dorosły może głosować, ale gdzie wiedza, bogactwo, pozycja społeczna, dostęp do urzędników i innych zasobów jest nierównie rozłożony, kto właściwie rządzi? (Dahl 1961: 1)

W okresie gdy to pisał, a także wcześniej, gdy kładł podwaliny swej teorii demokracji opartej na wizji pluralistycznej, horyzontalnej i „poliarchicznej”, być może można było wierzyć w mit sprawności amerykańskiego systemu, jego otwartości i mobilności, w odróżnieniu od – w domniemaniu – skostniałych systemów klasowych Europy. System ten cechowały wielkie szanse dla każdego niezależnie od pozycji zajmowanej w strukturze społecznej i na rynku pracy. Od wielu jednak dziesięcioleci, a zwłaszcza w ostatnich trzech dekadach mitu tego nie sposób bronić, choć – jak wspominałem – fakt ten niezwykle trudno

przebija się do świadomości Amerykanów. Jeszcze na początku lat 80. Sidney Verba i Gary Orren tak opisywali skomplikowane relacje między siłami politycznymi i ekonomiczną władzą:

Polityczna równość stanowi stałe wyzwanie dla ekonomicznych nierówności, gdyż upośledzone grupy wywierają nacisk na państwo, by przywracało równowagę. Egalitarne oczekiwania prowadziły do uchwalania zrównującego ustawodawstwa, takich jak progresywne podatki. Ale istniejące jednocześnie rozbieżności w sferze ekonomicznej działają przeciw takim zabiegom i uchwalanej legislacji, gdyż grupy ekonomicznie uprzywilejowane aktywizują swe znaczne zasoby w sferze politycznej. (Verba, Orren 1985: 19)

I dodają, że bogaci mogą uruchomić cały repertuar działań – od wynajmowania prominentnych kancelarii prawniczych, po wpływanie na ustawodawstwo. Takie i podobne tezy były dość powszechne, ale zarówno wówczas, jak i tym bardziej obecnie dalekie są od realiów.

By nie być gołosłownym, zacznijmy od faktów i danych statystycznych. Zauważmy, że większość Amerykanów ma bardzo ograniczoną wiedzę o tym, jak naprawdę wyglądają dochody ich współobywateli, jak działają podatki i jaka ich część jest redystrybuowana przez budżet oraz które polityki społeczne komu sprzyjają. Podobnie żyją w świecie mitów o niezwykłej otwartości swego społeczeństwa, jego mobilności i drożności kanałów awansu. Dane z ostatnich trzech dekad wskazują, że mamy tu do czynienia z klasyczną „fałszywą świadomością”. Jakże to dane?

Po pierwsze, te bardzo miarodajne (odpowiednika naszego GUS) Cenzus Bureau. Wskazują one jednoznacznie na następujące fakty:

- 1) Od zakończenia drugiej wojny światowej społeczeństwo amerykańskie jako całość wzbogaciło się znacznie, jednocześnie wzbogaciło się niesłychanie nierównomiernie.
- 2) Kumulatywny wzrost dochodów w ostatnim półwieczu (między 1947 a 2006 rokiem) wyniósł 118% dla rodzin poziomu wokół 20 procenta najniższych dochodów i 199% dla tych wokół 95 procenta dochodowego. Znacznie bardziej wyraziście widać różnice, gdy użyjemy liczb bezwzględnych. I tak dla tego pierwszego poziomu wzrost dochodów w owym półwieczu wyniósł około 15.000 USD, a dla tych drugich, bogatych – 130.000 USD⁹.
- 3) Jeszcze inaczej zakres tych nierówności można przedstawić w następujący sposób: 0,1% najbogatszych Amerykanów, którzy gromadzili 3,2% całości dochodów w końcu lat 50., dziś (a dokładniej w połowie pierwszej dekady XXI wieku) zgromadziło już 10,9% całości dochodów, a więc w okresie półwiecza potroiło swe dochody. Grupa nieco tylko mniej ostentacyjnie bogata – górne 1% społeczeństwa amerykańskiego podwoiło zaś część swego ciastka dochodowego, z 10,2% do 21,8% (więcej szczegółów patrz Piketty & Saez 2003)¹⁰.
- 4) Inne dane wskazują na coś jeszcze bardziej dramatycznego, a mianowicie na dynamikę tego zjawiska w czasie. Okazuje się bowiem, że dochody rodzin znajdujących się na dole drabiny

9 Wyrażonych w wartości dolarów z 2006 roku.

10 A także najnowsze dane na stronie: <http://elsa.berkeley.edu/~saez>.

zamożności poddane są znacznie większej fluktuacji niż dochody ludzi bogatych, a to bywa bardzo dolegliwe.

5) Ogląd najbogatszych 400 Amerykanów w latach 1985–2005 widzianych oczami czytelników magazynu „Forbes” wskazuje, że średnia wartość ich majątku wzrosła w tym dwudziestoleciu prawie pięciokrotnie, z około 600 milionów USD do 2,81 miliarda USD, a ich łączna wartość była wyższa niż PKB Kanady (ciekawe szczegóły patrz Munk 2005).

6) W końcu, czego przekonująco dowodzą inni (Johnson 2005; Levy & Temin 2007), najbardziej radykalnie bogacili się najbogatsi – owe 1% czubka drabiny zamożności znacznie bardziej wzbogaciło się niż 5% najbogatszych. Cztery piąte całego wzrostu dochodów w okresie między 1980 a 2005 rokiem poszło do kieszeni owego jednego procenta najbogatszych Amerykanów. Reszta bogatych, nawet jeśli się bogaciła, to znacznie wolniej.

Podsumowując liczne dane dotyczące wzrostu nierówności dochodowych w USA, należy podkreślić ich generalną wymowę – niesłychane przyspieszenie w ostatnich trzech dekadach. Okres powojenny, do końca lat 70. cechował dość podobny i równomierny wzrost zamożności najbogatszych, klasy średniej, a także biednych. Obecny pikujący wzrost nierówności jest podobny do tego z lat 20., tuż przed wielkiego kryzysu. Gdyby nie fakt, że mamy dopiero drugi taki przypadek w monitorowej historii nierówności ekonomicznych, można by powyższe fakty zacząć traktować jako przestrożę.

Odnotujmy jednocześnie, że w ostatnich dziesięcioleciach kampanie wyborcze w USA stały się niebotycznie drogie, a mówiąc

precyzyjnie – sumy wydawane na kampanie wyborcze zwielokrotniły się, co oznacza, że pieniądze mają coraz większe polityczne znaczenie. Nie ma żadnej wątpliwości, że interesy wielkiego biznesu i korporacji są znacznie lepiej reprezentowane politycznie niż interes publiczny.

To wszystko jest ważne, ale nas najbardziej interesuje tu odpowiedź na pytanie: czy i w jakim stopniu nierówności ekonomiczne to zjawisko polityczne? Innymi słowy, czy system (podsystem) polityczny – używając języka funkcjonalistów – jest prawdziwą zmienną niezależną, to znaczy, czy jest rzeczywistym czynnikiem sprawczym tego, co dzieje się w społeczeństwie i gospodarce?

Przejdźmy zatem do tego, co w tym kazusie USA ostatnich trzech dekad interesuje nas najbardziej, a mianowicie do związku radykalnego wzrostu nierówności z czynnikami politycznymi. Na wstępie zadajmy pytanie otwarte: czy w ogóle taki związek istnieje? Liczne *stricte* naukowe prace ostatnich lat wskazują, że odpowiedź może być tylko jedna – zdecydowanie tak (Alesina, Glaeser 2004; Pontusson 2005; Hacker, Pierson 2005; Bartels 2008). Można podawać różne rzetelnie opracowane dane, ale wystarczy przytoczyć następujące: rządy demokratycznych i republikańskich prezydentów i ich administracji prowadziły do dramatycznie odmiennych wyników dochodowej dystrybucji. Realne dochody klasy średniej rosły w czasie rządów demokratów – średnio – dwa razy szybciej niż za rządów republikańców. Realne dochody pracującej warstwy osób najbiedniejszych rosły sześciokrotnie szybciej pod rządami demokratów niż republikańców (Bartels 2008, rozdział 2). Ten sam autor dowodzi prowadzenia całkowicie odmiennych polityk popieranych przez

senatorów tych samych stanów (w założeniu reprezentujących tych samych wyborców) w zależności od tego, czy byli demokracjami, czy republikanami. Co więcej, analizowane dane i prowadzone polityki dowodzą, że szybki wzrost nierówności nie jest żadnym nieuchronnym procesem ekonomicznym, o czym republikańska ideologia sugestywnie stara się przekonywać Amerykanów, lecz efektem prowadzonych przez republikańskich prezydentów i ich administrację polityk. Bartels (2008, rozdział 9) sugestywnie pokazuje także, iż decyzje (głosowania) amerykańskich senatorów są determinowane w znacznie większym stopniu ich przynależnością partyjną niż preferencjami ich wyborców. Inaczej rzecz ujmując, mit demokratycznej responsywności wybieralnych polityków w USA należy włożyć między bajki. Są jednak od tej reguły wyjątki – republikańscy politycy dość dobrze reprezentują interesy najbogatszych i – czasami – wyższej klasy średniej. Miliony biednych Amerykanów nie mają żadnego wpływu na decyzje wybieranych przez siebie przedstawicieli.

Amerikanizm jako ideologia¹¹ miał się jednak do niedawna całkiem dobrze, pomimo ewidentnych danych z opracowań naukowych ukazujących całkowicie odmienny obraz od normatywnie sprzedawanego przez jej propagatorów. Dziś dla większości otwartych na racjonalną argumentację badaczy jest

11 Przez „amerykanizm jako ideologię” rozumiem tu szeroko zakorzenione w świadomości Amerykanów syndromatyczne przekonanie o wielkich szansach indywidualnej przedsiębiorczości jednostek, uczciwości panujących ekonomicznych reguł gry, mobilności społecznej i ekonomicznej przeciętnych obywateli, mit *self-made-mana*, przekonanie, że bogacenie się bogatych powoduje, iż biedni także bogacą się, gdyż mają udział w „większym ciastku” (niezależnie od tego, jak mała dola im przypada) i tym podobne.

jasne, że co najmniej dwa konstytutywne mity amerykańskiej demokracji legły w gruzach.

Po pierwsze, założenie i pewnik, że nierówności dochodowe – i szerzej – ekonomiczne, a także ich wzrost są pozytywnie skorelowane z bogaceniem się całego społeczeństwa. Ujmowane to było w charakterystyczny sposób – jako mechanizm powodujący, że bogacenie się najbogatszych powoduje niejako automatyczne „spływanie w dół” bogactwa i wzrost możliwości ekonomicznych klasy średniej i przynajmniej części biednych. A to dlatego, że całość „tortu” powiększona dzięki zaradności – tak dalej wygląda ta przypowieść – pozwala wykroić względnie większą część dla mniej zamożnych i biednych. Inna używana metafora to statki unoszące się na wyższej wodzie, im wyższe stany tejsze, tym wyżej wszystkie statki i stateczki unoszą się do góry, a nie tylko te największe. Takie myślenie odnajdujemy zwłaszcza u ideologa liberalizmu Johna Rawlsa (1971, rozdział 2). Logika tego wywodu zasadza się na ekonomicznym założeniu, że wielkie fortuny będą inwestowane w efektywne gospodarcze przedsięwzięcia. A dane – choć niesystematyczne – wskazują na znaczne przesunięcie wydatków tej najbogatszej grupy dysproporcjonalnie na rozpasaną konsumpcję, a wcale nie na reinwestowanie (Bernasek 2006).

Co więcej, Amerykanie żyją w przekonaniu, że bogacenie się najbogatszych sprzyja gospodarczemu rozwojowi kraju, choć tak nie jest; zresztą nawet gdyby tak było, nie oznacza to, że poprawie ulegnie los najuboższych czy nawet klasy średniej. Badania porównawcze z innymi gospodarczo rozwiniętymi demokracjami wskazują, że biedni w Ameryce mają się znacznie gorzej niż podobni biedni w innych – nawet tych nieco biedniejszych

– krajach Europy Zachodniej, ale takich, w których nierówności społeczne są znacznie mniejsze (Iversen 2005; Osberg, Smeeding & Schwabish 2004; Jacobs & Skocpol 2005).

Po drugie, mit „otwartego społeczeństwa” i niemal nieograniczonej mobilności ekonomicznej Amerykanów. Mobilność to jeden z najbardziej rozpowszechnionych mitów amerykanizmu. Ten mit proponuje następującą opowieść: tak, w USA są co prawda biedni i bogaci, ale dopóki jedni mogą łatwo stać się tymi drugimi, dopóty wszystko jest w porządku, gdyż świadczy to o istnieniu równości szans, a różnice między nimi nie świadczą o istnieniu nieprzekraczalnych barier typu klasowego; w domyśle – takich jak w Europie. Wiele wskazuje jednak na zanik tego zjawiska. Współczesne USA – jak wskazuje na to wiele badań – cechuje wyraźnie mniejsza mobilność społeczna niż wiele krajów Europy Zachodniej (Linz, Stepan 2010), takich jak np. kraje skandynawskie, a nawet Niemcy i Wielka Brytania (Beller, Hout 2006; Pontusson 2005).

ROZDZIAŁ 2.

Modele demokracji a jej jakość

W pierwszej części omówione zostały modele demokracji ujmowane teoretycznie i paradygmatycznie. Nie wszystkie, a tylko te – jak zaznaczaliśmy – które są żywe we współczesnej debacie o demokracji oraz te najbardziej prototypowe dla takiej praktyki demokracji, jaką znamy z drugiej połowy XX wieku i początku XXI wieku. Koncepcja Marksowskiej demokracji (niemal) bezpośredniej, Weberowsko-Schumpeterowska wizja elitarnej demokracji minimalistycznej czy pluralistyczna wizja Dahla i innych to niewątpliwie żywe tradycje kształtujące także nasze XXI-wieczne realia polityczne.

Na demokracje, ich modelową różnorodność i jakość można patrzeć z wielu punktów widzenia. Są tacy, którzy – choć nie analizują wprost demokracji – opisują jej modelowe wersje z punktu widzenia zarówno wielkich aliansów znaczących grup społecznych, ich kreatywnej roli w budowie ładu społeczno-politycznego, jak i poprzez konsekwencje redystrybucyjne oraz sprawiedliwość społeczną, a także poprzez odmienne modele kapitalizmów (Lipset, Rokkan 1967; Esping-Andersen 1990; 1999; Ringen 1987; 2007; Hall, Soskice 2001).

Zauważmy przy tym, że od wielu już dziesięcioleci mamy dostęp nie tylko do systematycznej naukowej refleksji na temat demokracji, jej funkcjonowania i jakości, ale także do całkiem licznej instytucjonalnej formy jej – by tak rzec – diagnostyki, swoistych studiów ewaluacyjnych nastawionych na ocenę

funkcjonowania realnie istniejących demokracji. Przedsięwzięć tego typu jest dziś kilka, wśród nich najbardziej znane to Freedom House, Polity czy Bertelsmann Transformation Index. Są one powszechnie cytowane i używane do analiz makro.

Zaznaczmy na wstępie, że w odniesieniu do demokracji można stosować „nominalne” podejście i klasyfikować je modelowo, porównując na przykład model skandynawski do anglosaskiego czy liberalnego. Jeszcze inne podejście to opisywanie i analiza typów – czy jak kto woli odmian – demokracji. W tym ujęciu mówimy o demokracjach parlamentarnych, prezydenckich czy federalnych. Można też po prostu (przy uwzględnieniu wielu wskaźników jakości demokracji) starać się je rangować od najbardziej doskonałych demokracji do tych bardziej fełernych. W tym ostatnim podejściu kwestią fundamentalną jest decyzja, czy demokracje można niejako stopniować, hierarchizować, czy też demokracja jest zmienną „zero-jedynkową” – albo dany kraj jest demokratyczny, albo nie jest... i tyle.

Zagadnienie to stawało się coraz bardziej skomplikowane wraz z szybkim wzrostem liczby państw demokratycznych, uchodzących za demokratyczne czy aspirujących do bycia takowymi. Tym bardziej że samo odchodzenie od jakiegoś nie-demokratycznego reżimu w kierunku demokracji, po pierwsze, oznaczało zazwyczaj porzucanie bardzo różnych tradycji politycznych (komunistycznej, autorytaryzmów biurokratycznych, junt wojskowych, apartheidu itd.), co oznaczało przenoszenie do demokracji odmiennych naleciałości, a niekiedy zaszłości bardzo trudnej do pogodzenia z demokracją (Huntington 1991). Po drugie zaś, dostatecznie często oznaczało pozostawanie w szarej strefie na długo i niemożność skonstruowania

prawdziwie demokratycznego ustroju. Takich krajów znajdujących się „pomiędzy” czystym autorytaryzmem a demokracją jest dziś na świecie mnóstwo i – jak się zdaje – pozostaną one tak na długo (O'Donnell 1994).

Stąd mamy dziś do czynienia z ogromną mozaiką i proliferacją przymiotników dodawanych do terminu „demokracja”. Te najczęściej używane i traktowane dość poważnie przez grono badaczy to: demokracja „delegatywna” (O'Donnell 1994), „ograniczona” [*limited*] (Archer 1995), „elektoralna” (Hadenius 1994), „aliberalna” [*illiberal*] (Emmerson 1994), „opiekuńcza” [*tutelary*] (Przeworski 1988)¹². Z drugiej strony popularne bywają terminy określające reżimy demokracjami niebędące, ale posiadające pewne ich cechy; i tak mamy „liberalną autokrację” (Dahl 1971), „reżim rywalizacyjny” [*competitive regime*] (Collier, Collier 1991), „wyborczy autorytaryzm”, itd., itp.

Stoimy obecnie zatem przed problemem „konceptyjnego naciągania” (*conceptual stretching*) w znacznie większym stopniu niż wtedy, gdy kilka dekad temu Giovanni Sartori (1970) pisał swój klasyczny, do dziś studiowany tekst. Z jednej bowiem strony jesteśmy zmuszani przez różnorodność nowych reżimów akceptować analityczną dyferencjację jako sposób na poradzenie sobie z ową mozaiką konfiguracji politycznych, z drugiej zaś strony nie możemy beztrąsko odwracać głowy od wymogów konceptyjnego rygoru.

12 Demokracje dla poszczególnych autorów bywają poza tym: męskie, oligarchiczne, chronione (*guarded* lub *protected*), kontrolowane, patrymonialne, ograniczające (*restrictive*) – by wymienić te często używane.

W tym miejscu przypomnijmy wpływową pracę Gosty Espinga-Andersena (1990), w której Autor ten zaproponował trzy modele państw dobrobytu realnie istniejące we współczesnym rozwiniętym kapitalizmie. Innowacyjność spojrzenia Espinga-Andersena polega na odejściu od ujmowania istoty państw dobrobytu w kategoriach „zakresu wydatków na programy socjalne” lub wskazywania na liderów i maruderów procesu welferyzacji, a zaproponowaniu zamiast tego innego kryterium. To kryterium to „stopień dekomodyfikacji” („odtwarowienia”), a zarazem uniezależnienia losu ludzkiego od działania czystych sił rynkowych. Celem tworzenia praw socjalnych – twierdzi Autor – jest właśnie umożliwienie ludziom zapewnienia sobie godziwego standardu życia poza prawami rynku. Skupia przy tym uwagę na kreatywnym wpływie państw dobrobytu na strukturę społeczną, logikę działania rynku pracy, a w konsekwencji – na gospodarkę. Unika przy tym tradycyjnego (do tamtego czasu) języka radykalnej socjologii i politologii. Nie mówi o „mobilizacji klasy robotniczej”, a raczej stara się odpowiedzieć na pytanie: pod jakimi warunkami podziały klasowe i nierówności społeczne wykreowane przez kapitalizm mogą być zniwelowane przez mechanizm demokracji parlamentarnej? Przypomina nam jednocześnie, że relacje między demokracją a państwem dobrobytu są skomplikowane, zwłaszcza gdy odnosimy się do ich genezy. Powstawały one wcale nie tam, gdzie demokracja miała się dobrze (USA, Szwajcaria, Australia), lecz tam, gdzie jej nie było, a elementy państwa dobrobytu zaczęły być wprowadzane nie jako element demokratyzacji, lecz by zapobiec jej rozszerzaniu się – to jest w Bismarckowskich Niemczech i Francji Napoleona III.

Praca Espinga-Andersena omawia trzy typy idealne państw dobrobytu: liberalny (najczystszy empirycznym przykładem są USA), konserwatywny lub „reński” (przykład – RFN) oraz socjaldemokratyczny (przykład – Szwecja). Ich geneza jest dość różna, zależna głównie od tradycji narodowych kapitalizmów, konfiguracji sił politycznych i mobilizacji społecznej okresu wchodzenia na rynek wyborczy wielkich mas społecznych oraz układu władzy w konkretnym kontekście historycznym. I tak, liberalny, czy jak kto woli, rezydualny model państwa dobrobytu to produkt liberalnej filozofii „małego, ograniczonego państwa”, które *de facto* reprezentuje i utrwała różnice klasowe. Kompromis klasowy nigdy nie został tu osiągnięty, dlatego istnieje w nim jednocześnie: (a) podwójny system prywatnych i zawodowych agend zaspokajania potrzeb klasy średniej oraz (b) selektywny system zasiłków skierowanych do ubogich. Korporatystyczny czy konserwatywny system z kolei bazuje na korporatystycznej dystrybucji władzy reprezentującej układ organizacji społeczno-politycznych. Ten typ opiera się na silnym państwie, wspierającym segregację zawodową, pilnującym hojnych ubezpieczeń społecznych dla zatrudnionych, zapewniając jednocześnie silne powiązania związków zawodowych z państwem. W końcu socjaldemokratyczny – czy jak inaczej go nazwano – uniwersalistyczny model jest produktem siły klasy robotniczej i przetworzonych ideałów egalitaryzmu oraz ugody zawartej między klasą robotniczą a klasą średnią.

Te trzy modelowe rozwiązania można opisać jeszcze inaczej – jako pewne modele przetargu. Każdy z nich bowiem ma pewne wady, ale i zalety; w każdym z nich tli się podstawowy konflikt, każdy ma słabość, swoistą „piętę achillesową”.

Względem każdego można zastosować opis dotyczący tego, jaki podstawowy konflikt generują oraz „co za co” się w nich odbywa?

Zacznijmy od **modelu socjaldemokratycznego**, jako najbardziej uniwersalistycznego i rozbudowanego. Zapewnia on większości równe szanse oraz wysokie zatrudnienie „w zamian” niejako za wysokie podatki i wydatki publiczne, a w konsekwencji konieczność istnienia tzw. *dual-earner household* – gospodarstw domowych z dwiema pracującymi osobami. „Piętą achillesową” tego rozwiązania jest jego zależność od skuteczności ograniczania presji finansowej ogromnego sektora państwowego, by zapobiec inflacji i nadmiernym obciążeniom budżetu. Funkcjonalność systemu zależna jest zarówno od solidarności między klasami, jak i od – co nawet ważniejsze – solidarności ludzi zatrudnionych w różnych sektorach gospodarki. Najbardziej prawdopodobny konflikt zachodzi między pracownikami sektora prywatnego (zatrudniającego głównie mężczyzn) a pracownikami sektora publicznego (zatrudniającego głównie kobiety). Należy uznać, iż konflikt ten jest dość czytelny społecznie, a transfery pieniędzy idą z wiadomego kierunku. Natomiast z potencjalnego konfliktu nie przekształca się w rzeczywisty dlatego, że właściwie jest konfliktem wewnątrzmażeńskim. Tak w każdym razie było przez dziesięciolecia dominacji tradycyjnego modelu rodziny. Czy znaczące zmiany modelu rodziny nie przyczyniają się do erozji jego stabilności to oddzielny i nadal przyszłościowy problem.

Model konserwatywny zależy w głównej mierze od zdolności systemu do utrzymywania wysokiej produktywności gospodarki, tak by można było pokrywać liczne świadczenia socjalne, głównie

dla osób znajdujących się poza rynkiem pracy – emerytów i niepracujących kobiet. „Piętą achillesową” tego modelu jest nieustannie wzrastający koszt utrzymania tej populacji. Potencjalny konflikt występuje tu przede wszystkim między „insiderami” rynku pracy – ludźmi o trwałym i pewnym zatrudnieniu a jego „outsiderami” – ludźmi całkiem lub częściowo poza rynkiem pracy. Jeśli przełożyć to na bardziej społeczno-demograficzny język, chodzi tu z jednej strony o młodych i/lub mężczyzn, a z drugiej – kobiety i/lub osoby starsze, a to wynika z tradycji rodzinnych i zastanego modelu rodziny i relacji międzypokoleniowych.

Państwo w **modelu liberalnym** nie steruje systemem zatrudnienia ani nie zajmuje się bezpośrednią redystrybucją zasobów. Pracowników na takim rynku pracy łatwo zwolnić, ale i łatwo zatrudnić. System ubezpieczeń społecznych jest wybiórczy, a jego zakres zależy od sektora i konkretnej firmy zatrudniającej pracownika. Los ludzki – używając języka Espinga-Andersena – jest „słabo zdekomodifikowany”. Kanałem artykulacji interesów są głównie media, a ich obrony – system sprawiedliwości, sądy. „Piętą achillesową” tego systemu jest silna utrzymująca się polaryzacja gospodarki usług – swoisty dualizm zawodów, gdzie zarówno jakość pracy, jak i wynagrodzenia oraz zabezpieczenie socjalne jest wysoce nierówne, znacznie bardziej zróżnicowane niż w innych systemach. Potencjalny konflikt wynikający z nierówności rynkowych to *de facto* konflikt klasowy, choć akurat w najbardziej typowym dla tego modelu kraju, w USA z wielu powodów historycznych niezbyt widoczny.

Typologia zaproponowana przez G. Espinga-Andersena została – jak zwykle w przypadku dzieł wybitnych – zarówno uznana za dzieło wzorcowe, jak i krytykowana i uzupełniana.

Podkreślić jednak należy, a to z punktu widzenia naszych rozważań o odmianach i jakości demokracji ma znaczenie kluczowe, iż rzeczywiście nie tylko ekonomia polityczna, polityka publiczna i transfery ekonomiczne różnią poszczególne demokracje, ale mamy także do czynienia z różnorodnością codziennego doświadczania demokracji przez obywateli. W jednych przypadkach los człowieka w gospodarce jest silnie wspierany i zapośredniczony przez sprawność instytucjonalnej infrastruktury, w innych zaś nie jest. Krótko rzecz ujmując, choć współczesny Szwed i Amerykanin żyją w demokracjach, to są to dwie różne demokracje. Co więcej, praca Espinga-Andersena przekonuje nas, że wielką narodową różnorodność można ująć w pewne syndromatyczne podobieństwa, wynikające zarówno z rozwoju historycznego regionów rozwiniętego świata, jak i z kulturowych tradycji. Jego praca była jednak także krytykowana; a to za fakt, że zbyt wąsko koncentruje uwagę na logice zasiłków socjalnych, a to, że jest zbyt skoncentrowana wyłącznie na relacji państwo – rynek, a to, że poświęcono w niej za wiele uwagi kwestiom nierówności płci. Nie będziemy tu przywoływać odpowiedzi, jakich Autor udzielał krytykom¹³, zamiast tego pozwólmymy sobie na krótką uwagę na temat tego, iż wielu autorów proponowało uzupełnienie jego trzech modeli (jakimś) czwartym. Zazwyczaj jako zasadną, to jest realnie istniejącą i „modelową” odmienność poszczególni autorzy wskazują Antypody (Castles & Mitchell 1993; Castles 1996), obszar śródziemnomorski (Leibfried 1992) czy Japonię, a także Koreę i Tajwan.

Australia (i poniekąd także Nowa Zelandia) pomimo jej ogromnego podobieństwa do modelowych krajów liberalnych,

13 Zainteresowany czytelnik znajdzie je w publikacji G. Espinga-Andersena z 1999 roku (patrz bibliografia).

wyróżnia się jednak tym, że ma dość hojny program ochrony zdrowia, a pomoc socjalna, choć też testowana skrupulatnie i adekwatnie do potrzeb, jest jednak na znacznie wyższym poziomie. W przypadku Włoch mamy do czynienia z silnym wpływem quasi-publicznych powiązań rodzinnych i klientelizmu politycznego – dystrybucja socjalnych zasiłków jest ściśle powiązana z celami wyborczymi. Podobnie jest w pozostałych krajach regionu, zwłaszcza tam, gdzie odnotowujemy silne i długie okresy dominacji chrześcijańskiej demokracji. Rodzina i związki rodzinne oraz znaczna nieformalna redystrybucja zasobów w ramach tejsze to niezwykle charakterystyczny rys domniemanego modelu śródziemnomorskiego. W końcu specyfiką azjatyckich tygrysów jest wiele niespotykanych gdzie indziej cech, takich jak: sztuczne utrzymywanie niemal pełnego zatrudnienia, wysoce regulowany rynek wewnętrzny, względnie egalitarna dystrybucja dochodów, wszystko „w sosie” znacznego politycznego autorytaryzmu.

Konkludując, wypada powiedzieć tak: odmiana państwa dobrobytu ma ogromny wpływ na to, jakie oczekiwania obywatele mają względem siebie, ładu społecznego, sprawiedliwości społecznej oraz samej demokracji, a zwłaszcza jej praktyki, głównie tej dotyczącej mechanizmów redystrybucji, sposobów i zasad podejmowania zbiorowych decyzji. To właśnie ocena dotycząca tych aspektów demokracji ma przemożny wpływ zarówno na ogólne zadowolenie z jej funkcjonowania, jak i na inwencję w jej reformowaniu oraz – w szczególności – na proponowanie demokratycznych innowacji.

Nieco odmienne ujęcie współczesnych demokracji krajów rozwiniętych proponują m.in. Hall i Soskice (2001). Ich „odmiany kapitalizmów” (*varieties of capitalisms*) koncentrują uwagę na mikromechanizmach kapitalistycznych instytucji i sposobów ich dostosowania do otoczenia. Ujęcie to łączy paradygmat historycznego instytucjonalizmu z indywidualistyczną racjonalnością (choć nie do końca z teorią racjonalnego wyboru), ale najważniejsze, że ujmuje modelowe rozwiązania kapitalizmu z punktu widzenia firm w nim funkcjonujących. Podejście to zakłada, że firmy, by się rozwijać, muszą współpracować z innymi podmiotami, włączając w to ich własnych pracowników, klientów, współpracowników i inwestorów, by wymienić tylko najważniejszych. Rozwiązując pojawiające się problemy, firmy polegają na instytucjach, ujmowanych jako zbiory formalnych i nieformalnych zasad regulujących ich zachowanie. Odbywa się to wszystko w pięciu sferach, są to jednocześnie konstytutywne wymiary stanowiące podstawę różnicowania owych dwóch typów kapitalizmu. I tak, chodzi tu o: stosunki przemysłowe, kształcenie zawodowe i szerzej wykształcenie niejako „sektorowe”, styl korporacyjnego zarządzania i zasady ustanawiania standardów, stosunek do badań i rozwoju (R&D) i transferu technologii oraz relacje instytucjonalne między światem pracy i kapitału (Bohle, Greskovits 2009). Spośród powyższych czynników jeden z ważniejszych, jeśli nie najważniejszy, dotyczy właśnie instytucji kształtowania umiejętności pracowniczych i związków tego podsystemu z szerszym zagadnieniem zabezpieczenia społecznego. To ten czynnik właśnie łączy podejście odmian kapitalizmów z poprzednio omawianym, skoncentrowanym na modelowej logice współczesnego państwa dobrobytu. Klasycy gatunku wyróżniają dwa modele kapitalizmów, po pierwsze –

koordynowaną gospodarkę rynkową (*coordinated market economy*, CME) oraz, po drugie – liberalną gospodarkę rynkową (*liberal market economy*, LME). Prototypową gospodarką pierwszego typu są Niemcy, a drugiego – USA. W tym drugim przypadku współpraca i koordynacja działań firm odbywa się poprzez rynek, w tym pierwszym – jest to bardziej złożony mechanizm kontraktów oraz zinstytucjonalizowanych sieci powiązań. W LME ludzie znajdują miejsca pracy na rynku, a ich konkretne umiejętności kształtowane w firmach, są niejako na miejscu przyuczani do specyficznych wymogów firm. W CME są pochodną planowych działań edukacyjnych w makroskali, pracownicy są kształceni pod zapotrzebowanie sektorów gospodarki. Jeszcze inaczej – i używając języka Hirschmana (1970) – można powiedzieć, że LME zorientowane są na zapewnienie płynnego mechanizmu *exit* w sytuacjach potknięć efektywnościowych. Model CME odwrotnie – koncentruje uwagę na tym, by mobilizować lojalność i aktywizować zbiorową artykulację (głos Hirschmana) jako rutynowe środki zaradcze w sytuacjach kryzysowych (Crouch 2005).

Odmiany kapitalizmów pozwalają w innym świetle spojrzeć na relacje między gospodarką a demokracją. Kapitalizm koordynowany – w sensie społecznym – jest bardziej kolektywistyczny, a liberalny model w mniejszym stopniu wykorzystuje instytucjonalne rozwiązania do kreowania ładu gospodarczego. Co więcej, w tym ostatnim modelu mechanizmy demokracji w mniejszym stopniu kreują los ludzki – by użyć słownictwa Espinga-Andersena – w kierunku jego dekomodyfikacji. Jak łatwo się domyślić, podstawy zamysłów reformatorskich w odniesieniu do demokracji, jej innowacji i eksperymentalnych rozwiązań różnią się w zależności od tego, w jakiej odmianie kapitalizmu występuje.

CZEŚĆ TRZECIA

RECEPTY NAPRAWY

ROZDZIAŁ 1.

Doświadczenia demokracji bezpośredniej

Ogrom krytyki artykułowany względem współczesnych demokracji nie oznacza jednak, że istnieje jakieś bezpośrednie zagrożenie dla jej istnienia, choć ortodoksyjnie liberalna czy minimalistyczna jej wersja są poddawane – jak na to wskazywaliśmy w poprzednich częściach pracy – dość zasadniczej i zasadnej krytyce. Wielu obywateli jest „pozytywnie krytycznie” nastawionych względem demokracji i nie ukrywa, że chciałoby na co dzień lepszej jej jakości. Krytyczna ocena tej formy ustrojowej po części wynika także z faktu delegacji znacznej części uprawnień z poziomu rządu narodowego na poziom ponadnarodowy, poziom bardziej „obcy” i scentralizowany, a także mniej demokratyczny w pierwotnym rozumieniu tego terminu. Dla krajów europejskich takim nowym słabo kontrolowanym przez obywateli poziomem podejmowania decyzji stała się Unia Europejska, dla innych – choć w mniejszym stopniu – ASEAN, NAFTA czy MERCOSUR. O ile jednak przystępowanie do Unii Europejskiej czy innych ponadnarodowych organizacji gospodarczych stanowiło akt celowej racjonalności i – najczęściej – było akceptowane w jakichś demokratycznych procedurach, o tyle inne formy zrzekania się suwerenności narodowej na rzecz organizacji ponadnarodowych (konkordaty w krajach katolickich; działanie transnarodowych korporacji w krajach słabych gospodarczo czy w końcu globalizacja wpływu międzynarodowego kapitału) stanowiły tę część uzależnienia, która nie była ani celowo planowana, ani pożądana.

Zanim przejdziemy do reakcji na niedomagania demokracji, które pojawiły się na świecie w ostatnim ćwierćwieczu, zajrzyjmy pokrótce do rozwiązań, które postrzegano jako nadzieję na naprawę demokracji kilka dziesiątków lat temu – poświęćmy nieco czasu na przegląd dokonań demokracji bezpośredniej. Zaznaczmy na wstępie, że nie będziemy w tym miejscu drobiazgowo zajmować się – całkiem zasadnymi – rozróżnieniami poszczególnych form demokracji bezpośredniej: referendum, plebiscytów, inicjatyw obywatelskich czy innych form bezpośredniego wpływu obywateli bądź to na decyzje polityczne, bądź to na obsadę stanowisk. Zamiast tego proponujemy generalny ogląd i ocenę tej formy sprawowania władzy przez *demos*.

Zacznijmy od prostej statystyki jej występowania: o ile w pierwszych dwóch dekadach XX wieku referendalnych rozstrzygnięć można byłoby doliczyć się w sumie poniżej pięćdziesięciu, a w dwudziestoleciu międzywojennym z trudem około 100, to już w okresie powojennego prosperity lat 1961–1980 liczba ta wynosiła powyżej 250, a w ostatnich dwóch dekadach XX wieku sięga około 350 (LeDuc 2000: 21). Geografia referendalna trwałych demokracji jest niesłychanie zróżnicowana. Są wśród owych stabilnych demokracji niesłychanie w tej materii konserwatywne kraje, takie jak Wielka Brytania, gdzie do referendum dochodzi niesłychanie rzadko, z powodów zasadniczych – przekonania, że demokracja przedstawicielska jest właśnie przedstawicielska i to reprezentanci obywateli powinni mieć pełną władzę w decydowaniu o istotnych kwestiach publicznych. Są też kraje, które incydentalnie, w ważnych sprawach fundują sobie referenda, takie jak Irlandia czy Urugwaj, po takie, których cechą systemową jest

właśnie odwoływanie się do bezpośrednich decyzji obywateli, jak w Szwajcarii czy niektórych stanach USA (np. Kalifornii).

Warto przy tym zaznaczyć, że obywatele są tym bardziej zadowoleni z bezpośredniej formy wpływania na decyzje polityczne, im częściej jest ona w danym kraju praktykowana. Inaczej rzecz ujmując, demokracja bezpośrednia ma polityczne wsparcie obywateli, gdy jest cechą konstytutywną systemu politycznego, a nie tam, gdzie funkcjonuje niejako „obok” niego. To ważne, wszak obywatele powinni być zadowoleni z formy czy modelu demokracji, w jakim żyją. Nie jest jednak tak, by zadowolenie obywateli samo w sobie wystarczyło. Badacze muszą zadać sobie trud rzetelnej odpowiedzi na pytanie, jakie są obiektywne wady i zalety praktykowania demokracji bezpośredniej (Budge 1996; Gallagher, Uleri 1996).

Zacznijmy od wad: jest ich sporo, zarówno tych kategoriałnie różnych, jak i tych połączonych w problemowe syndromy. Po pierwsze, i chyba najistotniejsze, referenda cechuje niska frekwencja; jest to problem powszechny i stały. Fakt ten ma kilka istotnych implikacji; referenda wszak dotyczą kwestii najistotniejszych, należałoby zatem oczekiwać, by decyzje podejmowane tą drogą były silnie legitymizowane, najlepiej nie tylko większością prostą, ale jakąś „kwalifikowaną” (dwóch trzecich lub czterech piątych), a to zdarza się niesłychanie rzadko. Na przykład w 1996 roku Kalifornijczycy głosujący w sprawie dopuszczenia marihuany do celów leczniczych opowiedzieli się w 55% za tym rozwiązaniem, lecz odbyło się to przy zaledwie 35-procentowej frekwencji zarejestrowanych wyborców, a więc stanowiło tylko 19% wszystkich zarejestrowanych (a oznacza to, że odsetek potencjalnie uprawnionych do głosowania jest

jeszcze niższy). Nierzadko mamy do czynienia z astronomicznie niską frekwencją, taką, która wchodzi do annałów tego modelowego rozwiązania¹⁴. Co więcej, niska frekwencja w referendach powoduje zazwyczaj większą dysproporcjonalność – ci, którzy w nich uczestniczą, są mniej reprezentatywni dla niebiorących w nich udziału niż skutki dysproporcjonalności, jakie odnotowujemy w klasycznych wyborach parlamentarnych. To bardzo poważna wada, wszak referenda miały stanowić panaceum na domniemaną niereprezentatywność wyborów powszechnych, bo nie są one – zazwyczaj – powszechne właśnie. A tak nie jest. Ponadto, o ile w wyborach powszechnych trwałych demokracji wielokrotnie prowadzone i skomplikowane analizy frekwencji pozwalają nam – sztucznie, ale skutecznie – oszacować, kim są nieobecni u urn wyborczych, o tyle nie wiemy tego w przypadku referendów w konkretnej sprawie. Inaczej rzecz ujmując, o ile w wyborach powszechnych jest nikła szansa, iż jakaś ważna grupa społeczna nie będzie w ogóle reprezentowana w – powiedzmy – parlamencie, o tyle w referendach całkowita nieobecność znaczącej grupy jest wielce prawdopodobna (Bowler, Donovan 1998).

Nieco odmienne zagadnienie, ale związane z wyżej omawianym, to kwestia istnienia tzw. neurotycznych mniejszości, marginalnych grup, nagłaśniających kwestie niszowe, interesujące ludzi skupionych na specyficznych problemach, którymi nie są w stanie zainteresować szerszej publiczności. I choć należy podkreślić wagę, jaką demokracje winny poświęcać najmniejszym mniejszościom, w tym przypadku chodzi o pragmatyzm

¹⁴ Znane są przypadki plebiscytów z Kalifornii, na których nie stawiali się sami wnioskodawcy.

takich działań, a zwłaszcza o nieadekwatność ochrony interesów takich mniejszości metodą demokracji bezpośredniej. Jest ona bowiem immanentnie większościowa w swych rozwiązaniach i wymowie. Jeśli gdziekolwiek mamy do czynienia z „tyranią większości” (czego tak bardzo obawiali się Ojcowie Założyciele), to właśnie w przypadku referendum. Z drugiej strony, owe „neurotyczne mniejszości” i ich działalność powinny być traktowane także jako poważny koszt – podejmowane są bowiem działania oraz mobilizacja zasobów i ludzi, które do niczego konkretnego nie doprowadzają, stanowiąc marnotrawienie ludzkiej energii.

Po drugie, liczne badania pre- i postreferendalne wskazują niezbicie, że wiedza przeciętnego obywatela o przedmiocie rozstrzyganego sporu jest nikła, iluzoryczna, a często celowo manipulowana przez możnych tego świata. Inaczej mówiąc, w tej formie demokracji bardziej niż w innych widoczny jest deficyt kompetencji merytorycznej wyborców (Clarke i inni 1996). I nie chodzi tylko o to, że badania typu socjologicznego „obiektywnie” wykazują brak wiedzy o przedmiocie rozstrzyganym w referendum, także sami wyborcy deklarują niewiedzę, niezrozumienie istoty problemu lub narzekają na zbyt skomplikowane, niezrozumiałe – ich zdaniem – pytania. Bywa, że referenda są grupowane i w trakcie jednego wielopytaniowego referendum porusza się kilka lub kilkanaście kwestii, decyzje w których wielu osobom mogą wydawać się po prostu nielogiczne czy niespójne. Na przykład w stanie Oregon w roku 2000 przy okazji wyborów przedłożono obywatelom do rozstrzygnięcia dodatkowo 26 innych kwestii, tak różnych, jak: polityka tytoniowa, budżet oświaty, finansowanie kampanii wyborczych, kontrola sprzedaży broni etc. Nie dziwota, że wielu

wyborców twierdziło, iż spowodowało to straszny zamęt, a wybory w jednych sprawach wpływały lub utrudniały wybór w innych.

Po trzecie, w licznych przypadkach referenda i plebiscyty są narzędziami manipulacji dokonywanej przez elity polityczne. Elity starają się zarówno narzucić dyskurs i tematykę pewnych kwestii jako istotniejszych niż inne, mogą manipulować samym ujęciem kontrowersyjnej kwestii, jak i wpływać na konkretną treść (*wording*) pytań referendalnych. Nierzadko pytania są bardzo skomplikowane, wręcz zagmatwane, a metodologiczna zasada, by w takich przypadkach stosować tylko pytania-rozstrzygnięcia, nie zawsze jest przestrzegana. Zdarza się, że elity celowo ukrywają prawdziwą informację przed swymi zwolennikami, by skłonić ich do postępowania w pewien sposób i oddania głosu za rozwiązaniem sprzyjającym interesom tychże elit. Manipulacja elit przejawia się często także w czym innym. Demokracja przedstawicielska oparta jest na założeniu „rozliczalności” (*accountability*) polityków. A politycy nie przepadają za rozliczalnością. W sytuacji – nie tak rzadkiej w demokracjach – gdy jakaś kwestia jest kontrowersyjna, podział opinii publicznej jest równy lub występuje konieczność wprowadzenia konkretnego rozwiązania, niepopularnego wśród większości wspólnoty – politycy chętnie cedują delegowane im przez *demos* przedstawicielskie uprawnienia i rezygnują z podejmowania decyzji (i brania zań odpowiedzialności) na rzecz ludu właśnie. A ten, jak wskazywałem na to powyżej, niekoniecznie zna się na istocie kontrowersyjnej materii.

Po czwarte, referenda zasadniczo zagrażają mniejszościom, bardzo różnym mniejszościom, począwszy od tych klarownie

zdefiniowanych ze względu na kolor skóry czy język, poprzez religijne, a skończywszy na obyczajowych. Wiadomo, że referenda przyczyniają się do wzrostu konfliktów etnicznych i dlatego właśnie nigdy nie są praktykowane w takich trwale podzielonych społeczeństwach i państwach, jak Izrael, Belgia czy Indie.

W końcu instytucje demokracji bezpośredniej są skutecznym narzędziem wykorzystywanym do swych celów przez grupy dobrze zorganizowane kosztem grup zmarginalizowanych. Grupy interesu znacznie lepiej z nich korzystają niż liczniejsi, ale rozproszeni czy niezorganizowani ludzie. I tak, przewagę zawsze mają nieliczni krzykliwi związkowcy domagający się kolejnych przywilejów, a nie znacznie liczniejsi i zazwyczaj znacznie mniej uprzywilejowani emeryci, ludzie poza rynkiem pracy czy mniejszości.

Gdyby chcieć sformułować praktyczny przewodnik po referendach, należałoby – wykorzystując rzetelne badania empiryczne na temat tej formy demokracji – ustrukturyzować poszczególne jego działy w taki sposób, by dawały czytelnikowi jasną odpowiedź na następujące pytania:

- Kto – konkretnie – decyduje o tym, że jakaś kwestia poddana zostaje pod referendalne rozstrzygnięcie?
- Które kwestie społeczne, sprawy publiczne i polityki sektorowe warto poddawać pod decyzje *demosu*, a których zdecydowanie nie warto? I dlaczego?
- Kto ostatecznie „redaguje” pytania? Kto ma prawo to robić, czy jest to formalnie zatwierdzone rozwiązanie i kto tak zdecydował?

- Ile osób czy jaki ich odsetek (i liczony względem czego) powinien podpisać się pod petycją o referendum czy plebiscytem w sprawie ich przeprowadzenia?
- Kto określa (i jak precyzyjnie jest to zapisane), jaki jest status owego referendalnego rozstrzygnięcia? Czy jego wynik jest tylko zasięgnięciem opinii społeczeństwa, czy też ma obowiązującą moc prawną?
- Jak powinny wyglądać kampanie referendalne? Kto je finansuje, gdzie i jak się je prowadzi (sfera publiczna czy rynkowy żywioł) i ile pieniędzy wolno na nie wydać?
- Jak długo referendalne rozstrzygnięcia obowiązują? A konkretnie, kiedy „przegrywająca strona” może ponownie starać się o zainicjowanie kolejnego referendum w tej samej sprawie?
- Czy sądy, ciało ustawodawcze (lub inne organy) mają prawo decydować o woli ludu wyrażonej w referendum i ją interpretować, a także czy mają prawo ją odrzucić, a jeśli tak, to w jakich okolicznościach?

Zagadnienia wymienione w dwóch ostatnich punktach stanowią niezwykle istotne, a często niedoceniane aspekty istoty demokracji bezpośredniej, jej sensowności, skuteczności i legitymizacji przez *demos* właśnie. By była jasność, nie sugeruję w tej kwestii jakiegoś jednoznacznego opowiedzenia się za głosem ludu i traktowania go jako wyznacznika wszechrzeczy. Wręcz odwrotnie – bliski mi jest w tej sprawie sceptycyzm tradycji brytyjskiej, głoszący, iż współczesna polityka jest tak skomplikowanym organizmem, a państwo uwikłane w mnogość międzynarodowych i globalnych zależności, że – i tak ponosząc koszty demokracji liberalnej i przedstawicielskiej – nie należy dokładać sobie do tego niejako dodatkowego kłopotu

w postaci brania pod uwagę zbiorowych preferencji ludu w konkretnych sprawach. Brytyjczycy uważają, że to właśnie w wyborach winny być stawiane fundamentalne pytania, jaką drogą rozwoju ma podążać w najbliższej i tej dalszej przyszłości kraj, a obywatele wybierając spośród partyjnych programowych opcji, wypowiadają się właśnie na ten temat. Szczegóły zaś jak realizować tak nakreślone interesy winny pozostawać w gestii kompetentnych elit politycznych, które – jeśli się nie sprawdzą – zostaną zapewne odwołane przy następnej wyborczej okazji.

Tak więc doświadczenia demokracji bezpośredniej ostatniego półwiecza są zróżnicowane; z pewnością jednak nie dają podstaw do twierdzenia, iż powrót do nich przyczynił się do zwiększenia atrakcyjności demokracji czy w sposób wyraźny poprawił jej jakość. Jeśli można wysnuć jakikolwiek ogólny wniosek, to raczej taki, że naprawa demokracji *via* metody bezpośrednie poniosła porażkę. Głównie za sprawą trzech ogólnych czynników: słabego kognitywnego wyrobienia elektoratu i jego ograniczonej wiedzy, niskiej i dysproporcjonalnej frekwencji oraz skutecznie manipulatorskiego działania elit i grup interesu. Nie sposób jednak zaprzeczyć, że są na świecie miejsca i społeczności, którym udało się, a sama demokracja bezpośrednia jest akceptowana jako dominująca metoda rozstrzygania spraw publicznych. Co więcej, metoda ta – w swej proceduralnej i technicznej warstwie – stworzyła poniekąd podwaliny innych demokratycznych innowacji, demokracji deliberatywnej zwłaszcza. I to jest tematem dalszych części pracy.

ROZDZIAŁ 2.

Demokratyczne innowacje

Do tej pory omawialiśmy różne defekty demokracji, głównie jej bezpośredniej i liberalnej wersji. Zwłaszcza krytyka odmian demokracji bezpośredniej stała się zaczynem myślenia o alternatywach. Alternatywach „w ramach demokracji” i takich, których demokratyczny status można podawać w wątpliwość (to ostatnie zagadnienie zostanie poruszone później). Zauważmy na początku, że wielkie debaty minionych dekad ujawniają wiele paradoksów funkcjonowania demokracji. Jednym z nich jest ten podstawowy – z biegiem lat liberalizm i przedstawicielska wersja demokracji zagwarantowały całym społeczeństwom dostęp do demokratycznych procedur, wartości i decyzji. Z dzisiejszej perspektywy można powiedzieć, że dochodziło do tego w różny sposób i w różnym tempie, czasami dość powoli, czasami zbyt szybko. Nowa Zelandia, a chwilę potem Australia przyznały prawo do głosowania kobietom pod koniec XIX wieku, Francja i Szwajcaria po drugiej wojnie światowej, ta druga dopiero w 1971 roku, a więc w epoce post-industrialnej, w początkach postmaterializmu i wielkich obyczajowych przemian.

Ktoś może zadać zasadne pytanie: a z jakiego punktu widzenia proces demokratycznego otwarcia był zbyt szybki lub zbyt opóźniony? Myślę, że oceny tej można dokonywać według dwóch kryteriów. Po pierwsze, z punktu widzenia modernizacyjnego poziomu rozwoju i jego pochodnych – zamożności, poziomu edukacji, urbanizacji i industrializacji oraz, po drugie,

o czym tak sugestywnie przekonuje nas Robert Dahl (1956; 1971), z punktu widzenia sekwencji zinstytucjonalizowanej demokratycznej praktyki i demokratycznego otwarcia się na klasy do tej pory wykluczone. W największym skrócie, dwa osiowe komponenty demokracji według Dahla to współzawodnictwo i partycypacja. Problem, jaki widzi Dahl i co potwierdza nie tylko akademicka refleksja nad demokracją, ale też niejako „z lotu ptaka” widoczna praktyka udanych i tych mniej udanych demokratyzacji i demokratycznej stabilności krajów, to kwestia sekwencji instytucjonalizacji tych właśnie dwóch filarów demokracji. W jego mniemaniu po to, by demokracje mogły skutecznie implementować oraz efektywnie praktykować jej jakościową wersję, należy w długim okresie poprzedzającym otwarcie się na „klasy niższe” (i innych uprzednio wykluczonych) pozwolić demokratycznym instytucjom na bycie praktykowanymi przez węższy krąg elit. I dopiero gdy przez dziesięciolecia tak praktykowana demokracja obrośnie rutyną, a jej normy, instytucje i procedury zostaną „znaturalizowane”¹⁵, można stopniowo otwierać system

15 Znaturalizowane w sensie, jaki nadawał temu pojęciu Marks, a mianowicie uznane za naturalny element rzeczywistości, co czasami – jak to u Karola – było łączone w przypadku tzw. fałszywej świadomości z zabiegami natury socjalizacyjnej, perswazyjnej czy ideologicznej. W takim samym sensie możemy mówić, iż proces instytucjonalizacji norm, procedur i wartości demokratycznych był skuteczną kreacją dość bezkrytycznej wiary w wyższość demokracji nad innymi rozwiązaniami ustrojowymi. Wyrafinowaną wersję takiej skutecznej socjalizacji do bezalternatywności demokracji odnajdujemy w pracach Davida Eastona, gdy ten przekonuje nas o fundamentalnym znaczeniu dla stabilności demokracji powstania zjawiska „rozproszonego poparcia dla demokracji” (*diffuse political support*), w odróżnieniu od „poparcia konkretnego”, czyli takiego, którym cieszą się partie polityczne, konkretni politycy czy koalicje rządowe (Easton 1956; 1965).

na większą partycypację. Ostatecznym krokiem jest dopuszczenie do wpływania na sprawy publiczne wszystkich dorosłych obywateli, lecz jest to proces, który powinien przebiegać stopniowo, a polegać raczej na kooptacji nowych warstw społecznych do uczestnictwa, niż na jakimś jednym wielkim otwarciu. Temu wielkiemu otwarciu towarzyszyło zresztą zawsze ogromne napięcie wynikające z niepewności co do wyniku gry wyborczej. Stąd zazwyczaj towarzyszyła mu znaczna innowacyjność instytucjonalnych rozwiązań nakierowanych na wprowadzenie do procesu decyzyjnego tzw. punktów „weta”, czy to w formie ustanawiania izb wyższych, przedstawicielstwo w których nie było zależne bezpośrednio od woli ludu, czy to w formie ustanawiania ordynacji wyborczych sprzyjających zachowaniu kontroli nad procesem decyzyjnym przez reprezentantów *ancien régime*'u (Rokkan 1970). Z bardzo podobnym zjawiskiem mieliśmy do czynienia w okresie zmian ustrojowych w Europie Środkowo-Wschodniej. Porównanie instytucjonalnych rozwiązań ostatecznie zaakceptowanych w Polsce i na Węgrzech pokazuje, że w jednym przypadku pojawiła się skomplikowana sieć zależności instytucjonalnych, w drugim niezwykle prosta (jednoizbowy parlament, system czysto parlamentarno-gabinetowy, z wyłącznie reprezentacyjną, by nie powiedzieć fasadową, rolą prezydenta). Wskazuje to właśnie na poziom owej niepewności, w tym przypadku – co do roli, jaką może odegrać tzw. zewnętrzny gracz wetujący – Kreml (Lijphart 1992).

Kończąc wątek temporalny – poziomu modernizacji i sekwencji czasowej implementacji instytucji demokratycznych – wypada podkreślić, że zaprezentowane tu akademickie dociekania niemal idealnie pasują do rzeczywistości politycznej Europy oglądanej okiem nieprofesjonalnym. Historia XIX i XX wieku niezbitnie dowodzi, że nadmiar politycznej mobilizacji bez

odpowiedniej instytucjonalizacji to recepta na klęskę (patrz np. Huntington 1968). *Dictum* teoretyków modernizacji jest podobne – modernizacyjna zmiana winna być oparta na tradycji. Nie przypadkiem w pierwszej połowie XX wieku – właściwie wszystkie bez wyjątku – monarchie konstytucyjne okazały się odporne na pokusy autorytaryzmów i totalitaryzmów, a większość ustrojów republikańskich – nie.

Wiek XX, zwłaszcza zaś jego druga połowa to rozszerzenie praw obywateli z tych fundamentalnych, ale dość proceduralnych (politycznych i obywatelskich) w kierunku praw socjalnych (Marshall 1963). Nie miejsce tu, by omawiać szczegółowo triumfalny pochód państwa dobrobytu nawet w krajach, w których tradycja liberalnego elitaryzmu była silna, istotne jest to, że sukces tego rozwiązania był powszechny. Nadal jednak demokratyczne państwo było bardziej zarządzane „dla” niż „przez” obywateli. Stopniowo następował też konsensus w sprawie wyrazistego podziału na sferę publiczną i prywatną. Demokracja pozostawała – przez większość okresu i w większości krajów – minimalna, proceduralna i przedstawicielska. Lud miał wybierać co kilka lat i rozliczać swych reprezentantów, ale poza tym miał im pozostawiać sporo „powierniczej” (w duchu Burke’a) swobody. Stąd tak silny i istotny nacisk niektórych teoretyków demokracji (patrz Schmitter, Karl 1991; Schmitter 2005) na rozliczalność (*accountability*) jako najbardziej konstytutywną cechę demokracji. Jest to pogląd niesłychanie mi bliski, którego badaniu poświęciłem nieco czasu (Markowski 2002; 2006; 2007; Kitschelt, Mansfeldova, Markowski, Toka 1999).

W końcu demokracja i modernizacja dostarczyły ludowi tego, czego chciał – wpływu, choć ciągle pośredniego, na decyzje

polityczne, wolności słowa, zrzeszania się oraz względnie stabilnego i rosnącego poziomu życia. Idealna konfiguracja – wolność i bezpieczeństwo. *Homo sapiens* to jednak nadal dość nierozpoznany gatunek, a zwłaszcza zagadkowa bywa jego ocena różnych aspektów rzeczywistości. I tak, wiemy na przykład, że ludzie dość szybko przyzwyczajają się do wzrostu gospodarczego i po pewnym czasie traktują 3–4-procentowy wzrost jako coś naturalnego i ekwiwalentnego ekonomicznemu *equilibrium*, tj. traktują taki wzrost jako brak wzrostu, a spowolnienie do 1–2 procent wzrostu PKB skłonni są uważać za kryzys i recesję. Nie ulega wątpliwości, że to, z czym nie poradziliśmy sobie w demokracjach, to przygotowanie obywateli do niespodzianek, jakie szykuje nam rynek. Obecny kryzys jest tego znakomitym dowodem. Na problem Grecji można by wszak spojrzeć z takiego oto punktu widzenia – właściwie nic strasznego w Grecji się nie dzieje, trzeba tylko, by Grecy zdecydowali się na powrót do swojego standardu życia z okolic – powiedzmy – połowy lat 90. Czy wszak Grecy wówczas uważali, że źle im się żyje? Czy głodowali i nie widzieli przed sobą perspektyw życiowych? Nic mi o tym nie wiadomo. Lecz gdy proponuje się taką – w sumie zdroworozsądkową – umowę społeczną, to większość, zwłaszcza ekonomiści, traktują autora takiej i podobnych propozycji jak dowcipnisia albo osobę kompletnie oderwaną od rzeczywistości. Więc żeby nie być samotnym, przypomnę, że nie kto inny, jak John Stuart Mill, w końcu ojciec liberalizmu, postulował ponad półtora wieku temu coś podobnego. Był on ogromnie zaniepokojony wzrostem gospodarczym, zwłaszcza wzrostem szybkim. Postulował wprowadzenie *stationary state of the economy*, a więc stałego, ale bardzo powolnego wzrostu gospodarczego, w celu trojakim: po pierwsze, by zastopować zbędną i niepożądaną urbanizację oraz zapobiec powstawaniu wielkich skupisk

ludzkich, po drugie, by chronić przyrodę, jego zdaniem bezpowrotnie niszczoną oraz, po trzecie, by zapobiegać sztucznej aprecjacji materialnego bogactwa (Ryan 1974: 181 i nast.). Do kwestii wagi czynników ekonomicznych i uwzględniania ich w rozumieniu i definiowaniu demokracji jeszcze powrócimy.

Przejdźmy teraz do kwestii zasadniczych, jeśli chodzi o całym nowym problemem z demokracją. Ostatnie wielkie poszerzenie świata demokratycznego, czy jak kto woli, słowami Huntingtona – nowa fala demokratyzacji polegała na dołączeniu do demokratycznej rodziny krajów, które można określić jedynie jako minimalistyczne i proceduralne, a więc takie, które spełniają minimalistyczne warunki Schumpetera. W największym uproszczeniu: obywatele raz na jakiś czas wybierają rząd, poprzez oddawanie głosów, głosy te według wcześniej ustalonych reguł przeliczane są na mandaty, a ich zbiorcza wymowa decyduje o tym, kto będzie rządził. Rząd w sposób legitymizowany zarządza sprawami publicznymi w imieniu obywateli, a potem jest rozliczany. To są warunki „brzegowe” uznania systemu za demokratyczny. Nieco bardziej wymagające jest oczekiwanie, by możliwie jak najwięcej obywateli brało udział w procedurze wyboru przedstawicieli politycznych. Co więcej, jeśli – tak jak w przypadku Polski – znaczny odsetek obywateli nie uczestniczy w tym podstawowym akcie demokratycznej procedury, należy zadać sobie co najmniej dwa pytania. Po pierwsze, czy jakaś znacząca grupa społeczna jest systematycznie – niezależnie od tego, czy formalnie, czy jako wynik stosowanych procedur – wykluczana z wyborów? Po drugie zaś, czy frekwencja nie spada poniżej poziomu delegitymizującego całą procedurę i zwycięzców wyborów? Ale proceduralna demokracja jest problematyczna głównie dlatego, że jest tak ograniczona.

Można zrozumieć, że tak ją widzieli Weber i Schumpeter na początku XX wieku, ale trudno zrozumieć, dlaczego ciągle taką ją chcemy widzieć dziś, po wielu dekadach radykalnej zmiany społecznej – po procesach sekularyzacji, zaniku klasycznej klasy robotniczej, po okresie wielkich migracji i ruchliwości społecznej, w epoce usługowości gospodarek, sukcesu feminizmu itp. Dlaczego współczesna demokracja nie wymaga od swych obywateli, by starali się kompetentnie decydować? Dlaczego współczesny obywatel ma oddawać głos „tajnie”? Dlaczego nie miałyby właśnie dzielić się swoimi politycznymi przemyśleniami z innymi współobywatelami, przekonywać ich i otwarcie uzasadniać wybory, jakich dokonuje? Oczywiście nie jest tak, by współczesna demokracja zabraniała tego obywatelom (choć obowiązuje właśnie tajność głosowania oraz niemożność otwartego wspierania jakiejś opcji politycznej w dniu wyborów), ale też demokracja minimalistyczna od nich tego nie wymaga, a powinna. Czy jednak demokracja nie powinna zachęcać obywateli do dyskusowania o problematycznych kwestiach, dzielenia się swoimi opiniami i doświadczeniami oraz czy nie powinna ich zachęcać do prób osiągnięcia kompromisów w kwestiach spornych? Nawet jeśli owa demokratyczna zbiorowa rozmowa nie rozwiązuje problemów, to pozwala ludziom lepiej nawzajem się zrozumieć, wyjaśnić własne preferencje innym. To właśnie te oraz podobne do powyżej zarysowanych kwestie legły u podstaw wielu demokratycznych innowacji, zwłaszcza deliberatywnych (przedsięwzięć) odmian demokracji.

Jednym z podstawowych dylematów współczesnej demokracji elektoralnej jest kwestia, na ile sam akt głosowania winien być poprzedzony rozmowami, wymianą poglądów, sporami o racje i racjonalnym uzasadnianiem decyzji politycznych. Na ile hasło

first talk, then vote traktować dosłownie? Na ile agregacyjne podejście do ludzkich preferencji, to znane nam z demokracji przedstawicielskiej, w której ludzie po prostu głosują za czymś bez konieczności uczestniczenia w – mniej lub bardziej zinstytucjonalizowanych – wymianach poglądów, jest nie do pogodzenia właśnie z podejściem deliberacyjnym? No i najważniejsze – czym ma się deliberacja kończyć? Jedni twierdzą, że deliberacja ma cel autoteliczny – jest celem samym w sobie, a obywatelskie rozmowy w sferze publicznej są warunkiem koniecznym istnienia demokracji. Inni uważają, że jednak powinny one kończyć się osiągnięciem konsensusu; to ostatnie przekonanie jest szczególnie silnie artykułowane w praktyce i doświadczeniach duńskich „paneli technologicznych”. Rzecz jasna, jest to kwestia skali; wiemy doskonale, że deliberacja – nawet ta ambitna, gdzie wymogiem jest osiągnięcie konsensusu – udaje się dość dobrze w mikroskali, gdy deliberująca grupa liczy kilka, najwyżej kilkanaście jednostek. Nie mamy natomiast recepty, jak deliberować, a tym bardziej, czym deliberację sensownie zakończyć, gdy chodzi o makroskalę, o decyzje dotyczące całego społeczeństwa, w demokracji liberalnej rutynowo podejmowane w parlamencie.

Zanim jednak przejdziemy do ostatniej części, w której przedstawione zostaną rozważania i rady praktyczne, powróćmy na chwilę do problemów najbardziej aktualnych, AD 2014, a więc kolejnego roku przepoczwarczenia się światowego kryzysu gospodarczego. Nie będę się tu zajmował technicznymi aspektami fiskalnymi czy ekonomicznymi, ale ich społecznymi i politycznymi implikacjami, a także poniekąd przyczynami.

Ostatni kryzys ujmowany jest głównie jako ekonomiczny lub jeszcze więcej – jako finansowy – z czym się całkowicie nie

zgadzam. Uważam bowiem, że ujawnił on przede wszystkim nowe aspekty kryzysu demokracji. Okazało się, najprościej rzecz ujmując, że obywatele po prostu nie są w stanie skutecznie kontrolować rynku. A przypomnijmy, że wielu teoretyków demokracji, odmian kapitalizmu i roli rynku i państwa (Esping-Andersen 1990; 1996; Przeworski 1985; 1991; Hall, Soskice 2001; Kitschelt *et al.* 1999; Linz, Stepan 1996) właśnie w demokratycznej „dekomodifikacji losu ludzkiego” (by użyć sformułowania Esping-Andersena), a więc w uniezależnieniu losu ludzkiego od działania czystych sił rynkowych upatrywało największego osiągnięcia demokracji XX wieku. Co więcej, wielu uznało, że demokracja nie może być ograniczana tylko do funkcjonującego społeczeństwa obywatelskiego, politycznej wspólnoty, państwa prawa i funkcjonalnej biurokracji, ale że niezbędny jest także – to, co Linz i Stepan (1996) nazywają *economic community* – zestaw mechanizmów regulujących działania rynku, co więcej – mechanizmów regulacyjnych demokratycznie legitymizowanych. To właśnie ten brak kontroli demokracji nad zglobalizowanym rynkiem prowadzi nie tylko do widocznych kryzysów gospodarczych, ale też do instytucjonalizacji ogromnych nierówności społecznych.

Czuję się w obowiązku natychmiast wyjaśnić, co mam na myśli. Podzielam wątpliwości tych, którzy wskazują na wielki problem demokracji – nakaz traktowania ludzi jako równych, gdy w rzeczywistości równymi nie są. Funkcjonalna teoria nierówności społecznych – w swej umiarkowanej wersji głosząca konieczność istnienia zróżnicowania w wynagradzaniu ludzi w związku z ogromną różnorodnością i wagą pełnionych ról i funkcji społecznych – jest zasadnym i dobrze udokumentowanym ujęciem tego zjawiska. To oczywistość. Nierówności są

więc oczekiwanym stanem rzeczy, co więcej – stanem uznanym za zasadny; w społeczeństwie istnieją bowiem pozycje, które wymagają lepszego wynagradzania niż inne, mniej znaczące. Ale jest też taki poziom stratyfikacyjnych nierówności, a zwłaszcza ich zamrożenie, który nie jest funkcjonalny ani dla gospodarki, ani dla społeczeństwa, ani dla polityki. Badania – prowadzone nie tylko przez badaczy nauk społecznych, lecz na przykład również przez epidemiologów – oparte na kontrolowaniu wpływów makro i mikro, niezbieżnie pokazują, że nierówności same w sobie są źródłem nie tylko niezadowolenia z życia, nie tylko prowadzą do ubożnienia relacji społecznych i uczestnictwa w życiu publicznym, lecz także są przyczyną występowania wielu innych problemów w makroskali (Wilkinson, Pickett 2009). I tak, w krajach OECD o wysokich nierównościach społecznych mamy do czynienia z wyższą śmiertelnością niemowląt, powszechniejszym nadużywaniem narkotyków, gorszymi statystykami kryminalnymi, groźniejszym obrazem i zakresem występowania chorób psychicznych, a także otyłością. Dopowiedzmy wyraźnie, te zależności są prawdziwe po kontroli innych istotnych zmiennych kulturowo-ekonomicznych, które można podejrzewać o rzeczywisty wpływ na wyżej wymienione zjawiska. Odpowiedź na pytanie, dlaczego tak się dzieje, brzmi – w wersji siłą rzeczy uproszczonej – ano dlatego, że w społeczeństwach zdominowanych raczej przez duch rywalizacji niż kooperacji i solidaryzmu jednostka jest bardziej wyczulona na własny status społeczny, a im większa rozbieżność między bogatymi i biednymi, tym większe znaczenie przypisywane jest czynnikom materialnym, a zarazem występuje większy stres wynikający z dostrzegania tych różnic.

Ostatnia dekada nie daje powodów do optymizmu – nie wygląda na to, by nierówności miały w demokracjach zanikać,

zwłaszcza w demokracjach o silnym liberalnym rysie i rezydualnym systemie zabezpieczeń społecznych. Problem w tym, że dotyczy to USA i Wielkiej Brytanii, dwóch – by tak rzec – wzorotwórczych demokracji. Nie miejsce tu, by zagłębiać się w specyfikę amerykańskich problemów ostatniej dekady, ale nie ulega wątpliwości, że ci, którzy są zatroskani o ten kraj, o świat i o demokrację w ogóle, muszą sobie zadać pytanie (niewątpliwie Tocqueville zza grobu je zadaje): jak to się stało, że kraj o rzekomo tak rozbudowanej strukturze poziomego pluralizmu, tysięcy organizacji społecznych, oddolnie kreowanej przestrzeni publicznej, bez większych problemów dał się wprowadzić w stan wojny z iluzorycznym zagrożeniem, wymyśloną bronią masowej destrukcji i z wykreowanymi w Hollywood powiązaniem Iraku z al-Kaidą? Kilka lat później nadchodzi z tejże wersji demokracji i kapitalizmu kryzys finansowy, który ujawnił wszystko to, na co od dawna bezskutecznie wskazywało wielu analityków i naukowców – brak demokratycznej kontroli nad regułami rynkowymi. Ta makrokpina z losu ludzkiego, jaką zafundował swym obywatelom sektor finansowy, dotyczy milionów ludzi. Problem w tym, że demokracja nie dorobiła się skutecznego mechanizmu rozliczenia takiego nieodpowiedzialnego grupowego zachowania wysoko postawionej grupy zawodowej.

Nie sposób wymienić wielu innych dolegliwości współczesnych demokracji, zwłaszcza jej wersji minimalistycznej, liberalnej, opartej na rywalizacji społecznej i braku instytucjonalnych kanałów negocjacji i komunikacji między grupami społecznymi. Wszystko to uzasadnia potrzebę myślenia nie tylko o naprawie demokracji, ale i alternatywach wobec demokracji. By w ogóle tak ambitny zamysł się powiódł, jako pierwsze

w demokracji muszą znaleźć się siły zdolne do desakralizacji jej własnej ontologii. Na co dzień tego nie zauważamy, ale żyjemy w okresie głębokiego i szeroko rozprzestrzeniającego się konserwatyizmu kultury demokratycznej. Ten konserwatyzm kultury demokratycznej jest poniekąd niespodzianką i paradoksem, gdyż sens demokracji polega i zależy od istnienia alternatyw programowych i ideologicznych, ale jest to wymóg ograniczony – by tak rzec – do wewnętrznych aspektów demokracji. Nie ma więc przyzwolenia na debatę na temat alternatyw wobec demokracji. Z powodu tego samoograniczającego się układu tracimy szansę oglądu demokracji z szerszej perspektywy. Oczywiście porównujemy demokracje do totalitarnych czy autorytarnych reżimów, ale właściwie wszystko, co można było z tej komparatystyki naukowo „wycisnąć”, to już właściwie zrobiono. Wiemy, że demokracja jest od nich lepsza w każdym wymiarze, choć warto też pamiętać o tym, iż czasami systemy nie-demokratyczne odnosiły znaczące sukcesy gospodarcze, zwane „gospodarczymi cudami”, zwłaszcza w Ameryce Południowej i Azji Wschodniej (patrz np. Przeworski *et al.* 2000).

Nieuważny czytelnik może odnieść wrażenie, że demokracja jest niemal tak nieomylna, jak katolicki papież, a jej wartość jest nie do zastąpienia, co ma jednocześnie świadczyć o moralnej i politycznej legitymizacji. Większość demokratów w obliczu ewidentnych dowodów na jej dysfunkcjonalność proponuje jako kurację „więcej demokracji”, a wszystko to jest pochodną problemu bardziej fundamentalnego – w demokracji brak zewnętrznego źródła autorytetu demokratycznego procesu i demokratycznej ontologii.

Demokracja drugiej połowy XX wieku zyskała status świętości politycznej, obwarowanej konstytucyjnymi zasiekami.

Bariery uniemożliwiające rozmowę o alternatywach wobec demokracji intelektualnie zubażają dyskusję o samej demokracji, nie pozwalają nam bowiem ulokować ją na szerszym tle. Krótko: pora z tym stanem skończyć – innowacja winna wziąć górę nad demokratycznym dogmatyzmem. Z pewnego punktu widzenia – przynajmniej dość kontrowersyjnego i subiektywnego – takie cechy bazarów Wschodu, jak „uczciwe ceny” czy ich stosunek do „zysku i oprocentowania” wydają się, niektórym z nas, dużo bliższe i – po prostu – ludzkie, niż finansowe tradycje chciwych zachodnich bankierów, naszych domniemyanych pobratymców. Alternatywne rozwiązania są liczne, tyle że niechętnie do tej pory z nich korzystaliśmy, częściowo z czystej arogancji i przekonania o wyższości praktykowanej liberalnej formy ustrojowej, a po części wynikało to z inercji i ignorancji. Dziś, po kilku latach kryzysu kapitalizmu, zwłaszcza jego liberalnego modelu, lepiej niż uprzednio dostrzegamy wszystkie jego wady. Kapitalizm i gospodarka rynkowa dalekie są od zakładanych wzorowych samoregulujących się mechanizmów, a domniemana niewidzialna ręka jakby zdrętwiała...

Opowieść o tym, dlaczego tak się dzieje, trzeba rozpocząć od krytycznego spojrzenia na fundament współczesnej liberalnej demokracji – tradycję jej ujmowania po Schumpeterowsku, jako proceduralnego narzędzia wyłaniania przedstawicieli, uprawnionych w naszym imieniu do zarządzania nami i dobrem wspólnym przez wyznaczony okres, a następnie podlegających naszej ocenie. By być dobrze zrozumianym, nie zamierzam tu krytykować samego Schumpetera, który swe dzieło napisał w połowie lat 40., ani kwestionować prac Webera o konieczności elitarnego modelu demokracji. To minimalistyczne ujęcie demokracji miało wówczas racjonalne podstawy –

większość społeczeństw była słabo wykształcona, odsetki anal-fabetów znaczne, a uczestnictwo w sprawach publicznych marginalne. Krytyka należy się jednak tym, którzy nawet obecnie, na przełomie tysiącleci uparcie trwają przy takim ujmowaniu demokracji. Trwają przy nim także w dobie obecnego kryzysu, niesłusznie przez większość traktowanego jako niemający nic wspólnego z demokracją, z czym zasadniczo się nie zgadzam.

Tak więc po oddaniu należnej czci klasykom gatunku nadszedł czas, by porzucić ową minimalistyczną koncepcję demokracji. Obecnie ciąg zdarzeń polega na tym, że ludzie głosują, wybierają rządzących, głosy są liczone i agregowane, zwycięzcy rządzą przez jakiś czas, a potem znów to samo. Dzisiaj ta minimalistyczna wersja demokracji jest poddawana krytyce właśnie dlatego, że jest tak minimalistyczna – od obywatela oczekuje wyłącznie tego, by raz na jakiś czas zagłosował, a i to tylko wówczas, gdy ma na to ochotę. Taka wersja nie oczekuje od obywatela, by się zapoznał z programami, problemami i alternatywami, które władza będzie musiała rozstrzygać. Ta demokracja nie oczekuje, by ludzie wspólnie dyskutowali o istotnych kwestiach, ani by uzasadniali swoje polityczne wybory. Co więcej, głosowanie jest tajne – za nic nie można się dowiedzieć, kto jak głosował, nie mówiąc już o tym – dlaczego. Ta wersja demokracji dba o to, aby ludzie **mogli** wszystko, co zostało wymienione robić, ale **nie wymaga** tego od nich.

W minionych latach w naukach społecznych zyskały zwolenników podejścia wskazujące, że demokratyczny wyborca winien być „racjonalnym ignorantem”, tzn. o polityce winien wiedzieć tylko tyle, ile absolutnie niezbędne, a więc rozróżniać kolor ideologiczny poszczególnych partii (Downs 1957).

Współcześnie potrzebujemy jednak znajomości takich cech dominującego w większości krajów ustroju, które pozwalałyby rozumieć, ku czemu on zmierza, jakie cele będą realizowane, jaka jest „treść” danej demokracji; wszak może istnieć kilka ich odmian. Inaczej rzecz ujmując, nie sposób poważnie debatować o stanie i jakości demokracji bez uwzględnienia jej „wytworów”. Ograniczenie naszego zainteresowania wyłącznie do proceduralnej poprawności demokracji wyborczej, aczkolwiek to ważny aspekt, wydaje się dalece niewystarczające, choć rzeczywiście w wielu nowych demokracjach nadal jest to kluczowy aspekt. Jednakże w demokracjach stabilnych potrzebujemy czegoś więcej. Potrzebujemy demokracji – używając znanego sformułowania Lincolna – także „dla” ludzi, możliwie precyzyjnie określającej, jaką wersję „sprawiedliwości społecznej” realizujemy, jaki jest docelowy (nawet jeśli trudno osiągalny) model ładu społecznego. Demokracje bardzo się różnią – te skandynawskie to niemal inny świat niż ta rodem z USA.

Teoretyczne podstawy „deliberatywnego zwrotu”

Kluczowym zagadnieniem i realną kwestią praktyczną demokracji przedstawicielskiej przez wiele dekad było pytanie o to, kto stanowi *demos*, kto ma prawo do głosowania, a kto nie powinien go mieć i dlaczego. Historia demokratyzacji to w pewnym sensie historia otwierania się systemów demokratycznych na nowe grupy społeczne i uzasadnienia tychże oraz konsekwencje takiego otwarcia.

Podobnie można rozpocząć opowieść o „deliberatywnym zwrocie”. Jego inicjacja, fazy rozwoju oraz uzasadnienia dotyczą głównie tego, kto ma „dawać głos”, kto ma mieć prawo

publicznie deliberować. Początkowo wielu sugerowało dość ekskluzywne rozwiązanie (patrz np. Young 1990; 2000). Co więcej, z czysto teoretycznego punktu widzenia dość trudno snuć paralełę między głosowaniem a rozmawianiem, tj. deliberowaniem. O ile bowiem akt głosowania jest jednorazowy i choć są tacy, którzy (jak choćby teoretycy racjonalnego wyboru) całkiem poważnie liczą „koszty” brania udziału w głosowaniu, to jednak jest to kategoriałnie inna sytuacja niż ta, w której wszyscy rozmawiają. Jest niemożliwością, by ludzie, a tym bardziej wszyscy ludzie, stale deliberowali. Zatem esencja deliberatywnych przedsięwzięć zakłada, że jakaś forma reprezentatywności musi być przyjęta, a w końcu musi zostać legitymizowana, by móc podejmować wiążące decyzje. Deliberatywne przedsięwzięcia wyrastają bowiem z doświadczeń małych grup, gdzie interakcje twarzą w twarz stanowią podstawę tychże. W takich interakcjach każdy może się wypowiedzieć i każdy może słuchając zadawać konkretne, uszczegóławiające pytania. A zatem pytaniem o kluczowym znaczeniu dla tej instytucjonalnej innowacji jest to, czy w ogóle możliwe jest wykorzystywanie deliberacji do procesu podejmowania decyzji w makroskali – w skali całego społeczeństwa i państwa.

W dalszej części niniejszej pracy nie będziemy zajmowali się tą – skądinąd ważną – kwestią, a jeśli tak, to tylko marginalnie. Liczba i ontologiczna różnorodność deliberatywnych innowacji jest bowiem tak wielka, a doświadczenia tak różne, że – póki co – warto skoncentrować się na ich przejawach i efektach stosowania w mikroskali. Kanadyjskie doświadczenia ‘zgrupowań obywatelskich’ (*citizens’ assemblies*) z Kolumbii Brytyjskiej różnią się od brazylijskich partycypacyjnych budżetów zainicjowanych w Porto Alegre, a to wszak całkiem inne inicjatywy niż *AmericaSpeaks*.

Rozważania nad zasadnością stosowania deliberacji ogniskują się wokół kilku zasadniczych kwestii. Po pierwsze, co jest dzięki ich stosowaniu możliwe do osiągnięcia, w szczególności zaś – jaki jest status deliberatywnych „decyzji”? Czy są to ważne konsultacje społeczne, czy raczej ważne „deliberatywnie legitymizowane” decyzje, którym należy się implementacja? Po drugie, i z powyższym związane, czy efektem deliberacji ma być konsensus, tj. czy wszyscy uczestnicy mają zgodzić się na jakieś rozwiązanie, czy też wystarczy zwykła większość – świadomie uzasadniająca jakąś opcję? Problem przy opowiadaniu się za tym ostatnim polega na tym, że – inaczej niż w głosowaniu powszechnym – deliberatywne inicjatywy nie mają (prawe zawsze, poza Fishkinowskimi *deliberative polls*) żadnej legitymizującej podstawy wynikającej z reprezentatywności grupy proponującej jakieś rozwiązanie. Stąd niejako naturalne wydaje się, iż skutkiem deliberacji, w odróżnieniu od głosowania, winien być stan jakiejś powszechnie zaakceptowanej zgody co do proponowanego wyboru drogi postępowania. Po trzecie, należy rozważać także autoteliczną wartość deliberacji. Zakładać bowiem wypada, że w wielu deliberatywnych inicjatywach o zgodę lub inną formę wprowadzania w życie wiążących decyzji może być trudno. Co wtedy? Czy „pogadanie sobie i rozejście się”, zazwyczaj kosztowne i finansowane z publicznych pieniędzy, nie naraża nas na zarzut marnotrawstwa zarówno funduszy, jak i ludzkiej energii? Wielu wskazuje, że nawet jeśli deliberacje nie rozstrzygają poszczególnych kwestii, to klarują je, pozwalają ludziom lepiej poznać swe odmienne opinie i preferencje, a także – co jest istotą większości deliberatywnych inicjatyw – zapoznać się z dokonaniem nauki i poważnej ekspertyzy społecznej. To ostatnie jest niezwykle istotne. Jak wiemy bowiem, większość przeciętnych obywateli, tych

którzy głosując wybierają swych przedstawicieli, dysponuje – spróbujmy być uprzejmi – dość powierzchowną wiedzą o rzeczywistości, a jeszcze częściej „celowo modyfikowaną”, tak to ujmijmy, pod zapotrzebowania wyborcze partii politycznych (Tworzecki, Markowski 2012). Dostęp do bezstronnej eksperytyzy i dokonań naukowych miewa ogromne znaczenie, do tego stopnia, iż jednostki zmieniają pod jej wpływem swe uprzednie przekonania i – co więcej – stają się ważnymi „nosicielami” tej nowo nabytej wiedzy w środowiskach uprzednio stereotypowo nieprzychylnych pewnym rozwiązaniom.

Przypomnijmy w tym miejscu, że demokracja wyborcza tradycyjnie była geograficznie zakorzeniona; inaczej mówiąc, reprezentacja polityczna była związana z terytorium, a w pierwszej fazie demokratyzacji poszczególnych krajów występowała raczej dominacja reguł wyborczych w oparciu o jednomandatowe okręgi wyborcze. W XIX wieku i na początku XX było to bardziej koniecznością niż rzeczywistym wyborem alternatywnych rozwiązań. W okresie braku środków masowego przekazu kontakty międzyludzkie były efektywne na odległość możliwości konia i powozu. Dziś reprezentacja polityczna stała się zdecydowanie bardziej funkcjonalna niż terytorialna. Problem podstaw przedstawicielstwa, a co za tym idzie procedur dobierania „reprezentatywnych prób”, nie musi być dokonywany w oparciu o terytorium, równie dobrze reprezentatywność zapewniana może być za pomocą innych sposobów agregacji demosu. W przeszłości wielokrotnie, głównie w publicystycznej formie, krytykowałem westminsterskie rozwiązanie jednomandatowych okręgów wyborczych w oparciu o zasadę *first-past-the post*, a więc zasadę terytorialnej reprezentacji społeczności lokalnej przez jednego przedstawiciela. Zauważmy

jednocześnie, że współczesny świat odchodzi masowo od tej ordynacji wyborczej, jeśli nie w kierunku czystych systemów proporcjonalnych, to na pewno w kierunku systemów mieszanych typu niemieckiego, a ten w istocie w swych rezultatach jest proporcjonalny właśnie (IDEA; Klingemann 2007). Poruszam ten temat, gdyż jest on ważny dla debaty na temat deliberatywnych inicjatyw z dwóch względów. Pierwszy to taki, że po trzech dekadach intensywnego praktykowania demokratycznych innowacji dochodzimy do pewnej konkluzji, iż nie są one w stanie (ani też nie było to nigdy precyzyjnie zapowiedzianą intencją) zastąpić liberalnej, przedstawicielskiej demokracji makroskali, takiej, jaką znamy i praktykujemy od dziesięcioleci. Owe innowacje są – bardzo pożytecznym – ale jednak tylko uzupełnieniem demokracji przedstawicielskiej. Drugi względ dotyczy jasnej koncepcji sfery publicznej i roli, jaką winny odgrywać poszczególne instytucje życia publicznego w deliberatywnych odmianach demokracji, czego domaga się Habermas (1996). Inni w tym przypadku, mając niemal to samo na myśli, mówią o konieczności istnienia pluralistycznego społeczeństwa obywatelskiego (Manin 1987; Benhabib 1996; Dryzek 2000). Kontrowersyjną kwestią jest rola partii politycznych i parlamentu w deliberatywnej demokracji. Cohen (1997: 31) oraz Young (2000) stwierdzają, że właśnie partie polityczne, zarówno ze względu na swe holistyczne podejście do rzeczywistości, jak i potencjał techniczno-mobilizacyjny, są (lub mogą być) ważnym pośrednikiem i katalizatorem deliberatywnych inicjatyw, także dlatego, że udaje im się sensownie agregować ludzkie preferencje. I tu warto wrócić do kwestii podnoszonych przez Habermasa – z jednej strony siła i waga sfery publicznej polega na jej konstytutywnej, nazwijmy to, chaotyczności i zinstytucjonalizowanym nonkonformizmie, z drugiej jednak luźna jej organizacja

stawia pod znakiem zapytania jej zdolność do wpływania na rządzących. Nikt nie kwestionuje, że podmioty/institucje sfery publicznej mają wpływ na rząd, ale niewielu jest w stanie opisać, w jaki sposób się to odbywa. Niemniej jednak przykłady wielu i to bardzo ważnych kwestii społecznych zostały „dostrzeżone” i nagłośnione właśnie przez owo spontanicznie, oddolnie mobilizowane społeczeństwo obywatelskie, które podnosiło daną kwestię, następnie wykorzystywało media, by ją nagłośnić, a w końcu naciskało, by decydenci wnieśli to na wokandę parlamentu i uchwalili odpowiednie ustawy. A dotyczyło to tak różnych kwestii, jak: inżynieria genetyczna, ochrona środowiska, los kobiet na rynku pracy, zbrojenia etc., etc. Wiele z nich zostało nagłośnionych i rozwiązanych nie dlatego, że rządy wykazywały się w nich nadaktywnością, ale właśnie dlatego, że chaotyczna sfera publiczna skutecznie się tym zajęła.

Zanim przejdziemy do omawiania konkretnych deliberacyjnych innowacji opiszmy pobieżnie podstawowy mechanizm gwarantujący ich praktykowanie. Gibson i Goodin (1999) nazywają go „zasłoną niepewności”¹⁶, a w formie pytajnej sprowadza się do kwestii: dlaczego ludzie są skłonni ze sobą kooperować, skoro w wielu przypadkach jest oczywiste, iż mieliby się znacznie lepiej, gdyby pozostali bierni? Odpowiedź, ta prosta i ta bardziej rozwinięta, zawsze sprowadza się do wskazania na długookresowe zyski odnoszone przez jednostki wtedy, gdy współpracują. Zjawisko to bywa nazywane „cieniem przyszłości”, a polega na powtarzalności ludzkich kontaktów. Dziś współpracujemy z kimś, choć nam

16 W oryginale ta para Autorów używa zwrotu *veil of vagueness*, która to propozycja może być tłumaczona rzecz jasna także nieco inaczej.

na tym nie zależy, bo zakładamy, że w przyszłości możemy chcieć, by ten ktoś z nami współpracował. Nie musi to zresztą dotyczyć konkretnego człowieka. Przyszłość jest niepewna, nie wiemy, kogo, kiedy i w jakich okolicznościach będziemy potrzebować, nie mamy też wiedzy, jakich spraw może to dotyczyć. To, co wiemy z codziennego doświadczenia to to, że istnieją problemy wymagające rozwiązania – od budowy płotu, wyboru lekarza internisty, po konsultacje dotyczące inwestycji lub ochronę środowiska naszego miejsca zamieszkania – w których doradztwo i pomoc innych jest nam bardzo przydatna. Krótko rzecz ujmując, zakładamy, że inni wokół nas są przydatni i warto być dla nich pomocnym oraz wyrażać gotowość do wspólnej pracy na rzecz czegoś, co w danym momencie zazwyczaj nie jest sprecyzowane. My po prostu zgadzamy się zgadzać na współpracę.

Opisany wyżej mechanizm w największym uproszczeniu to jeden z podstawowych elementów wzajemnego zaufania i kapitału społecznego mikroskali; mówi się o nim w kategoriach „grupowego porozumienia”, „orientacji na innych” itp. (Halpern 2005). Poprzez stałe, celowe interakcje z innymi rodzi się poczucie, że ci „inni” stanowią dla nas grupę odniesienia (w bardzo szerokim tego słowa znaczeniu), są ważnymi w naszym życiu ludźmi, którym przyznajemy prawo oczekiwania od nas wyjaśnień, gdy nie jesteśmy w stanie pomóc im w ich oczekiwaniach wobec nas i wobec otoczenia.

Ta potencjalna gotowość do współpracy jest bazowym warunkiem deliberatywnej demokracji. Rozumienie istoty innowacji deliberacyjnych zależy jednak także od „skali” publiczności, w jakiej ma miejsce, a zwłaszcza od charakteru

instytucji (politycznych), w którym procesy te się odbywają. Przypomnijmy, że propagatorzy zwiększenia deliberatywności naszych demokracji mieli w pierwszym rządzie na myśli deliberacje wśród wybieranych przedstawicieli i urzędników podejmujących w imieniu *demosu* decyzje. Podobnie rzecz ujmował autor pojęcia „deliberatywna demokracja”, Joseph Besette (1981; 1994), którego zainteresowania ograniczały się do deliberatywności członków Kongresu USA, a nie całych społeczności. Rawls (1993) przestrzega nas jednak, iż nie chodzi tu o jakiegokolwiek dysputy pojawiające się w sferze publicznej, np. w mediach, a raczej o „publiczne racje”, takie, jakie można najczęściej usłyszeć w uzasadnianiu orzeczeń Sądu Najwyższego. No, ale w koncepcji deliberatywnej demokracji chodzi o to właśnie, żeby to przeciętni, acz zaangażowani obywatele deliberowali. Rawls dodaje – by deliberowali tak, jakby byli sędziami lub ustawodawcami uzasadniającymi swe działania i decyzje.

Deliberatywne innowacje: o założeniach

Jedną z poważniejszych konsekwencji narastania świadomości ograniczeń wynikających z przyjęcia minimalistycznej koncepcji demokracji jest zjawisko, które za Jamesem Bohmanem możemy nazwać „deliberatywnym zwrotem”. Na początek (szczegóły w dalszej części) powiedzmy jedynie, że chodzi tu – w największym uproszczeniu – o to, by ludzie zanim podejmą decyzję rozmawiali ze sobą (wspominane już hasło *first talk, then vote*). W demokracjach ludzie winni mieć – instytucjonalnie zapewnioną – możliwość wymiany ujawniania poglądów, preferencji i ich uzasadnień. Powinni mieć możliwość konwersacji o problemach oraz starać się osiągać zgodę co do

proponowanych rozwiązań. Jest to niezbędne choćby po to, by obywatele o różnych poglądach lepiej siebie nawzajem rozumieli, nawet jeśli nie zawsze osiągną konsensus.

Odmiany deliberatywnych przedsięwzięć są liczne, wielkość grup, które uczestniczą w debatach i wyborze alternatyw, waha się między dziesięć a kilkaset osób; podobnie sama ich struktura organizacyjna. Zawsze jednak chodzi o debatę w sferze publicznej, a obywatele mają – przy pomocy moderatorów, ekspertów i ekspertyz – podejmować decyzje. Status tych decyzji też bywa różny; od roli konsultacyjnej, po prawne zobowiązania. Tak więc owe demokratyczne nowinki dotyczą – na razie – minipubliczności, stosowane są najczęściej na poziomie miast, gmin czy powiatów, choć także stanów. Rzeczowa dyskusja na temat wad i zalet inicjatyw deliberatywnych zmusza nas zatem do zakreślenia granic sfery publicznej oraz do decyzji co do tego, „kto ma prawo mówić”. To ostatnie jest kalką tradycyjnego pytania w demokracjach – „kto ma prawo głosować”. Brak miejsca nie pozwala na zajęcie się szczegółami tego problemu, ale z grubsza wygląda to tak, że w owych publicznych debatach udział biorą „kompetentni obywatele” – tacy, którzy mają coś do powiedzenia, chcą mówić o sprawach publicznych, a jednocześnie są dobierani lub selekcyonowani według specyficznego klucza. Nie może tu bowiem być mowy o socjologicznej reprezentatywności tych grup; są one natomiast (a w każdym razie powinny być) reprezentatywne dla typu i liczby opcji dotyczących danego, zazwyczaj spornego problemu.

Zauważmy jednocześnie, iż współczesne społeczeństwa, zwłaszcza relacje dwóch ich podsystemów: politycznego – demokracji i gospodarczego – rynku, to skomplikowana

maszyna działająca w międzynarodowym otoczeniu. Rynek kieruje się maksymalizacją zysku, a w procedurach demokratycznych to obywatele decydują o legitymizacji poszczególnych posunięć politycznych. Politycy muszą często realizować polityki niepopularne, nastawione na strategiczne osiągnięcie dalekosiężnych celów; muszą myśleć o zaspokajaniu ludzkich potrzeb, czasami wbrew bieżącym oczekiwaniom i zachciankom obywateli.

Nie jest jednak też tak, by obywatele jedynie biernie reagowali na to, co dzieje się na poziomie elit i z instytucjami współczesnych demokracji. Zanim przejdę do omówienia nowatorskich, oddolnych pomysłów obywateli współczesnych demokracji, jak radzić sobie z niewydolnościami tychże, zastanówmy się jednak nad tym, co i w jakim zakresie demokracjom się udało.

Zauważmy na wstępie, że ponad 200 lat funkcjonowania współczesnej demokracji zapisało się dość dobrze w historii ludzkości w porównaniu z innymi modelami systemów politycznych. Obecne zastrzeżenia i kryzys winny być zatem rozpatrywane w tym właśnie kontekście. Być może zatem nie należy poszukiwać całkiem odmiennego ustroju, a starać się jedynie zreformować niektóre normy, procedury i instytucje demokracji przedstawicielskiej. Istotne jest, by zdawać sobie sprawę z tego, co oznacza reformowanie, a co – stworzenie całkiem nowego modelu. Popularny ostatnio angielski termin *chaordic* (połączenie słów *chaos* i *order*), w odniesieniu do stanów tworzenia „nowego”, pojawił się właśnie na określenie kreatywnych inicjatyw nastawionych na zmiany „znanego” w kierunku nowych, skuteczniejszych rozwiązań problemów społecznych. Każde pokolenie musi odkrywać na nowo rzeczy znane poprzednim

i czyni to na swój innowacyjny sposób restylizując „stare”. Innowacje w demokracjach też winny być budowane na szacunku dla modeli zastanych, wykorzystując to, co w nich działało dobrze, a zmieniając elementy felerne.

Niespotykaną w innych systemach politycznych zaletą demokracji jest to, że – nawet w swej niedoskonałej postaci – oferuje drobne rzeczy wszystkim ludziom. Demokracja trwa ze względu na potencjał, jaki niesie: pozwala ludziom decydować o swym losie w sposób elegancki, naprowadza ich uwagę na pożądane style życia i mechanizmy samorządzenia. Co więcej, demokracja to system polityczny, którego trwanie opiera się na ‘przyzwoleniu przegranych’ (*losers consent*); w większości demokracji po wyborach – paradoksalnie – mniej jest tych, którzy wsparli opcję tworzącą rząd, a znacznie więcej przegrywających i zdemobilizowanych. Demokracje muszą zatem dbać o przegrywających, a warunkiem koniecznym wsparcia przegrywających jest zapewnienie ich, że demokratyczna gra – według tych samych zasad – będzie praktykowana w przyszłości, a tym samym, że przegrani będą mieli szansę wygrać. W systemie tym jednostki mogą równie prawomocnie zabierać głos, decydować czy wybierać, jak i powstrzymywać się od uczestnictwa i decydowania (*exit, voice & loyalty*), nie narażając się w przyszłości na pozbawienie tych uprawnień. Współczesne demokracje okazały się być systemami „przyjaznymi uczestnictwu” ludzi w życiu publicznym: niemal wszyscy mogą głosić swe poglądy, wybierać czy być wybieranymi – każdy właściwie może zostać prezydentem. To unikalna cecha historycznie znanych ustrojów. Demokracje sprzyjają także zdrowemu lokalizmowi; dotyczy to w większym stopniu jednych krajów niż innych, ale badacze – od Tocqueville’a po Putnama – podkreślają uniwersal-

ność tej niezwyklej ich cechy pozwalającej ludziom poprzez wspólne działania zwiększać swe możliwości decydowania o otoczeniu oraz kreowania poczucia podmiotowego sprawstwa i kontroli zjawisk. Demokracje sprzyjają ujawnianiu się zjawiska nazywanego „krzyżującymi się interakcjami” – sytuacji, w których nieznanymi obywatele mają możliwości nieskrępowanego wchodzenia w – mniej lub bardziej trwałe – związki poza strukturami hierarchicznymi i narzuconymi kanałami organizacyjnymi. To prowadzi do ujawniania się i doceniania odmienności, a także do nowej jakości wynikającej ze zderzenia odmienności i różnych punktów widzenia. Demokracjom udaje się przy tym zapewnić ludziom jednocześnie członkostwo w grupie społecznej i wolność w przekraczaniu granic grupowych tożsamości. Te doświadczenia w obcowaniu z odmiennością i budowanie związków ponad podziałami prowadzi do kreacji zbiorowej dobrej woli, zaufania społecznego tak potrzebnego dla budowania związków między grupami społecznymi różniącymi się interesami, wartościami, systemami przekonań i ideologiami. Wspólnoty, w których jednostki żyją, pozwalają doświadczać demokracji w skali mikro. To jakość kontaktów we wspólnotach wpływa na wartości, jakie jednostki przypisują demokracji. Wartości są dziedziczone we wspólnotach, ale też praktyka demokracji tworzy normy i wartości przynależne tylko demokracjom.

Demokracjom bardziej niż innym ustrojom udało się precyzyjnie zdefiniować sferę publiczną, sferę o jasnych regułach, przejrzystą i pozwalającą ludziom na aktywność i wyrażanie swych preferencji. Ta przejrzystość sfery publicznej jest niezbędna dla innych cech demokracji – odpowiedzialności i możliwości rozliczania polityków.

W końcu demokracje charakteryzuje stabilność i trwałość procedur, a to ma gwarantować przewidywalność procesów społecznych, zwłaszcza ekonomicznych. Większość procesów politycznych celowo charakteryzuje „sztuczne spowolnienie” lub/i zawilość proceduralna, a to w celu unikania zbyt pochopnych, nieprzemyślanych decyzji, zapewnienie niezbędnego czasu do namysłu, głównie, by chronić prawa mniejszości.

Z grubsza powyższe cechy ustrojowe demokracji udało się w większości z nich zapewnić, choć w niektórych kwestiach, jak choćby ta ostatnia, demokracje różnią się znacznie. Lista takich kwestii powinna uświadomić nam jednocześnie, jak skomplikowanym mechanizmem jest demokracja. Patrząc zwłaszcza na współczesne kraje „imigranckie”, widać, jak wielki potencjał drzemie w demokracjach, miliony ludzi z obcych kultur stają się porządnymi i respektowanymi obywatelami krajów przyjmujących, choć akurat ostatnia dekada ujawnia wiele niedostatków tego procesu, a w niektórych można wręcz mówić o regresie. Podobnie każda sekta religijna czy obyczajowa lub mniejszość skoncentrowana na jednej kwestii ma dostęp do władzy i wpływ na politykę. Możliwe jest to tylko w demokracjach. Tak samo rzecz się ma z proporcjami ludzi konformistycznie przestrzegających norm społecznych, by zapewnić trwanie ładu, jak i tych zachowujących się niekonwencjonalnie nowatorsko, przedsiębiorczych i obrazoburczych, którzy – z kolei – są kontrolowani przez nastawionych egalitarnie i którzy odwołują się do wspólnotowych norm sprawiedliwości społecznej, a więc do siły liczebności konformistów. I tak koło się zamyka.

Demokracja w jej wersji liberalnej uzyskała quasi-sakralny status. Właściwie nie sposób dziś podjąć dyskusji na temat

alternatyw wobec demokracji. A dyskusja taka jest potrzebna. Nie po to, by propagować rozwiązania chińskie czy singapurskie, ale po to, by zachęcić do innowacyjnego myślenia. Eksperymentowanie z tzw. demarchią, *demosophią* czy merytokracją i sortition są najlepszymi przykładami takiej przyjaznej wobec liberalnej demokracji alternatywy.

Co zatem czynić, by z jednej strony zachować niewątpliwe zalety demokracji, a jednocześnie ograniczyć te jej elementy, które ewidentnie są kłopotliwe czy wręcz nieakceptowane przez obywateli?

Innowacje w demokracji

Czym są **innowacje w demokracji** (czasami mowa jest o **demokratycznych innowacjach**) i na czym polega istota „deliberatywnej demokracji”? Przejdźmy najpierw do przedstawienia pewnych fundamentalnych założeń deliberatywnej demokracji (dalej DD), tak jak one są opisywane przez jej prominentnych ambasadorów. W dalszej i końcowej części odniosę się krytycznie, korzystając z prowadzonych badań, do normatywnych założeń tu zaprezentowanych. Zaczniemy od tego, jak zazwyczaj i najprościej definiowane są demokratyczne innowacje. Są to „instytucje specjalnie wymyślane i powołane do życia w celu zwiększenia i pogłębienia uczestnictwa obywateli w procesie politycznego podejmowania decyzji”. A dzieje się to głównie poprzez:

- bezpośrednie zaangażowanie obywateli, zamiast jednostronnej koncentracji na decyzjach wybieranych przedstawicieli;

- instytucjonalizację (wprowadzenie w życie) tych innowacji, włączenie ich w proces strategicznego podejmowania decyzji;
- odchodzenie od korzystania z tradycyjnej instytucjonalnej infrastruktury współczesnej demokracji.

Schemat analityczny wprowadzanych innowacji w demokracji winien w pierwszym rzędzie uwzględniać listę wartości stanowiących o istocie DD. Oto one: (a) inkluzywność (obecność i wpływ), (b) kontrola obywatelska, (c) rozważne oceny (wyważony proces oceniania), (d) przejrzystość (wewnętrzna i zewnętrzna), (e) skuteczność.

O demokracji jednego nie można powiedzieć – że jest ustrojem skostniałym; zawsze była zarówno pojęciem, jak i zjawiskiem, a także ustrojem politycznym o znacznej zmienności – tworem dynamicznym. Historycznych zmian było wiele; najważniejsze to przejście od logiki greckiego państwa-miasta, z dominującymi jego cechami w postaci publicznej troski, wzajemnej znajomości, deliberatywności czy losowania przedstawicieli, po współczesne odmiany państwa narodowego, cech tych nieposiadające. Demokracja zmieniała się także – od suwerena wąsko zdefiniowanego, opartego na męskiej mniejszości, po prawie całkowite włączenie całej dorosłej ludności, obejmując nie tylko kobiety, ale obecnie także całkiem nowo przybyłe grupy etniczne i inne mniejszości. W końcu demokratyczne państwo znacząco poszerzyło swe funkcje – od ograniczonych funkcji „nocnego stróża” pilnującego porządku publicznego i egzekucji praw i należności, po rozbudowane o funkcje socjalne państwo dobrobytu, w którym po raz pierwszy w historii ludzkości

obywatele przestali obawiać się o swą egzystencję biologiczną. Nie sposób wymienić wszystkich przeobrażeń demokracji; demokracja zawsze ewoluowała i nie ma powodu sądzić, że w przyszłości będzie inaczej.

Konieczna jest tu jeszcze jedna uwaga; dotyczy ona Europy. Najogólniej mówiąc: współczesna Europa, jej obywatele oraz elity nie zaakceptują dzisiaj jakiegokolwiek autorytarnej alternatywy dla demokracji. Dopowiedzmy, Europa nie zaakceptuje nawet najbardziej „miękkiego autorytaryzmu”, nawet gdyby miał się okazać – co się zdarza – bardziej efektywny gospodarczo niż demokracja. I to pomimo pojawienia się obywateli niezbyt zadowolonych z codziennego „funkcjonowania” demokracji w ich kraju, choć – jak wspominałem wcześniej – owi „niezadowoleni demokraci” czy „krytyczni obywatele” są w istocie rzeczy tą częścią społeczeństw, która wyraża najwyższą troskę o losy własnej wspólnoty politycznej, ładu społecznego, cywilizowanej gospodarki i dobra publicznego.

Konkludując: jesteśmy wyraźnie skazani na demokrację, co nie musi przerażać, gdyż proliferacja form demokracji jest tak ogromna, że liczni badacze i pilni komentatorzy coraz głośniej nawołują do precyzji w posługiwaniu się tym terminem. Nie bez racji.

Zróznicowanie współczesnych demokracji jest determinowane szeregiem czynników, choć wynika – jak należy sądzić – po prostu z atrakcyjności samego projektu, a także jego adekwatności do natury ludzkiej. Różnorodność realnie istniejących demokracji jest znaczna i wynika także ze specyfiki regionalnej. W konsekwencji na poziomie „modelowym” mowa

jest przynajmniej o kilku jej odmianach: liberalnej, korporacyjnej, socjaldemokratycznej, a ostatnio także o śródziemnomorskiej czy azjatyckiej. Tak wyglądają modele definiowane przez pryzmat typologii państw dobrobytu. Jest to jednak tylko jedno z możliwych podejść, inni korzystają z tradycyjnego przeciwstawienia demokracji przedstawicielskiej demokracji bezpośredniej. Zagadnienie to było poruszane w poprzednich częściach niniejszej pracy.

Rzeczywistość polityczna i refleksja politologiczna ostatniego ćwierćwiecza skupiła się właśnie na tych dwóch modelowych odmianach demokracji. Najpierw poddano ogromnej krytyce funkcjonowanie demokracji przedstawicielskiej, a od początku lat 70. krytyka ta wsparta jest rzetelnie i inwencyjnie prowadzonymi badaniami naukowymi, wskazującymi, iż istotnie jest ona zasadna.

A oto lista tych podstawowych zarzutów wobec demokracji przedstawicielskiej, które innowatorzy, ci, którzy chcą ją zmienić i udoskonalać, przede wszystkim biorą pod uwagę:

- spadek zaufania do instytucji politycznych,
- zmniejszająca się frekwencja wyborcza i uczestnictwo w działaniach politycznych,
- dysproporcjonalność uczestnictwa – rugowanie z życia politycznego i publicznego mniejszości różnego rodzaju oraz ludzi zmarginalizowanych,
- wzrost alienacji i cynizmu politycznego obywateli,
- trudności z politycznym rozliczaniem (*accountability*),
- zanikanie więzi partyjno-społecznych, „rozmarzanie” rozłamów socjopolitycznych,

- utrata legitymizacji systemów politycznych, głównie ze względu na przesunięcie ośrodków decyzyjnych z władzy wybieralnej na inną (dominacja egzekutywy, siła grup interesu, wieloszczeblowość podejmowania decyzji uniemożliwiająca identyfikację odpowiedzialności etc.),
- spadek liczby obywateli chętnych do kandydowania na urzędy.

Powyższa lista odnosi się do niejako „wewnętrznych” problemów funkcjonowania demokracji. Nie mniej ważne są czynniki „zewnętrzne” niekorzystnie wpływające na jakość współczesnych demokracji; oto one:

- globalizacja i jej nierzadko destrukcyjny wpływ na tradycje kulturowe, więzi społeczne, lokalne gospodarki,
- (międzykulturowa) migracja – pojawienie się mas niedostosowanych, „obcych”,
- indywidualizacja życia – zanik wspólnotowych więzi społecznych,
- trendy demograficzne – starzenie się społeczeństw,
- zmiany ekonomiczne prowadzące do znacznego urynkowania relacji społecznych,
- „mediatyzacja”, prowadząca do zanikania prawdziwej, aktywnej opinii publicznej, wzrost znaczenia powierzchowności, PR-zacja polityki, zmniejszanie roli rzeczywistej debaty,
- zmniejszająca się rola państwa, coraz większa niejasność roli i w konsekwencji odpowiedzialności państwa, ze względu na procesy globalizacji, integracji i masowych migracji, ostatnio także terroryzmu,
- (nowe) poczucie zagrożenia wynikające z ww. procesów

oraz samej dynamiki zmian, przekształceń struktury społecznej, demografii i fluktuacji rynku pracy.

Reakcją na niedomagania demokracji liberalnej był głównie wzrost zainteresowania demokracją bezpośrednią. Wzrosło niepomierne zainteresowanie modelem szwajcarskim, tradycją referendalną Kalifornii i innych regionów, gdzie bezpośrednio udział obywateli w podejmowaniu decyzji politycznych został podniesiony do rangi normy politycznej. Model ten posiada niezaprzeczalne zalety, w tym esencjonalną zgodność z naczelną ideą demokracji; wszak demokracja to „głos ludu”. Dość szybko jednak praktyka, a następnie refleksja ekspercka i naukowa wskazała na wiele bardzo poważnych ograniczeń tej wersji demokracji. Omawialiśmy to zagadnienie w poprzednich częściach niniejszej pracy.

Referenda praktykowane obecnie pod wieloma szerokościami geograficznymi nie są już dziś tak bezkrytycznie pojmowane i stosowane jak jeszcze 20 lat temu. Reakcją na to rozczarowanie jest szereg inicjatyw demokratycznych, które pojawiać zaczęły się od początku lat 80., a których istotą było uznanie ogromnego znaczenia wiedzy o sprawach publicznych, ekonomicznych i technologicznych obywateli, jako podstawowego czynnika mogącego wpłynąć na poprawę jakości demokracji. Znane są one głównie pod nazwami: *deliberative democracy*, *sortition*, *demiarchy*, *consensus conferences*, *technological panels*, *citizens juries*, *planning cells* i wieloma innymi.

W ostatnich dwóch, trzech dekadach mamy do czynienia z ogromną liczbą instytucjonalnych innowacji zmierzających do podniesienia jakości demokracji. Patrząc na tę ogromną

CZĘŚĆ TRZECIA

innowacyjność demokracji, warto, jak zawsze gdy mamy do czynienia z widocznymi zamiarami zmiany, zadać sobie kilka ważnych pytań:

- Po co? Czy zmiany są konieczne?
- Kto je inicjuje? Kto jest im przeciwny?
- Gdzie – na jakim szczeblu – są inicjowane?

CZĘŚĆ CZWARTA

DEMOKRACJA XXI WIEKU:
NOWE WYZWANIA
I DELIBERATYWNA
PROPOZYCJA

Pojawiło się szereg nowych zjawisk kreujących swoiste dylematy:

- nowy, wykształcony wyborca oznacza pojawienie się nowych wymagań wobec polityki/polityków, zwłaszcza ich gotowości do dialogu, nacisku na tworzenie instytucji „otwartych” na ich klientów itp.;
- wejście na scenę „niezadowolonych demokratów”/„krytycznych obywateli” – ludzi bardzo silnie, by tak rzec, bezalternatywnie związanych z demokracją, ale aktywnych w patrzeniu politykom na ręce, kreatywnie krytycznych wobec poczynań władzy, zwłaszcza wobec ich przywilejów, skoncentrowanych na pilnowaniu proceduralnej czystości funkcjonowania demokracji;
- owi nowi wykształceni obywatele, wpływając na polityczne decyzje, jednocześnie – paradoksalnie – zwalniają niejako polityków od odpowiedzialności; dylemat zatem polega na tym, jak zwiększając uprawnienia obywateli do współdecydowania, nie zwalniać ich jednocześnie z odpowiedzialności, zachowując współodpowiedzialność polityków?

Na deliberatywne inicjatywy warto jednak spojrzeć z punktu widzenia ich teoretycznych i normatywnych założeń, a także z perspektywy jednego z fundamentalnych założeń tradycyjnej refleksji nad demokracją i demokratycznym obywatelem, a mianowicie z punktu widzenia przekonania o konieczności obywatelskiego zaangażowania i uczestnictwa w procesie politycznym. Wielu współczesnych badaczy i teoretyków demokracji uważa, iż większość problemów i bolączek, a także po

prostu dysfunkcjonalności demokracji bierze się z niezbyt aktywnej postawy obywateli, ich ociągania się wobec uczestnictwa w grupowych przedsięwzięciach (Milbrath & Goel 1977; Verba, Scholzman, Brady 1995; Putnam 2000). Putnam zwłaszcza, poprzez wprowadzenie do obiegu naukowego pojęcia kapitału społecznego, zapożyczonego poniekąd od Jamesa Colemana, jest tu postacią kluczową. Traktuje kapitał społeczny jako rezerwuar oczekiwań, powinności oraz zaufania budowany w codziennych interakcjach wspomagających się nawzajem obywateli. Uważa przy tym, że kapitał społeczny wzmacnia kapitał polityczny obywateli, co ma się dokonywać nie poprzez to, że obywatele będą zastępować władzę, ale dzięki temu, że w interakcjach obywatele nabywają wielu umiejętności społeczno-politycznych, między innymi zdolność klarownego komunikowania swych preferencji. Jego tezy i badania innych w tym nurcie można streścić następująco: członkowie dobrowolnych stowarzyszeń są lepszymi demokratycznymi obywatelami, gdyż są lepiej poinformowani, bardziej respektują proceduralne zasady demokracji, są politycznie wyrobieni oraz politycznie bardziej aktywni. A dzieje się tak dzięki fundamentowi kapitału społecznego – zasadzie powszechnej wzajemności, która rozwija się dzięki wieloletnim doświadczeniom zaufania do ludzi (wszystkich czy większości), których nawet nie znamy, ale z założenia ufamy im, gdyż oczekujemy, że kiedyś w jakiejś sytuacji oni mogą nam zaufać i na nas liczyć. Owa powszechna wzajemność jest ważna także z perspektywy makrosocjalnej – przyczynia się do obniżania kosztów transakcyjnych oraz tarć i konfliktów. W makroskali władza w takiej sytuacji nie musi przeznaczać znacznych środków na – szeroko rozumianą – kontrolę społeczną, bo obywatele ufają sobie nawzajem i instytucjom, z którymi wchodzą w kontakty.

Najprościej rzecz ujmując – takie społeczeństwo jest po prostu lepsze, bo wrażliwe na los innych i bardziej skłonne działać na rzecz interesów innych.

Amitai Etzioni (1996), przywołując przykład demokracji plemienia Navajo, w którym debata na sporny temat toczy się dopóty, dopóki nie zostanie przekonany ostatni członek plemienia i nie zaakceptuje proponowanego rozwiązania problemu, pokazuje, że nie jest to idea li tylko cywilizowanego Zachodu, lecz bardziej uniwersalna cecha gatunku *homo sapiens*. W podobnym duchu można odczytywać prace Amy Gutmann i Dennisa Thompsona (1996), którzy w długim trwaniu problemu upatrują szansy na jego rozwiązania w konsensusowy sposób. Uważają, że właśnie „deliberatywna permanencja”, możliwość stałego uczestniczenia w kontrowersyjnej debacie w końcu doprowadzi do satysfakcjonującego rozwiązania. Obydwie propozycje zakładają konieczność osiągnięcia konsensusu sytuacji, w której obywatele zarówno debatują, jak i ostatecznie podejmują decyzję, co robić. Żadne głosowanie i opieranie się na argumentacji większości ani też inne zinstytucjonalizowane i zapośredniczone przez elity formy decydowania nie wchodzi w grę.

W normatywnie podgrzanej, pozytywnej atmosferze względem demokratycznej deliberacji pojawiają się jeszcze inne argumenty. Zwraca się uwagę na fakt, iż najpowszechniejszy, uniwersalny i dostępny dla każdego akt polityczny – głosowanie jest ze swej istoty najbardziej płytki, prywatny i w pewnym sensie aspołeczny, bo indywidualny, tajny i ukrywany. A tymczasem, powiadają orędownicy deliberatywnego otwarcia, to, co nam jest potrzebne, to wspólnotowe debatowanie, otwarta wymiana argumentów, intensywna ludzka interakcja. I nie chodzi

tu o samą wartość autoteliczną wynikającą z owej intensywności. Niebagatelną wartość ma stanowić – według tej narracji – fakt, iż podejmowane decyzje są lepszej jakości – są trafniejsze. Nie jest to nic nowego, podobne sugestie odnajdujemy u wielu autorów, niekoniecznie bezpośrednio związanych z propagowaniem DD. I tak klasyk, John Rawls (1971: 359 i nast.) wskazuje na jakościową poprawę „stanu rzeczy” w sytuacji, gdy dyskusja i wymiana poglądów po prostu poszerzają spektrum możliwości. Stanowi to jakościowo lepszą podstawę podejmowania decyzji niż gdyby jej dokonywać w samotności lub w ograniczonym (na różne sposoby) gronie osób. Podobnej argumentacji używa Benjamin Page (1996: 1–3), gdy przekonuje, że skoro współczesna polityka i podejmowanie politycznych decyzji odnosi się do niezwykle skomplikowanej materii, a do tego obarczonej znacznym stopniem niepewności, lepiej, gdy decyzje są podejmowane w oparciu o spektrum wiedzy pochodzącej z różnych źródeł i od osób odmiennie usytuowanych w strukturze społecznej i na rynku pracy. Nieco inną argumentacją posługuje się Benjamin Barber (1984), który zwraca uwagę nie tyle na fakt, że ostateczne decyzje są trafniejsze i lepsze, ile – że sama deliberacja uczy ludzi odmienności, wrażliwości na los i preferencje innych, co w sumie prowadzi do wzrostu społecznej tolerancji, poczucia wspólnotowości i myślenia bardziej w kategoriach „my” niż „ja”.

Całkiem odmienne uzasadnienia wagi DD odnajdujemy u takich badaczy i myślicieli, jak Seyla Benhabib (1994), Iris Young (2000) czy Tom Tyler (1990); w ich przypadku chodzi o legitymizację systemu politycznego, a konkretnie (nic nie ujmując wpływowi DD na jakość decyzji) podkreślają oni, że decyzje podejmowane w tym trybie mają większy autorytet, większą

legitymizację niż podejmowane inaczej. Young (2000: 5 i nast.) powiada wprost, że „normatywna legitymizacja demokratycznej decyzji zależy od stopnia, w jakim ci których decyzja dotyczy byli włączeni w proces podejmowania tej decyzji”, a Benhabib (1994: 26) zwraca uwagę na to, że ludzie mogą akceptować decyzje polityczne nawet jeśli mają wątpliwości merytoryczne co do ich trafności, jeśli uważają, że proces ich podejmowania odbywa się zgodnie z przewidzianą procedurą i przy współudziale zainteresowanych obywateli.

Wiele badań empirycznych odnoszących się do związków deliberacji i legitymizacji potwierdza ich istotność. Po pierwsze, wiemy o tym, iż jednostki chcą i lubią mieć możliwość prezentowania swych poglądów w kwestiach podlegających decyzji, nawet jeśli jest ona dla nich ciągle suboptymalna, co potwierdzają także ciekawie skonstruowane eksperymenty psychologiczne (Lind, Tyler 1988; Tyler, Rasinski & Spodick 1985).

W końcu spójrzmy na omawiane tu zagadnienie z nieco bardziej ogólnej, a zarazem teoretycznej perspektywy. Zaangażowanie obywateli w woluntarystyczne stowarzyszenia oraz podejmowanie decyzji politycznych można rozpatrywać z punktu widzenia komunitaryzmu i teoretyków deliberatywnego podejścia. Dla tych pierwszych – komunitarystów – poczucie przynależności do wspólnoty jest po prostu warunkiem deliberacji, wymiany poglądów i wspólnego poszukiwania optymalnych rozwiązań. Bez zaistnienia tego warunku wstępnego nie może być mowy – ich zdaniem – o skutecznej deliberacji (patrz np. Sandel 1996). Dla wielu z nich deliberacja i interakcje z innymi członkami społeczności nie tylko poprawiają jakość decyzji i je legitymizują, ale także przyczyniają się do doskonalenia

całej wspólnoty. Dla tych drugich – „deliberatystów” – co prawda istnienie wspólnoty także jest ważne, ale jeszcze ważniejsza jest istota i charakter ludzkich deliberacji. Najwyraźniej widać to, gdy kontemplujemy myśl Habermasa (1984) w odniesieniu do możliwości osiągnięcia konsensusu przez deliberatywne inicjatywy. Klasyk ten uważa, że konsensus jest możliwy tylko wtedy, jeśli deliberacja będzie się odbywać przez dostatecznie długi czas i po spełnieniu pewnych wymogów. A wymogi te można streścić następująco: po pierwsze, uczestnicy deliberacji powinni być sobie równi, mieć podobny status społeczny; po drugie, ich działania muszą być racjonalne (tzn. oparte na rozumnej, formalnie i logicznie poprawnej analizie); po trzecie, jeśli pojawi się spór na temat tego, co jest, a co nie jest racjonalne, musi on zostać rozstrzygnięty zgodnie z obowiązującymi w nauce standardami dowodzenia prawdziwości tez; po czwarte, błędne informacje o przedmiocie deliberacji oraz niepoprawne wnioskowanie logiczne winno być eliminowane; po piąte, odrzuca się Russowskie założenie istnienia „woli powszechnej” (istniejącej w domyśle, w ukryciu i czekającej na odnalezienie), a przyjmuje pogląd, że istnieje pluralizm i znaczna odmienność ludzkich opinii, preferencji i wartości dotyczących poszczególnych kwestii. To właśnie dzięki sformalizowanym deliberacyjnym zasadom prowadzi do zaistnienia sytuacji otwartego dyskursu kończącego się konsensusem.

Całkiem inaczej, choć z podobną konkluzją, pisze o DD John Dryzek (2000); dla niego – nieco inaczej nazywana – „dyskursywna” demokracja wcale nie musi być oparta na szczególnych restrykcyjnych normy, takich jak te wymagane przez Habermasa. Dryzek uważa, że twórczy chaos, dowcip, niekonwencjonalne pomysły są jak najbardziej potrzebne skutecznej

deliberacji. To właśnie same interakcje międzyludzkie i wymiana opinii – nieograniczanych żadnymi formalnymi regułami – stanowią o wartości osiągniętych kompromisów, a nie przymus determinowany sztywnymi regułami postępowania.

Konkludując: komunitaryści chcą eliminować konflikty poprzez zaprzeczenie ich istnienia lub unikanie dyskusji na tematy kontrowersyjne. „Deliberatyści” uznają istnienie konfliktów, których rozwiązania najlepiej upatrywać w deliberatywnych inicjatywach, choć należy pamiętać o istotnych różnicach między wizją Russowską, Habermasa i Dryzka.

CZEŚĆ PIĄTA

PROPOZYCJE
ZMIAN –
KONKRETNE
INNOWACJE

W niniejszej części nie zajmuję się zmianami poziomu makro, tymi, które wymagają na przykład zmian konstytucyjnych, jak: wprowadzenie systemu prezydenckiego, federalnej struktury państwa czy zmiany ordynacji wyborczej. By była jasność – te makroczynniki są niezwykle istotne dla jakości i sposobu funkcjonowania demokracji, ale jest to inne zagadnienie niż to, na którym tutaj się koncentrujemy.

Na początku pozwolę sobie na zakreslenie charakterystyki prototypu – demokracji deliberatywnej (DD) w jej najbardziej ogólnej formie. Następnie zaś przedstawię kilka rozwiązań szczegółowych wartych – moim zdaniem – zainteresowania Polaków.

ROZDZIAŁ 1.

Założenia ogólne przedsięwzięć demokracji deliberatywnej

Przez demokrację deliberatywną (patrz: www.deliberative-democracy.net) będziemy rozumieć za Joshuą Cohenem (1997: 67) „stowarzyszenie, którego sprawy publiczne zarządzane są poprzez publiczną deliberację jego członków”. Uznaje on pięć cech (a jednocześnie formalnych wymogów DD) za kluczowe: (1) DD to niezależnie istniejąca wspólnota typu stowarzyszeniowego, członkowie której oczekują jej trwania w nieskończoność; (2) traktują oni wagę wolnej deliberacji równych obywateli jako podstawę legitymizacji podejmowanych decyzji; respektują przy tym zinstytucjonalizowaną deliberatywną procedurę jako absolutnie esencjonalną jej cechę; (3) doceniają wagę pluralizmu – członkowie mają (i wiedzą, że mają) odmienne poglądy na wiele spraw i żadne przekonania czy ideały nie są obligatoryjne, poza właśnie samą deliberatywną procedurą rozwiązywania sporów; (4) ze względu na legitymizacyjny aspekt deliberatywnych przedsięwzięć ważne jest, by ujawniać klarowną relację między deliberacją a decyzjami odnośnie do dyskutowanych spraw publicznych; (5) członkowie wspólnoty uznają nawzajem swe „deliberatywne zdolności”, tj. zdolności posługiwania się racjami i argumentami w debacie publicznej oraz logicznymi uzasadnieniami podejmowanych decyzji (Cohen 1997: 72–73).

Oprócz tych niejako **formalnych wymogów** konieczne jest też dopełnienie **proceduralnych wymogów skutecznej**

deliberacji. Chodzi głównie o to, by: (a) deliberatywne przedsięwzięcie było wolne, zarówno w tym sensie, że uczestnicy uważają, iż mogą osiągnąć jakikolwiek konsensus oraz – to bardziej wymagający aspekt wolności – że osiągnięty wynik deliberacji jest dostatecznym powodem, by wszyscy jego postanowień przestrzegali; (b) deliberacja winna być racjonalna, tj. uzasadniana racjami merytorycznymi i klarownymi uzasadnieniami powodów wspierania konkretnego rozwiązania; (c) ideałem deliberatywnej inicjatywy jest to, że strony są sobie – formalnie i materialnie (przedmiotowo) – równe; (d) w końcu deliberacja zmierza do osiągnięcia racjonalnie uzasadnionego konsensusu, dąży do stanu, w którym wszyscy uczestnicy deliberacji są przekonani o słuszności podjętej decyzji i gotowi działać na rzecz jej realizacji (Cohen 1997: 74–75).

Deliberatywne inicjatywy są to zazwyczaj małe (10–20-osobowe) grupy dyskutujące problemy publiczne, sporne kwestie lokalne oraz różne aspekty polityki publicznej. Dobór uczestników takiego przedsięwzięcia jest mieszanką losowości i merytorycznej selekcji. Istnieje tu bowiem swoisty „przymus” bycia osobą kompetentną w omawianych kwestiach. Inicjatywy te są kontynuacją badań naukowych z lat 80., w których testowano zmiany opinii respondentów pod wpływem nowo nabytej wiedzy eksperckiej. Pierwotne *deliberative polls* (Fishkin 1991: 81–104; Fishkin 2003; Luskin, Fishkin, Jowell 2002) to inicjatywy gromadzenia grup – różnej wielkości, w zależności od inicjatywy – w celu omawiania ważnych kwestii publicznych i politycznych oraz badanie postaw (przed i po spotkaniu z ekspertami i zaznajomieniem się z opracowaniami eksperckimi) wobec konkretnych kwestii. Głównym celem DP jest (inaczej niż w inicjatywach mających na celu rozwiązanie konkretnego

problemu) nie tyle osiągnięcie decyzji, ile wkład w zrozumienie przez uczestników natury dylematów przed nimi stojących, zrozumienie racji i postaw innych osób w dylematy te uwikłanych oraz testowanie wpływu, jaki wywiera na uczestników tzw. wiedza ekspercka. A gdy trzeba na ich podstawie podejmować decyzje, to nie odwołują się – jak w przypadku innych inicjatyw deliberacyjnych – do konsensusu lub kompromisu, lecz stosują „normalne”, większościowe głosowanie poszczególnych opcji. Ostatecznie implementowane są te, które zyskują zwyczajną większość. W tym sensie poza zaznajamianiem się – czy jak kto woli „eksperckim przekonywaniem” – z konkretnymi rozwiązaniami, nie ma tu niczego nowego, czego nie znalazłbyśmy z tradycyjnie funkcjonujących mechanizmów demokracji. Większość, po różnych zabiegach na niej czynionych, głosuje i głos ten jest decydujący. Co więcej, w przypadku DP dobór tematów, ich alternatywne opcje determinowane są zazwyczaj niejako z góry, eksperckimi pomysłami lub pomysłami władzy. W przypadku innych deliberacyjnych inicjatyw, typu *citizen juries*, *consensus conferences* itp., zarówno tematyka, jak i istota sporu są bardziej kreowane przez uczestników tychże.

Inicjatywy DD warto rozważać z punktu widzenia czterech kryteriów:

- zakresu włączania obywateli w proces polityczny (*inclusiveness*),
- jakości samej debaty i deliberacji,
- rozwoju obywatelskości jako cechy systemowej demokracji,
- legitymizacji procesu podejmowania decyzji i instytucji politycznych.

Kilka uwag odnośnie do powyższych kryteriów. Po pierwsze, ideałem demokracji jest – rzecz jasna – pełne włączenie wszystkich obywateli w proces politycznego podejmowania decyzji i współodpowiedzialności; „pełne otwarcie” dla wszystkich nie jest jednak możliwe, ani w życiu, ani w deliberatywnych przedsięwzięciach. Dlatego inicjatywy DD starają się zapewnić **społeczną reprezentatywność uczestników**. Do deliberatywnych przedsięwzięć dobierane i wybierane są osoby zainteresowane kwestią sporną, a najlepiej takie, które prezentują jakieś dwie klarownie zarysowane i znane społeczności opcje jakiejś alternatywy, tak by móc rozstrzygnąć spór i zaproponować rozwiązanie. Stąd tak ważne jest, by osoby biorące w nich udział z jednej strony były „przeciętnymi obywatelami” (choć nieraz ponadnormatywnie zaangażowanymi), a z drugiej – by kompetencjami były zbliżone do wiedzy eksperckiej, a w każdym razie dobrze znały szczegóły kontrowersyjnego zagadnienia.

Po drugie, prawdziwa „deliberatywność” ma miejsce, gdy interakcje są: równe, niekontrolowane, kompetentne oraz wolne od zakłamania, zwodzenia, władzy i ukrytych celów strategicznych; innymi słowy – nie są manipulowane. Deliberatywne inicjatywy to forma dialogu politycznego, który przyczynia się do wzajemnego zrozumienia, w którym aktorzy motywowani są i nastawieni na rozwiązywanie konfliktów raczej argumentami niż innymi środkami. By tak się stało, musi być zapewniony pełny dostęp do informacji, obecność zróżnicowania społecznego, w miarę równy wpływ każdego uczestnika (gdy np. tzw. *consensus conferences* są zbyt liczne – całość grupy rozbijana jest na podgrupy). W tym miejscu ważna wydaje się następująca uwaga: wiele przedsięwzięć deliberacyjnych odbywa

się w odosobnieniu – nie ma przy nich kamer telewizyjnych, mikrofonów ani publiczności – tak by uczestnicy nie czuli się skrępowani lub pod presją. Natomiast bardzo rygorystycznie przestrzegana i sformalizowana jest zasada upubliczniania wyników deliberacji, po zakończeniu prac danej inicjatywy. Dlatego tak istotna jest rola zarówno moderatorów, jak i rzeczników medialnych (osób przewidzianych do kontaktów z mediami). Owi moderatorzy zatrudniani są do takich inicjatyw głównie po to, by: a) zapewnić pełne uczestnictwo wszystkim członkom przedsięwzięcia oraz b) nie pozwolić świadkom i ekspertom na manipulację.

Po trzecie, demokracja działa kiepsko, gdy obywatele nie ujawniają swoich preferencji, a opinie i oceny skrywają przed innymi, co jest częstym zjawiskiem w dzisiejszych – zwłaszcza tych mniej dojrzałych – demokracjach przedstawicielskich. Ujawnianie tych opinii jest potrzebne, by – niejako zwrotnie – zapewnić szacunek dla odmiennych opinii innych i poszanowania ich prawa do głosu. Gdy obywatele sami nie mają poczucia, że mogą mówić, nie są skłonni przyznawać tego prawa innym. Wyniki przedsięwzięć DD wskazują na długotrwałe efekty – na poszerzanie horyzontów wiedzy uczestników tych imprez i wzrost tolerancji osób biorących w nich udział.

Po czwarte, istnieje bardzo realna groźba manipulacji i lekceważenia instytucji DD przez podstawowy trzon współczesnych demokracji liberalnych. Groźba tzw. *agenda setting*, zjawiska polegającego na manipulacji zarówno tematem, jak i nagłaśnianymi alternatywnymi jego rozwiązaniami jest najwyższa w fazie (a) wybierania kwestii oraz (b) doboru informacji i „świadków”. Istnieją także poważne obawy, że organa

zlecające takie DD przedsięwzięcia następnie – po ich zakończeniu – z zestawu konkluzji DD będą mogły dowolnie wybierać sobie to, co będzie dla nich wygodne. By tak się nie działo, często – przed rozpoczęciem deliberacji, co jest zazwyczaj znaczącym wydarzeniem lokalnym – spisywane są wstępne umowy, na przykład o tym, iż zlecający urząd godzi się następnie wprowadzać w życie postanowienia inicjatyw DD lub działać zgodnie z ich rekomendacjami lub też, że jeśli nie podejmie takiego działania, to jest zobowiązany publicznie (w lokalnej prasie, radio, telewizji) wyjaśnić, dlaczego nie chce postąpić zgodnie z rekomendacjami deliberatywnego przedsięwzięcia.

Dlatego też dla jego legitymizacji ważne jest, by szersza publiczność wiedziała o danej formie DD, o umowie zawartej z władzami oraz o tym, że właśnie w danym okresie (dniach, tygodniu) inicjatywa taka się odbywa, a także o szczegółowych rekomendacjach podjętych w danej sprawie. W Danii *consensus conferences* odbywają się w budynku parlamentu i są bardzo szeroko nagłośniane w mediach (www.co-intelligence.org/P-CDCs.html).

Jednym z istotniejszych i często zadawanych pytań jest to, czy celem DD jest osiągnięcie pełnego konsensusu? Wskazuje się na szereg zagrożeń, jeśli w rzeczywistości tak miałby wyglądać cel ostateczny. Bardzo istotne jest zatem ujawnienie podziałów między większością a mniejszością i wyklarowanie, na czym polegają różnice, co do których nie udało się osiągnąć konsensusu.

Jednak właśnie Duńczycy, praktykujący „technologiczne panele” czy „konferencje konsensusowe”, uważają, że głos mniejszości – jako *votum separatum* – powinien być dopuszczany tylko w przypadku jaskrawej rozbieżności poglądów; w innych

przypadkach należy się starać osiągać (niemalże „za wszelką cenę”) konsensus. To kwestia wielkiej wagi: czy celem deliberatywnych inicjatyw winno być osiągnięcie konsensusu, czy kompromisu? Dotychczasowa tradycja liberalnej demokracji wskazuje, że założenia o pluralistycznej istocie sfery publicznej skłaniają ku orientacji na kompromis, dodajmy, moralnie akceptowalny kompromis, a więc rezultat, który nie prowadzi do utraty tożsamości przez jednostki zaangażowane w deliberację, do czego może dochodzić, gdy celem przedsięwzięcia jest konsensus. Nie zapominajmy jednak, iż wiele deliberatywnych inicjatyw ma za cel jedynie swoistą konsultację społeczną, a więc ich wyniki wpływają na codzienne funkcjonowanie demokracji przedstawicielskiej poprzez decyzje podejmowane w ciałach legislacyjnych. I tu wyłania się jeszcze jeden istotny problem – jeśli ludzie skłaniani są do „deliberowania” bez konieczności osiągnięcia decyzji wiążącej władzę, to *de facto* – jak głoszą niektórzy (Richardson 2010) – prowadzi to do swoistej nieodpowiedzialnej gadatliwości, bez politycznych konkretów. Richardson poddaje krytyce głównie Fishkinowskie *deliberative polls*, argumentując, że brakuje im „dyscypliny możliwości”, a więc ograniczeń wynikających z tego, co jest realistyczne. Jego zdaniem *deliberative polls* prowadzą do hipokryzji relacji publicznych, gdyż badają jedynie ludzkie życzenia i preferencje, nie uwzględniając, że polityka to podejmowanie decyzji i władza. Zdaniem tegoż Autora jedynie wówczas, gdy proces DD bazuje na mechanizmach wspólnego i kolektywnego podmiotowego sprawstwa (*joint agency*), mamy do czynienia z inicjatywą ceną.

Pamiętajmy jednak, że w inicjatywach tych tkwi swoisty paradoks i immanentna sprzeczność między „deliberatywnością”

a ostatecznym celem, jakim jest osiągnięcie konsensusu. Zbiorowa zgoda oznacza bowiem koniec deliberacji. To ważne, bo polityka wymusza podejmowanie decyzji. Musi istnieć ściśle zarysowane czasowe ograniczenie debat; w rzeczywistej polityce w końcu trzeba się na coś decydować. Jest to sprzeczność między wartością „wzajemnego zrozumienia” a „skutecznością działania”.

ROZDZIAŁ 2.

Przykłady konkretnych demokratycznych innowacji (DI)

Panele technologiczne – Dania

Generalnym uzasadnieniem przeprowadzania paneli technologicznych (PT) (patrz: www.co-intelligence.org/P-DanishTechPanels.html) jest to, że zwiększająca się wszechobecność technologii w naszym codziennym życiu nakazuje czujność; podstawowa kwestia to – jak w demokracji inteligentnie korzystać z naszych obywatelskich uprawnień do technologicznych nowinek?

Głównym problemem zaś jest to, że technologiczne nowinki są dla przeciętnych obywateli nierozpoznawalne – brak im specjalistycznej wiedzy, a zatem i możliwości rzetelnej ich oceny. Wielkie koncerny, producenci i – szerzej – rynek są w stosunku do obywateli w uprzywilejowanej pozycji, dlatego zachodzi konieczność prowadzenia publicznej, zinstytucjonalizowanej i kontrolowanej przez niezależnych ekspertów debaty.

Panele technologiczne to debaty nad określonym problemem prowadzone przez reprezentatywną grupę obywateli, mających dostęp do unikalnej wiedzy i ekspertyz. Wynik ich deliberacji zostaje upubliczniony, a z wnioskami zapoznawany jest rząd oraz opinia publiczna, która jest socjalizowana do wprowadzania w życie rozwiązania danej kwestii.

Organizacja i przebieg paneli technologicznych:

- kilka razy do roku odbywa się debata na różne ważne tematy; do udziału w niej wybieranych jest około 15 obywateli;
- przed samą debatą „15” zapoznaje się z materiałami eksperckimi, naukowymi itd.;
- „15” zleca – jeśli zachodzi taka potrzeba – organizatorom (moderatorom) do wykonania kolejnych prac, na przykład dodatkowe ekspertyzy, przygotowanie listy dodatkowych ekspertów do zaproszenia etc.;
- następują deliberacje, debaty i „przesłuchiwanie” ekspertów pod nadzorem moderatorów;
- debatowanie trwa do czasu osiągnięcia konsensusu;
- następnie spisywane jest „postanowienie-decyzja” w sprawie X;
- „decyzja” ta przekazywana jest – bardzo formalnie i publicznie – rządowi lub władzy lokalnej i opinii publicznej.

Szczegóły procesu paneli technologicznych:

- ogromna waga przywiązywana jest w nich do **bezstronności** procesu – wyeliminowania lobbystów, grup interesu etc.;
- **przekaz:** choć eksperci posiadają wyrafinowaną wiedzę o problemie, to **obywatele winni decydować** strategicznie, jak daną kwestię rozwiązać; skuteczny głos suwerena musi być słyszalny, bo skutki wprowadzania nowych technologii dotyczą społeczeństwa jako całości właśnie;
- nowe technologie o tyle tylko służą społeczeństwu, o ile są zgodne z ludzkimi wartościami, aspiracjami, potrzebami i marzeniami;
- esencją tego rozwiązania jest to, że ostateczna decyzja jest wynikiem **zderzenia wiedzy eksperckiej i wiedzy zdroworozsądkowej obywateli;**

- decyzja ta zostaje podjęta na bazie osiągniętego konsensusu (prawdziwego, a nie opartego na interesownych wymianach, przetargach, jak w polityce parlamentarnej), w wyniku kreatywnego procesu radzenia sobie z konfliktami i sprzecznościami oraz osiągnięcia wyższego poziomu rozumienia problemu.

Tematyka duńskich paneli technologicznych

– istnieje kilka kryteriów doboru tematyki paneli technologicznych:

- musi to być rzeczywiście istniejący problem, musi stanowić problem dla ludzi;
- istnieją sprzeczności w eksperckiej wiedzy dotyczącej tego problemu;
- wybrany problem powinien być możliwy do rozwiązania;
- wiedza o postawach społecznych na dany temat jest słabo rozpoznana.

Przykłady tematów paneli technologicznych z ostatniego dwudziestolecia:

1987 – Technologie genetyczne w przemyśle i rolnictwie

1990 – Zanieczyszczenia powietrza

1993 – Przyszłość samochodów osobowych

1993 – Problemy rozrodczości

1994 – Elektroniczne dowody tożsamości

1996 – Przyszłość rybołówstwa

2000 – Elektroniczny nadzór

2002 – Testowanie naszych genów

Uczestnictwo w decydowaniu o budżecie – *participatory budgeting* (PB)

- **Porto Alegre** (www.participatorybudgeting.org); opis: poziom miejski – Porto Alegre lata 80.; obecnie >300 podobnych inicjatyw w Brazylii oraz kilkadziesiąt w Europie.
- Część budżetu miejskiego – według konkretnych kategorii, zazwyczaj dotyczących inwestycji – oddana zostaje do dyspozycji i decyzji „Zgromadzenia Obywateli” (miasta, dzielnicy).
- PB nie zastępuje Rady Miasta; formalne instytucje i procedury demokratyczne działają tak jak uprzednio.
- „Zgromadzenie Obywateli” wysyła swych przedstawicieli na posiedzenia Rady Miasta, by opiniować wydatki głównej części budżetu.
- W Porto Alegre PB zainicjowane zostały przez lewicę; zorientowane na radzenie sobie z problemami biedy i marginalizacji; ale nie muszą to być projekty „lewicowe”. Dziś wykorzystywane są przez całe spektrum polityczne poszczególnych krajów.
- Pierwsze doświadczenia i eksperymenty dotyczące poziomu, na jakim inicjatywa ta winna być stosowana, wskazują, iż najlepiej sprawdza się na poziomie lokalnym.
- Rada Europy (raport Schmittera) proponuje, by na poziomach wyższych w referendum określać kształt budżetów, na przykład proporcje wydatków na dane cele.

Celem podstawowym PB są oszczędności i bardziej racjonalne wydatkowanie publicznych pieniędzy (sam proces jest jednak kosztowny).

Participatory budgeting stosować należy jako trwałe rozwiązanie, a nie jednorazowy wyskok. Zwłaszcza dlatego, że

celami nadrzędnymi są: po pierwsze, przyczynienie się do wyższej odpowiedzialności obywateli oraz, po drugie, rozwój kapitału ludzkiego i zaufania.

Funkcje, jakie pełni ta innowacja, to:

- zwiększenie transparentności procesów decyzyjnych,
- wzrost legitymizacji przedsięwzięć i władzy w ogóle,
- uczenie obywateli alternatywnego myślenia,
- niwelowanie nierówności,
- ograniczanie korupcji.

Istnieją też wady: (a) PB często kreuje nierealistyczne oczekiwania, (b) w rzeczywistości wiele pomysłów nie zostaje zrealizowanych ze względu na brak aktywizmu społecznego, (c) PB nierzadko podważa legitymizację demokratycznie wybranych władz.

Civilocracy

Civilocracy to demokracja przedstawicielska, która: 1) odnosi się do obywateli i jest dla nich odpowiednia, 2) dotyczy relacji pomiędzy obywatelami oraz relacji między obywatelami a państwem; 3) jest władzą przeciętnych obywateli w normalnym życiu wspólnotowym (www.civilocracy.org).

Proces selekcji przedstawicielstwa w „cywilokracji” rozłożony jest na dwa etapy:

- losowy dobór przedstawicieli publicznych spośród dobrowolnie zgłaszających się kandydatów (*sortition*); stosowane tu metody są podobne do metod loteryjnych (www.sortition.org.uk);

- etap postselekcyjny (*meritocracy*): zastosowanie standaryzowanych testów mierzących, z jednej strony, **umiejętności merytoryczne i poprawnego rozumowania** (*reasoning test*) kandydatów na przedstawicieli, a z drugiej, test określający **etyczne standardy kandydata** (w USA są to testy kwalifikacyjne zaaprobowane przez sądownictwo, a znane jako SAT Reasoning Test – w tym pierwszym przypadku, oraz test MMPI – w tym drugim).

Ów *reasoning test* – jak sama nazwa wskazuje – ma na celu określenie stopnia poprawnego rozumowania i logicznego myślenia kandydatów. Test składa się z trzech sekcji: (a) krytycznego czytania, (b) użytkowej matematyki oraz (c) zdolności pisanania. Test ma kilka wersji, a najbardziej rozbudowana wersja wypełniana jest przez 3 godziny 45 minut.

Test MMPI (*Minnesota Multiphasic Personality Inventory*) służy do wielu celów; używany jest zwłaszcza przy rekrutacji do zawodów wysokiego ryzyka, takich jak: pracownicy elektrowni jądrowych, strażacy, policjanci czy piloci. Używany jest także w procedurach sądowych, do diagnozowania socjopatii, klinicznej depresji itp., a także różnych schorzeń oraz uzależnień. Ponadto wykorzystywany jest w poradnictwie małżeńskim i rodzinnym. Test ten jest: 1) powszechnie używany, 2) prosty (do stosowania niezależnie od poziomu wykształcenia), 3) pozwala na względnie obiektywne orzeczenie o osobowości człowieka i jego problemach. Wersja z 2001 roku zawiera 567 pytań, wypełniany jest przez 60 do 90 minut.

Zastosowanie takich innowacji na poziomie lokalnym (w przyszłości być może na poziomie parlamentu) winno

przynieść wiele korzyści. Po pierwsze, w **proces podejmowania decyzji** i deliberowania o sprawach publicznych **włączona zostaje ogromna liczba osób**. Po drugie, politycy i zawodowi biurokraci zależni są od potężnych grup nacisku, natomiast wybrani merytokratycznie i losowo, na krótki okres, **obywatele mają mniej „strukturalnych” długoterminowych interesów, by wikłać się w niejasne interesy z biznesem**. Po trzecie, **partie nie będą miały interesu w kreowaniu zastępów lojalnych (niekoniecznie mądrych) aparatczyków partyjnych**, bo nie wiadomo – z góry – kto zostanie wyselekcjonowany do sprawowania urzędu. Po czwarte, wyselekcjonowani tylko na pewien czas do pełnienia służby publicznej obywatele po względnie krótkim okresie nadal będą **mieszkańcami danej wspólnoty**, więc ich motywacje, by rzetelnie reprezentować jej interesy, będą wyższe niż motywacje działaczy, lojalność których jest przede wszystkim partyjna. Po piąte, stosowanie owych merytokratycznych wymogów stanowi ogromny impuls edukacyjny dla wszystkich tych, którzy potencjalnie widzą się w przyszłości jako kandydaci na urzędy; i chodzi tu zarówno o wiedzę formalną, jak i mądrość życiową.

Propozycje zmian wyborczych i politycznych

Wprowadzenie rzeczywistej powszechności obywatelstwa (praw politycznych), od urodzenia po śmierć. Uprawnienia do korzystania z głosów dzieci i niepełnoletnich (do określonego wieku) pozostają w dyspozycji rodziców. Rozwiązanie to wydaje się mieć szereg zalet. Po pierwsze, powinno zwiększać międzypokoleniowy polityczny solidaryzm i zapobiegać jaskrawym nadużyciom wykorzystującym pozycję starszych względem młodszych pokoleń. Po drugie, podwyższy to poziom ja-

kości socjalizacji politycznej w rodzinie, nie tylko dzieci, ale także dorosłych. Po trzecie, powinno – choćby pośrednio – wpływać zachęcająco na partycypację wyborczą osób w wieku średnim mających dzieci; zwłaszcza tych posiadających liczne potomstwo, w większości zapewne tych, których pozycja na rynku pracy i w strukturze społecznej nie jest najbardziej eksponowana, a więc powinna zwiększyć się proporcjonalność, a zatem również jakość przedstawicielstwa politycznego.

Uznaniowe głosowanie. W systemach o tzw. listach zamkniętych chodzi głównie o przyzwolecie na większe preferencyjne głosowanie obywateli, na przykład poprzez rangowanie kandydatów, punktowanie stopnia ich akceptacji itp.

Najważniejsza proponowana tu innowacja polega na wprowadzeniu do kart wyborczych tzw. opcji NOTA (z ang. *None-of-the Above*), co po polsku można by tłumaczyć ‘nic z powyższego’ (opcja NZP), a więc opcji pozwalającej aktywnemu politycznie obywatelowi na pójście na wybory i zaznaczenie – jeśli dojdzie do takiego wniosku – że żadna kandydatura licznych partii politycznych mu nie odpowiada. Rozwiązanie to ma nawet większe znaczenie, jeśli dodamy do tego jeszcze jedną inicjatywę, a mianowicie – by wszyscy aktywni wyborcy otrzymywali swoisty voucher – ekwiwalent finansowy swojego głosu przeznaczany na cele polityczne (np. finansowanie konkretnej partii) według własnego uznania. W przypadku zaś owych nieznajdujących nikogo odpowiedniego na listach kandydatów kwoty ich voucherów byłyby przeznaczane na finansowanie nowo powstających partii politycznych, znów według ich uznania.

Inicjatywa ta moim zdaniem warta jest propagowania, gdyż za jednym zamachem pozwalałaby wyrażać polityczną opinię tym, którzy są z systemu partyjnego niezadowoleni w sposób cywilizowany, a z drugiej – stanowiłaby wsparcie dla powstawania politycznych alternatyw nieobecnych do tej pory na scenie politycznej.

‘Mądre głosowanie’ (*smart voting*) (www.vote-smart.org) przy wykorzystaniu nowoczesnych technologii polega głównie na kilku zabiegach. Po pierwsze, na zachęcaniu kandydatów/polityków do wypełniania kwestionariuszy dotyczących ich opinii, postaw, wartości, preferencji i konkretnych rozwiązań z zakresu polityki publicznej, które pomogą wyborcom zorientować się, z kim tak właściwie mają do czynienia i który z kandydatów za czym się opowiada. Po drugie, obywatele wypełniają identyczne kwestionariusze, co przy wykorzystaniu współczesnych technologii komputerowych bardzo sprawnie pozwoli zainteresowanemu obywatelowi dowiedzieć się, który z licznych kandydatów jest mu „najbliższy” i w jakich sprawach.

Bardziej zaawansowane wersje tego pomysłu pozwalają na znacznie więcej. Łącza elektroniczne umożliwiają na przykład prowadzenie debat z wybranym kandydatem, czy to inicjowanych przez obywatela, czy odwrotnie, polityka z dowolnie dobraną grupą obywateli, na przykład z tymi, którzy stanowią jego potencjalne zaplecze, lub wręcz odwrotnie, z tymi, którzy do jego programu nie są przekonani; możliwości jest mnóstwo. Debaty te mogą odbywać się zarówno przed wyborami, jak i po wyborach. Owe łącza pozwalają także obywatelowi na śledzenie głosowań parlamentarnych konkretnych polityków, zwłaszcza ich

„własnych” przedstawicieli i na porównywanie ich z wcześniej deklarowanymi preferencjami i celami zgłaszanymi w trakcie kampanii lub deklarowanymi w owych kwestionariuszach.

Najbardziej zaawansowane wersje umożliwiają skorzystanie z opcji swoistych „sygnałów ostrzegawczych” (np. w postaci wysłanego e-maila lub smsa), że ich przedstawiciel zagłosował niezgodnie z obietnicą. Zaletą takich i podobnych rozwiązań z pewnością jest zwiększenie zarówno świadomości obywateli, trafności ich politycznych wyborów, jak i wzrost odpowiedzialności i rozliczalności polityków.

Obywatelski parlament (*Citizens' Assembly*). Losowo wybrana próbka obywateli, dwukrotnie większa niż liczba parlamentarzystów, wybrana według przyjętej ordynacji wyborczej. Celem tego przedsięwzięcia jest przede wszystkim symultaniczne zajmowanie się pracami parlamentarnymi, dostęp do informacji i służenie pomocą posłom. Grupa ta spotyka się zazwyczaj raz w roku, na około miesiąc i rozpatruje na przykład kontrowersyjne ustawy albo kwestie zaniechane przez parlament, a uważane przez znaczną część społeczeństwa za istotne.

'Kioski demokratyczne' – dobrze rozlokowane centra informacji i dostępu do materiałów eksperckich oraz kontaktu z posłami, służące usprawnieniu przepływu informacji między obywatelami a ich przedstawicielami.

Istnieje również wiele uniwersalnych założeń i zasad wprowadzania zmian z wykorzystaniem deliberatywnych inicjatyw i instytucji. Oto one:

Założenia wprowadzania reform:

Założenie 1: nie ma idealnych rozwiązań, każde winno być dostosowane do lokalnych warunków.

Założenie 2: istnieją potężne siły niechętnie zmianom, trzeba te siły znać.

Założenie 3: należy kreować możliwości inicjatyw, a nie konkretne instytucjonalne rozwiązania.

Założenie 4: cel wprowadzanych zmian musi być jasny.

Założenie 5: propozycje innowacji winny być elastyczne, a ich wdrażanie powinno być swoistym „uczeniem się poprzez działanie”.

Zasady wprowadzania zmian:

- Neutralność – żadna partia/orientacja polityczna nie powinna być wyłącznym beneficjentem zmian; musi istnieć równość zysków wprowadzanych innowacji.
- Wykonalność – ważne jest, kto inicjuje innowacje i kogo doбира sobie za partnerów oraz jak przebiega szersza dyfuzja pomysłu.
- Trafność doboru poziomu wprowadzania inicjatywy – nie na każdym poziomie (gminnym, regionalnym) konkretne pomysły mają taką samą szansę realizacji.

- Implementacja winna być traktowana jako dobrze zaplanowane i kontrolowane eksperymentowanie podlegające profesjonalnej ocenie: najpierw w małej liczbie celowo dobranych miejscowości, następnie, jeśli została pozytywnie oceniona – szerzej.
- Innowacje demokratyczne winny być łatwo (szybko) „wprowadzalne” w życie.

Część z zaprezentowanych tu innowacji demokratycznych nadaje się – co najmniej – do przetestowania w Polsce. Nie widać żadnych powodów, by nie było to możliwe. Wymaga to rzecz jasna solidnego przygotowania, zarówno zaplecza eksperckiego, jak i przedstawicieli władzy lokalnej, aktywistów i społeczników. W początkowej fazie eksperymentalnego wprowadzania tych innowacji należy skorzystać z doświadczeń innych krajów.

CZĘŚĆ SZÓSTA

O TRZECH
FUNDAMENTALNYCH
ASPEKTACH
POLITYKI
I DELIBERACJI

CZĘŚĆ SZÓSTA

Proponuję, abyśmy teraz krótko omówili trzy zagadnienia: po pierwsze, jak wygląda deliberacja z punktu widzenia politycznej wymiany myśli i rozmowy, po drugie, czy i jak rozmowa, zwłaszcza ta w „cztery oczy”, pomaga ludziom zrozumieć innych, oraz po trzecie, czy warto ustalić standardy dyskursu publicznego, a jeśli tak, to na czym one miałyby polegać.

ROZDZIAŁ 1.

Dyskurs polityczny

Na poprzednich stronach omówiliśmy dość szczegółowo zarówno założenia konkretnych inicjatyw deliberyacyjnych, jak i praktykę ich funkcjonowania. Jak pamiętamy, wszystkie te inicjatywy odnoszą się do kwestii politycznych, zazwyczaj mikro-, ewentualnie mezoskali, bardzo rzadko zaś odnoszą się do kwestii makropolitycznych. Wielkim problemem i wyzwaniem dla wielu jest właśnie zadanie przekształcenia mechanizmów deliberacji mikroskali w dotyczącą całego społeczeństwa i problemów politycznych makroskali. W tym miejscu można by przytoczyć powszechnie cytowane zalecenia klasyków demokratycznej deliberacji optujących za tym, by gdy ludzie nie zgadzają się w jakiejś sprawie, „kontynuowali wymianę racji tak długo aż wspólnie osiągną niezbędny kompromis” (Gutmann, Thompson 1996: 1). To *dictum* wyrasta z mądrości zaczerpniętej od samego Rawlsa (1971), który na wielu stronach swego wiekopomnego dzieła uzasadniał, dlaczego dobrze zorganizowana dyskusja wielu osób (a właściwie jej model idealny, by użyć Weberowskiej terminologii) prowadzić winna do poprawnych konkluzji i rozwiązań. Oczywiście chodzi tu o sytuację, w której osoby te kierują się czystymi intencjami i dobrem publicznym. Poprawna konkluzja osiągnana jest z powodu prostego mechanicznego efektu – im więcej ludzi mających różne doświadczenia życiowe i różną wiedzę dzieło się nią z innymi w sposób otwarty, tym większa szansa, że ten zbiorowy wysiłek doprowadzi do bardziej zadowalającego wyniku niż gdyby człowiek działał w pojedynkę lub w małej –

jedno- lub dwuosobowej – grupie. Teza taka sporo zawdzięcza innym myślicielom, od Arystotelesa począwszy, przez Condorceta i Milla, po wielu współczesnych, np. G. H. Meada – wszyscy oni sugerowali, iż istnieje jakaś mądrość różnorodności, a wolność słowa i myśli pozwala łatwiej wychwycić fałszywą opinię wśród opinii prawdziwych. Przywoływani wielokrotnie w niniejszej pracy Gutmann i Thompson (2002: 158–159), by lepiej zrozumieć ten mechanizm, odwołują się do naukowej metafory, gdzie konieczną w deliberacji wzajemność można podstawić pod niezbędną w nauce powtarzalność (możliwość replikacji) jako warunek konieczny dochodzenia do prawdy.

Sam Rawls jednak idzie o krok dalej i oprócz tej epistemologicznej ze swej natury propozycji, sugeruje nam coś więcej. Uważa, że dyskusje między ludźmi nie tylko mechanicznie prowadzą do wyboru właściwej opcji, ale też działają – niejako jakościowo – na każdego z ich uczestników, poszerzają jego horyzonty poprzez konfrontację opinii i argumentację innych, z którymi ten dyskutuje. Pozwala to każdemu uczestnikowi dyskusji postawić się w roli „innego”, zrozumieć zarówno treść proponowanych przez niego rozwiązań, jak i leżące u ich podstaw normatywne założenia. Takie ujęcie deliberacji sytuuje Rawlsa wyraźnie w tradycji George’a Herberta Meada i jego koncepcji interakcjonizmu symbolicznego. Tak więc właściwie mamy dwa aspekty pozytywnych skutków deliberacji – pierwszy polega na mechanicznej agregacji informacji i wiedzy wielu ludzi, których zbiorowa mądrość jest lepsza od mądrości jednostkowej, a drugi wynika z procesów dociekania założeń i uzasadnień proponowanych rozwiązań.

Z punktu widzenia przedsięwzięć deliberatywnych ten drugi aspekt jest dla nas ciekawszy, poświęćmy mu zatem nieco

uwagi. Zacznijmy od „zejścia na ziemię” i powiedzenia sobie, że realia praktyki politycznej najczęściej bywają takie, że sama mechaniczna próba dojścia do rezultatu satysfakcjonującego wszystkich lub większość może być mało realna, zwłaszcza w sytuacjach trwałych podziałów społecznych lub wewnątrz mniejszej wspólnoty lokalnej. W sytuacji ostrego konfliktu i trwałych podziałów deliberatywne inicjatywy winny zmierzać przede wszystkim do tego, by wyjaśniać zwaśnionym stronom założenia i uzasadnienia swoich stanowisk. Deliberacja ma w tym przypadku nie tyle prowadzić bezpośrednio do rozwiązania problemu, ile winna sprzyjać wzajemnemu zrozumieniu podstaw opinii i opowiadania się za konkretnymi rozwiązaniami. Zabieg ten pomaga zneutralizować konfliktowość kwestii, uczynić ją mniej „politycznie wrażliwą”.

Podkreślmy, że podobnie jak w matematyce czy logice, założenia nie podlegają deliberacji i zmianie, one jedynie zostają ujawnione i jako takie podlegają oglądowi i ewentualnemu zrozumieniu, a w każdym razie mają pomóc w zrozumieniu konsekwencji ich przyjęcia. To ważne, bo wtedy strony lepiej rozumieją, o co właściwie chodzi, jakie bazowe wartości kryją się za opowiadaniem się za daną opcją oraz – co niekiedy najważniejsze – że ludzie w ogóle takie założenia w postaci metawartości mają i dlatego obstają przy pewnych rozwiązaniach, gdyż bardzo te wartości cenią. Zadaniem tego ćwiczenia powinno być (choć zazwyczaj nie jest to *explicite* wyłożone) dotarcie do potencjalnie podobnej metawartości i osiągnięcie na tej podstawie porozumienia, jeśli nie co do konkretnego rozwiązania, to co do sposobu radzenia sobie z rozbieżnością preferencji i opinii. Nie zawsze się to uda, z pewnością najczęściej się nie udaje się, ale próbować należy. Może zdarzyć się tak, że po wzajemnym zrozumieniu owych

fundamentalnych preferencji, tych, które stanowią założenia naszych działań, możemy postawić sobie mniej ambitne cele lub ograniczyć dążenia do rozwiązań połowicznych.

Bardziej szczegółowe uzasadnienie sensowności takiego postępowania można odnaleźć w następującej argumentacji (patrz Grice 1975; 1989): rozmawiając, wymieniając opinie z „takimi jak my”, zakładamy, że są oni podobni do nas, dlatego posługujemy się skrótami myślowymi i uproszczeniami w opisie świata, oczekując, że rozumieją oni nasze proste gesty i wypowiedzi. Co ważniejsze, rozmawiając z innymi, komunikujemy im zazwyczaj tylko konkluzje, mówimy im „co jest” i „jak powinno być”, rzadko uzasadniamy swoje opcje. Nie robimy tego z powodów – by tak rzec – oszczędnościowych, ekonomicznych – szkoda dla podobnie myślących ludzi tracić czas na owe skomplikowane uzasadnienia naszych preferencji i opinii. Często jednak zauważamy, że niektóre z owych uproszczeń opisu naszego świata nie trafiają do owych – w założeniu podobnych – innych. To właśnie w takich sytuacjach zaczynamy deliberować, podejmujemy trud zrozumienia, dlaczego ci inni są inni właśnie. Proces ten polega na wzajemnym otwieraniu się i ujawnianiu naszych uzasadnień, założeń i wartości, punktów orientacyjnych naszych przekonań i zachowań. Czyniąc to – i to jest kluczowy element procesu deliberacji – pokazujemy, że nasze opinie i preferencje nie są arbitralne i/lub bezpodstawne, pokazujemy, że o coś ważnego nam chodzi. W procesie tym ujawniamy swoisty „łańcuch rozumowania”, którym się kierujemy, gdy obstajemy przy naszych propozycjach, zapewniając innych o sensowności własnych zachowań.

Co więcej, nawet jeśli w długim procesie deliberacji i argumentowania na rzecz własnej opcji strony dochodzą do wniosku,

że znalazły się w sytuacji patowej, to i tak jest to inna sytuacja niż pierwotny brak jakiegokolwiek zrozumienia. Teraz strony akceptują niemożność rozwiązania problemu, rozumiejąc, dlaczego tak właśnie się dzieje (Sunstein 1996). Dochodzi wtedy do propozycji rozwiązania kwestii prostym głosowaniem większościowym albo – co bywa ciekawym eksperymentem nawet w makroskali, jak np. holenderska filaryzacja życia społecznego końca XIX i pierwszej połowy XX wieku – podejmowana jest decyzja o akceptacji, by zinstytucjonalizować nierozwiązywalne różnice. Tak czy inaczej, po długich deliberacjach i wzajemnym poznawaniu swych racji scenariusz wybuchu otwartego i niepohamowanego konfliktu staje się mało prawdopodobny, co samo w sobie można uznać za osiągnięcie.

Konkludując, deliberacje stanowią ważny aspekt instytucjonalizacji ładu politycznego, nawet jeśli nie przyczyniają się wprost do rozwiązania problemów, a tylko sprzyjają akceptacji różnic.

Zauważmy jednocześnie, że – pomijając normatywny wymóg deliberacji – polityczna mądrość nakazuje niejednokrotnie, by niektórych kwestii po prostu nie ruszać. Dotyczy to zarówno ujawniania prawdziwych faktów politycznie wrażliwych, takich jak społeczno-demograficzny czy etniczny skład ludności kraju, jak i bardziej subiektywnie odczuwanych stanów rzeczy. Odnosi się to też do sytuacji napięcia politycznego. Można wyróżnić sytuacje, gdy podejmowanie tematu jest po prostu pragmatycznie bezsensowne lub/i politycznie zbędne.

Do grupy kwestii bezsensownych należy zaliczyć następujące sytuacje: po pierwsze, debaty na tematy nierozwiązywalne

– istnieje kategoria problemów, których po prostu rozwiązać nie sposób. Skłanianie ludzi, by robili rzeczy, których robić nie chcą, w większości przypadków nie ma sensu. Mądrość polityki publicznej powiada, że „wykonalność jest elementem aspiracji” (Wildavsky 1979) i zdaje się to mieć głęboki sens praktyczny. Po drugie, istnieją kwestie pozostające poza zasięgiem ludzkich wpływów i decyzji. Nie widać specjalnego sensu rozwijania wielkich programów astronomicznych bądź dotyczących na przykład zapobiegania trzęsieniom ziemi, gdyż nasza wiedza i możliwości w tym zakresie są nieadekwatne do problemu. Po trzecie, są kwestie niepodzielne, w przypadku których od początku wiadomo, że warto „zgodzić się na brak zgody”. Należy w takiej sytuacji tworzyć formalnie oddzielne enklawy, w których żyjemy i nawzajem sobie nie przeszkadzamy. I tyle. Po czwarte, istnieją kwestie publiczne niezwykle wrażliwe; takich po prostu nie opłaca się poruszać, gdyż z góry wiadomo, że spowodują jedynie wzrost napięcia. Chodzi tu o takie sytuacje, których rozwiązanie mogłoby oznaczać zaniknięcie danej grupy społecznej opowiadającej się za konkretnym rozwiązaniem. Po piąte, istnieją takie problemy, nagłaśnianie których prowadzi wprost do instynktownego odrzucenia; dotyczy to głównie kwestii tożsamościowych – etnicznych, rasowych czy religijnych. W tym przypadku zazwyczaj język używany do opisu i wyjaśnienia problemu jest nieadekwatny do afektywnego komponentu ludzkich postaw. Czy się tego chce, czy nie omawianie takich problemów dla zainteresowanych może wyglądać na werbalną prowokację. Po szóste, istnieją wrażliwe tematy – Holocaust, styl życia Romów, rola własnej armii w konfliktach zbrojnych względem cywilów „wroga” itp. Po siódme, „tajemnice państwowe” (ściśle zresztą regulowane formalnie) stanowią przykład kwestii, których poruszanie w debacie publicznej ma swe uzasadnione ograniczenia.

Konkludując: warto pamiętać o istnieniu takich jak wyżej wymienione kwestii, poruszanie których w debacie publicznej (a także w deliberatywnych przedsięwzięciach) jest bądź to formalnie, bądź to obyczajowo niewskazane.

ROZDZIAŁ 2.

Personalizacja kontaktów – rozmowy „w cztery oczy”

Przekonanie o tym, że warto rozmawiać towarzyszy i nam, i deliberatywnym przedsięwzięciom od początku. Świadomi jesteśmy także, jak wyłożyliśmy to w ostatniej części poprzedniej sekcji, że są sytuacje i kwestie, poruszanie których nie prowadzi do niczego pożądanego w sferze publicznej i polityce. Należy o tym pamiętać.

„Deliberatywiści” jednak cenią nie tylko rozmowę, ale szczególnie typ rozmowy – kameralną, w małym gronie, a czasami najlepiej po prostu „w cztery oczy”. O co chodzi? Wielu z nich (Cohen 1996; Goodin 2003) uważa, że owe prywatne ponieważ sytuacje najlepiej nadają się do tego, by ujawniać nie tylko swe preferencje, ale także skutecznie wyluszczać założenia i uzasadnienia swego postępowania, preferencji i opinii; a to wszak stanowi istotny element deliberatywnych praktyk. Goodin (2008: 95–107) podaje szereg przykładów, dlaczego i jak rozmowa „w cztery oczy” pomaga ludziom lepiej się zrozumieć, a co ważniejsze – uniknąć nieporozumień wynikających wyłącznie z nieudomówień.

Istotą owych kameralnych rozmów jest to, że dzięki nim poznajemy nie tylko, co inni myślą i chcą robić, ale również – dlaczego. W tym sensie wyrażana jest tu obawa o nieadekwatność prostej mechanicznej agregacji preferencji innych, by zrozumieć, w czym rzecz. Należy ujawniać swe motywy i założenia

zachowań. Gromadzenie i agregacja informacji powinny się bowiem odbywać nie tylko w sposób mechaniczny, ale przede wszystkim dyskursywny. Niech dobry przykład Goodina zobrazuje problem. Autor ten nazywa to zjawisko „niepożądane kaskady” (*unwelcome cascades*). Przez kaskadę rozumie się tutaj sekwencje wydarzeń, z których każde następne jest bardziej przesadzoną ich wersją niż poprzednia. I że większość zaangażowanych osób, patrząc wstecz na to, co się ostatecznie stało, wolałaby wrócić do stanu, w którym wszystko się zaczęło, niż być tam, gdzie się na koniec znaleźli. Załóżmy – powiada Goodin – że mieszkasz w spokojnej dzielnicy Waszyngtonu, znasz swoich sąsiadów dość pobieżnie (spotykacie się tylko okazjonalnie raz w roku, gdy wasza boczna uliczka zamykana jest po to, by odbyć Christmas party lub z podobnej okazji), ale wiesz o nich, że są to ludzie dobrze poinformowani, a jeden – takie jest domniemanie – pracuje dla CIA. Rozmawiacie podczas tego pikniku o różnych rzeczach, wszak jest to grudzień 2011 roku i obawa przed atakami terrorystycznymi znaczna, choć sam nie obawiasz się takowego. Kilka dni później zauważasz, że jeden z dobrze poinformowanych sąsiadów („pewnie wie coś więcej niż pozostali”) zakleił taśmą okna swego domu, a ty słyszałeś, że robią tak niektórzy ludzie obawiający się ataku gazowego terrorystów. Po niejakich wahaniach uznajesz, że skoro dobrze poinformowany sąsiad tak uczynił, to może roztropnie byłoby pójść w jego ślady... Dalej historia toczy się zgodnie z przewidywaniami – następny sąsiad widząc dwa domy w okolicy z zaklejonymi taśmą oknami, robi to samo i kaskada rusza. No, ale jest to okres świąteczny, więc któregoś wieczoru, gdy zapraszasz sąsiadów do swego domu, zaczynacie rozmowy o terrorystach i oczywiście o ewentualności gazowego ataku. Okazuje się, że wiesz tyle samo albo i więcej niż

sąsiedzi o tym zagrożeniu, a oklejanie okien po prostu okazało się bezrefleksyjnym naśladownictwem działań sąsiadów. W końcu mówisz temu pierwszemu, że zakleiłeś okna, bo myślałeś, iż on obawia się ataku gazowego, a ten zwierza się, że zrobił to, gdyż jego żona przeszła ciężkie zapalenie płuc i należało zapobiec przedostawaniu się do domu pyłków pewnego typu (Goodin 2008: 101–103).

Przykład ten mówi nam sporo o kilku sprawach. Po pierwsze, warto rozmawiać; gdyby na samym początku padło proste pytanie o powód zaklejenia okien, nie doszłoby do wysnucia niewłaściwych konkluzji z faktu, któremu przypisano całkiem inne znaczenie niż miał. Po drugie, świadczy on o wyższości dyskursywnego traktowania informacji nad mechanicznym. Po trzecie, liczby mają znaczenie, ale jeszcze większe znaczenie ma przypisywanie osobom kompetencji w danej dziedzinie, wysoka ocena ich prestiżu zawodowego. Głos niekompetentnej większości ma mniejsze znaczenie niż głos mniejszości uchodzącej za kompetentną.

ROZDZIAŁ 3.

Standardy dyskursu publicznego

Deliberatywni demokraci czynią kilka założeń odnoszących się do istoty deliberacji. Z jednej strony, jest to założenie o unitarnym aktorze kierującym się – dodajmy, czytelnym – dobrem publicznym. Z drugiej strony, rzeczywistość polityczna jest jednak nieco odmienna – podmiot deliberujący jest pluralistyczny, a przedmiot debaty kontrowersyjny, choć realizacja wspólnego dobra – przynajmniej werbalnie – potwierdzana przez zaangażowanych aktorów.

Realia polityczne deliberatywnych przedsięwzięć oznaczają jednocześnie, że niezwykle istotne jest wypracowanie pewnego – nazwijmy to – proceduralnego minimum dobrej, skutecznej debaty. Jest ono tym bardziej niezbędne, że sam proces deliberacji jest czasowo zróżnicowany, że istnieją w nim różne fazy i że wobec tego potrzebne jest założenie o potrzebie istnienia „systemu deliberacji” (Mansbridge 1999; także Ferejohn 2008). Owo proceduralne minimum deliberatywnej jakości polega na, po pierwsze, istnieniu powszechnych, wzajemnie zrozumiałych konwencji językowych, po drugie zaś, na niepisanej umowie, że deliberacja jest grą kooperatywną w swym charakterze.

Wymieńmy teraz – za Steenbergenem, Bachtigerem, Sprondlim i Steinerem (2003: 25 i nast.) – wskaźniki deliberacji wysokiej jakości. Oto one:

- 1) otwarte uczestnictwo – każdy kompetentny obywatel powinien mieć prawo do udziału w debacie;
- 2) uzasadnienia twierdzeń i roszczeń – twierdzenia winny być wprowadzane do debaty i krytycznie oceniane w procesie uporządkowanej wymiany informacji i racji; im ściślejsza zależność między założeniami i konkluzjami, tym bardziej niezbędne jest owo spójne uzasadnienie i tym bardziej użyteczne dla deliberacji;
- 3) wzgląd na dobro wspólne, co przejawiać się winno w:
 - (a) istnieniu poczucia empatii, „orientacji na innych” i solidarności pozwalającej uczestnikom na zrozumienie i akceptację potrzeb i aspiracji innych oraz wspólnoty jako całości;
 - (b) uczestnicy walczący o interes własny muszą potrafić udowodnić, że jest on do pogodzenia z owym wspólnym dobrem;
- 4) szacunek uczestników debat dla:
 - (a) potrzeb i praw poszczególnych grup społecznych;
 - (b) zgłaszanych i dyskutowanych żądań, jeśli intersubiektywnie wyglądają na uzasadnione;
 - (c) argumentów i kontrargumentów podnoszonych przez oponentów, które bywają sprzeczne z ich własnymi przekonaniami;
- 5) nastawienie na osiągnięcie – racjonalnie motywowanego – konsensusu; dyskurs winien, przynajmniej w założeniu, dążyć do wzajemnie akceptowanego kompromisowego rozwiązania;
- 6) autentyczność i unikanie oszukiwania w wyrażaniu swych preferencji; preferencje winny być szczere, a nie strategiczne.

Te cechy deliberacji wysokiej jakości nie biorą się znikąd, ich podstawy stanowią ogólniejsze dyrektywy socjotechniczne dotyczące politycznego, i nie tylko, dialogu. Chodzi o tak podstawowe oczekiwania jak to, by: (a) mówić z sensem, (b) przedstawiać sprawy szczerze, językiem prostym i zrozumiałym dla interlokutora, (c) kierować się respektem dla preferencji i opinii innych, (d) wsłuchiwać się uważnie w oczekiwania i uzasadnienia oczekiwań innych, (e) trzymać się istoty sprawy, debatować tylko o konkretnej kwestii, a nie o wszystkich spornych sprawach dzielących strony (Midgaard 1980).

W końcu warto w debatach publicznych kierować się wskazaniem psychotechnicznymi skutecznej konwersacji, w takich sprawach jak na przykład jakość tejże polegająca głównie na tym, by nie mówić rzeczy, w które nie wierzymy, albo wręcz wiemy, że są nieprawdziwe, co także oznacza, by nie stawiać tez, których nie jesteśmy w stanie udowodnić. Chodzi również o to, żeby debatować w taki sposób, by unikać niejasności, skomplikowanego, pokrętnego języka lub żargonu specjalistycznego, starać się mówić skrótowo i w sposób uporządkowany, na przykład przedstawiać kwestie w punktach, najlepiej w podziale na te ważne i mniej ważne. I wreszcie należy starać się przedstawiać sprawę na konkretny temat, a nie tak w ogóle, „żeby było lepiej”, nie starać się zarzucać słuchaczy mnóstwem informacji, wybierać tylko te, które dotyczą sedna sprawy. Wypada starać się poruszać jeden temat w jednym czasie, jeśli to możliwe, dekomponując na logicznie podzielone części zjawisko kompleksowe itd. Jakkolwiek zalecenia te wydają się zdroworozsądkowe i wręcz banalne, uczestniczyłem w życiu w zbyt wielu debatach i radach naukowych, by nie wiedzieć, jak trudno je

CZĘŚĆ SZÓSTA

wypełnić, nawet w środowisku profesjonalnie kształconym do jasności wypowiedzi i klarowności stawianych tez, jak na przykład to naukowe.

CZEŚĆ SIÓDMA

ODMIENNY PUNKT
WIDZENIA:
KRYTYKA ZAŁOŻEŃ
WSPÓŁCZESNEJ
DEMOKRACJI
I RÓŻNYCH ASPEKTÓW
DEMOKRACJI
DELIBERATYWNEJ

Istnieje niemal powszechne politologiczne przekonanie, że ludzie jako obywatele powinni być aktywni politycznie i, co więcej, że im się to podoba, chcą wpływać na politykę, interesować się nią, zabierać głos, spierać się z ludźmi mającymi odmienne poglądy etc., etc. Z drugiej strony, istnieje też powszechna zgoda, iż taki aktywny, politycznie zaangażowany obywatel usprawnia działanie demokratycznego systemu politycznego. I często spotykamy utyskiwanie, że niepokojąco często obywatel ten nie ma możliwości ujawnienia swojego – niejako naturalnego – stanu politycznego zaangażowania, gdyż istnieją – jakoby – systemowe bariery oraz niechęć elit do zachęcania obywateli, by aktywnie (współ)działali w domenie politycznej.

Prowadzone w ostatnich kilkunastu latach badania¹⁷ (Dalager 1996; Eliasoph 1998; Hibbing & Theiss-Morse 2001; 2003) wskazują na konieczność zrewidowania podstawowych założeń o demokratycznym obywatelu, jego politycznych preferencjach, partycypacji w dobrowolnych stowarzyszeniach oraz gotowości i chęci wpływania na polityczne decyzje. W największym skrócie: (1) Amerykanie nie bardzo interesują się polityką, a w każdym razie interesują się znacznie mniej niż zakładano; (2) nie rozumieją szczegółów większości polityk sektorowych; (3) nie lubią biznesu, jego konkretnych interesów i tego, jak wpływa na politykę; (4) nie lubią konfliktów; oraz (5) nie chcą angażować się w politykę. Ich niechęć do polityki

17 Przywoływane w tej części pracy wyniki dotyczą głównie USA, ponieważ jednak cechuje je znaczne zaawansowanie metodologiczne oraz – w istocie – ujawnianie psychologicznych mechanizmów leżących u podstaw opisywanych zjawisk, można zasadnie zakładać, iż „coś podobnego jest na rzeczy” także w innych dojrzałych demokracjach, choć – rzecz jasna – należy to wnikliwie zweryfikować.

polega zarówno na niechęci do aktywnego wpływania na politykę, podejmowania decyzji, jak i na niechęci do zagłębiania się w szczegóły polityk, nie mają też zbyt dużej ochoty na fundamentalny wymóg demokracji – rozliczanie polityków, choć nie wykluczają, że w dość wyjątkowych sytuacjach mogą to zrobić, ale nie bardzo chcą, by było to ich codziennością.

Ale jest coś jeszcze, czego obywatele zdają się nie lubić jeszcze bardziej. To system polityczny, w którym politycy nabijają sobie kiesę z samego powodu zajmowania dominującej pozycji i posiadania dostępu do władzy. To, co wielu uznaje za oznaki chęci obywateli wpływania na władzę i sprawowania kontroli nad nią, jest *de facto* minimalnym oczekiwaniem, by politycy nie wykorzystywali ich.

Uczestnictwo w polityce jest niskie, gdyż ludzie po prostu nie lubią polityki, nawet jej najbardziej pozytywnych przejawów. Oni nie lubią procesu dochodzenia do decyzji w sytuacji rywalizacji spolaryzowanych opcji i w konfliktowej sytuacji. A jest to wszak esencją polityki. Ludzie nie chcą politycznej odpowiedzialności i rozliczania, zdecydowanie wolą, by odpowiedzialność i rozliczanie nie były w ogóle potrzebne. Wiele wskazuje na to, że ludzie chcą takich rządów, które od nich niczego lub niewiele oczekują. Obywatele nie chcą się angażować z dwóch dodatkowych powodów: po pierwsze, dlatego, że wydaje im się (zazwyczaj), iż konflikt jest niepotrzebny albo sztucznie kreowany; po drugie zaś, dlatego, że uważają, iż decyzje polityków zbyt wiele zależą od wpływów biznesu.

Dzieje się tak ponadto ze względu na swoiste strukturalne niedopasowanie tego, czym zajmuje się rząd, do tego, czym interesuje

się przeciętny obywatel. Polega ono – z grubsza – na tym, że rząd zajmuje się wieloma sprawami, natomiast obywatele są faktycznie zainteresowani tylko nielicznymi. Stąd u tych ostatnich powstaje wrażenie, że rząd zajmuje się wieloma kompletnie irrelevantnymi kwestiami, a ogólniej – wrażenie marnotrawstwa czasu, energii i publicznych pieniędzy.

Wróćmy jednak do problemu uczestnictwa obywateli w dobrowolnych stowarzyszeniach. Pionierskie analizy alternatywnych ujęć tego, jak *de facto* funkcjonują takie stowarzyszenia odnajdujemy u Niny Eliasoph (1998), która przekonująco – na przykładzie działań wielu wolontarystycznych stowarzyszeń – wskazuje na specyficzny sposób socjalizacji własnych członków: polega on przede wszystkim na tym, że ich głównym zadaniem jest minimalizacja sporu i zapobieganie otwartym debatom.

W praktyce grupy dobrowolne starają się udowodnić, że odpowiedzialne i skuteczne życie obywatelskie polega na ograniczeniu zakresu ich zainteresowań wyłącznie do rzeczy bezpośrednio ich interesujących (Eliasoph 1998: 83).

Natomiast Diana Mutz (2000) przekonuje nas, iż dobrowolne stowarzyszenia tylko w niewielkim stopniu zezwalają na pluralizm poglądów i dyskutowanie o odmiennościach właśnie dlatego, że są dobrowolne i cechuje je skrajna homogeniczność. Dzieje się tak dlatego, że gdy interakcje międzyludzkie oparte są na autoselekcji, to do udziału w grupie wybierani są podobni do siebie w różnych kwestiach ludzie. Takie stowarzyszenia wzmacniają kapitał spajający kosztem kapitału pomostowego, używając języka Putnama. A zatem wspólnota i poczucie przynależności do niej mogą być znakomitym, gratyfikującym do-

świadczaniem, lecz jeśli jej głównym celem staje się eliminowanie odmienności i kontrola, by kontrowersyjne sprawy nigdy nie pojawiały się w debacie publicznej, wspólnotowość tego typu niczemu sensownemu nie służy. Mówiąc wprost, wiele wskazuje na znaczną dysfunkcjonalność takich grup. Prowadzą one do zamykania się w swym świecie i znacznie ograniczają możliwość rozumienia, a zatem i porozumiewania się z członkami innych grup – podobnie homogenicznych i niechętnych poznawaniu odmiennych stanowisk. One wręcz kreują sytuacje nieporozumień.

Alternatywnie osoby wystawione na konfliktowe sytuacje polityczne wycofują się z nich, na co sugestywnie wskazują inne badania Diany Mutz (2000). Co więcej, osoby te przestają sobie nawzajem ufać, a na dodatek „unikanie polityki” okazuje się całkiem logicznym sposobem zachowania ładu i harmonii społecznej, co zazwyczaj okazuje się dla tych ludzi ważniejsze. Inne badania (Stolle 1998) potwierdzają, że im dłużej ludzie należą do dobrowolnych społecznych stowarzyszeń, tym niższe zaufanie i niższy kapitał polityczny wykazują, są także znacznie mniej gotowi ufać rządowi.

Jeśli spojrzeć na to z drugiej strony – esencja polityki to konflikty i sposoby ich rozwiązywania, a zawsze chodzi o jakieś sprzeczne interesy, nagłośnione i debatowane. Jeśli takowych nie ma, to nie mamy do czynienia z polityką.

Skoro zatem stowarzyszenia dobrowolne nie mogą stanowić płodnej podstawy uprawiania demokratycznej polityki, uwagę skierowano na celowe przedsięwzięcia zwane inicjatywami deliberatywnymi. Ogromnym problemem tych przedsięwzięć

jest to samo, co stanowi problem dla ławników czy ław przysięgłych (w zależności od systemu prawnego orzekania o winie), a mianowicie, które informacje „dopuszczać” jako istotne lub prawdziwe. Inicjatywy deliberatywne muszą być oparte na racjonalnej wiedzy, a nie na emocjonalnych sądach. Tak zakładamy normatywnie, w rzeczywistości jednak najczęściej jest inaczej. Ludzie dość łatwo podlegają manipulacji i naciskowi autorytetów, czego dobitnie uczą nas klasyczne już eksperymenty Ascha czy Milgrama. Dwie dekady temu John Zaller (1992) dołożył jednak dodatkową cegiełkę do kłopotów, które mamy z ludzkimi opiniami i postawami, tę mianowicie, że ludzie odpowiadają na pytania bądź wyrażają opinie dość losowo, w zależności od tego, co akurat mają „na końcu języka”, a właściwie od tego, o czym ostatnio myśleli lub akurat zauważyli w debacie publicznej elit. Co więcej, wielu badaczy podkreśla, iż w trakcie deliberacji z trudem dochodzi do osiągnięcia kompromisu, a znacznie częściej do tzw. efektu polaryzacji, polegającego na tym, że w trakcie debat ludzie przyjmują za swoje bardziej radykalne poglądy, niż mieli pierwotnie.

Wiele badań oraz eksperymentów prowadzonych w ostatnich dwóch dekadach prowadzi do konkluzji mówiącej o deliberacji jako wielce problematycznej metodzie politycznej. Wskazują one, że wcale nie jest tak jak pierwotnie zakładano, iż samo uczestnictwo w debatowaniu i rozstrzyganiu ważnych kwestii kreuje satysfakcję. Po pierwsze, nie widać dowodów na to, by udział w deliberacji prowadził do większej akceptacji zbiorowych decyzji. Po drugie, partycypacyjno-deliberacyjne metody procedowania wcale nie muszą być zgodne z polityczną naturą człowieka, w tym sensie, że oczekiwanie nieraz całkowitej (nadmiernej dla wielu) otwartości i koncentracja na motywach

swych politycznych preferencji niekoniecznie jest psychologicznie przyjemna dla przeciętnego obywatela. Po trzecie, w wielu przypadkach – inaczej niż normatywnie to zakładamy – deliberacja ujawnia i/lub prowadzi do nierówności (najczęściej do wzrostu odczuwania nierówności) oraz do większego niż pierwotnie natężenia konfliktu. Po czwarte, co prawda normatywne założenie głosi, że powolność demokracji jest zamierzona, a jej skomplikowane procedury (takie, jak *checks and balances* czy *veta*) celowo spowalniają podejmowanie decyzji, by decyzje te były przemyślane i racjonalne, ale ludzie tym głównie są sfrustrowani – powolnością zmian i decyzji politycznych, co wynika właśnie bezpośrednio z deliberatywności procesu parlamentarnego. Im bardziej system polityczny nastawiony jest na „dawanie głosu każdemu” obywatelowi, tym mniej jest efektywny, w sensie „produkowania decyzji politycznych”. W końcu, po piąte, deliberacja redukuje satysfakcję obywateli z procesu politycznego, niezależnie od tego, czy w deliberacji osobiście uczestniczą, czy tylko ją oglądają. Tym należy tłumaczyć fakt prawie uniwersalnej prawidłowości, że w krajach demokratycznych jedną z instytucji o najniższym prestiżu i zaufaniu społecznym jest parlament, a stosunkowo większym zaufaniem cieszą się takie instytucje jak Sąd Najwyższy czy Trybunał Konstytucyjny, bo parlamentarne debaty są zazwyczaj regularnie transmitowane i pokazywane obywatelom, a deliberacje Sądu Najwyższego prawie nigdy. Krótko: deliberacja zmniejsza, a nie powiększa satysfakcję z procesu politycznego (Morrell 1999; Mendelberg 2002; Stark 1995).

Podsumowując te krytyczne opinie na temat samej idei deliberacji jako środka poprawiania jakości demokracji i sprawności oraz legitymizacji systemu politycznego, należy stwierdzić,

że wskazują one dość przekonująco, iż kapitał polityczny nie rośnie, gdy ludzie uczestniczą w woluntarystycznych stowarzyszeniach bądź partycypują w inicjatywach deliberatywnych. Istota kapitału politycznego bowiem ma polegać na tym, by obywatele skutecznie radzili sobie z politycznymi konfliktami i rozbieżnością wartości, jakimi się kierują, w sposób prowadzący do ich rozwiązania. Nie ma żadnych powodów, by wierzyć, że skupianie się ludzi w sposób dobrowolny, a więc autoselekcyjny, w homogeniczne grupy obywateli podobnie myślących, nastawionych na rozważanie spraw uniwersalnie akceptowanych lub kwestii niekontrowersyjnych miałyby w jakikolwiek sposób przyczynić się do wzrostu tak rozumianego kapitału politycznego. Podobnie w przypadku inicjatyw deliberatywnych – dlaczego zmuszanie ludzi do stawania twarzą w twarz z innymi mającymi kompletnie inne poglądy na rzeczywistość miałyby przyczynić się do ich zadowolenia z polityki, czynić ich bardziej empatycznymi i oświeconymi obywatelami? Wiele danych wskazuje, że ludzie nie czują się w takich sytuacjach psychicznie komfortowo (Mansbridge 1983; Mutz 1997; Noelle-Neumann 1984).

Powyższy krytyczny przegląd literatury i badań na temat efektów istnienia stowarzyszeń oraz deliberacji nie miał na celu postawienia tezy, iż nie mają one sensu we współczesnej polityce. Raczej chciałem zwrócić uwagę na fakt znacznej złożoności procesów psychologicznych, społecznych i instytucjonalnych leżących u ich podłoża. Zaprezentowane dane z pewnością nakazują umiar w traktowaniu wspólnotowych dobrowolnych zrzeszeń ludzi jako tej formy instytucjonalnej, która sprzyja politycznej efektywności i tworzeniu kapitału politycznego. Stowarzyszenia ze swej istoty grupując ludzi podobnie myślących, nie są w stanie rozstrzygać kwestii konfliktowych i nie należy

tego od nich oczekiwać. Pełnią one za to inne pozytywne funkcje społeczne. Z kolei deliberatywne przedsięwzięcia – którymi głównie jesteśmy tu zainteresowani – wydają się ciągle zbyt wiele wymagające od obywateli, dodajmy – przeciętnych obywateli. Problem w tym, że jeśli staralibyśmy się organizować deliberacje wśród bardziej politycznie wyrobionych i wykształconych obywateli, to mielibyśmy większy kłopot z – i tak dalece umowną – reprezentatywnością ciał deliberujących. A dzieje się tak dlatego, że – jak wielu (najbardziej Hibbing i Theiss-Morse 2003) sugestywnie nas przekonuje – konflikt polityczny w świadomości społecznej jest czymś niepotrzebnym i *per se* złym. Dlatego być może lepiej zmierzać w kierunku ustroju politycznego, w którym obywatele tak wiele nie muszą, raczej są tylko od tego, by pilnować, żeby coś fundamentalnie złego się nie działo, a reszta winna „trafić w ręce” oświeconych elit. No i koło się zamyka. Wszak zapewnienie, by elity były oświecone, kierowały się wyłącznie dobrem wspólnym przy podejmowaniu decyzji, jest problemem i bolączką demokracji od zarania jej dziejów. Nie znaczy to, że należy się poddać.

I właśnie w jakiejś formie mieszanki demokracji liberalnej, przedstawicielskiej z elementami deliberatywności i bezpośrednich, referendalnych rozwiązań należy upatrywać najbardziej efektywnego rozwiązania. Problem w tym, że nie do końca wiemy, jak konfiguracja ta dokładnie miałaby wyglądać. Co więcej, podejrzewać należy brak uniwersalnych rozwiązań, aplikowalnych pod każdą szerokością geograficzną. Państwa o różnej tradycji politycznej winny zapewne mieć specyficzne wymogi także odnośnie do takiej mieszanki.

WAŻNE LINKI

http://accuratedemocracy.com/a_intro.htm
<http://www.archonfung.net/>
<http://www.awakentech.com/AT/Awaken.nsf/d4cbbb795713b-dee882564640074729d/4b21a4c71b4bf809882564a8007ba-a21?OpenDocument>
<http://www.co-intelligence.org/S-Canadaadvrsariesdream.html>
http://www.co-intelligence.org/CIPol_AnticipDemoc.html
<http://www.co-intelligence.org/P-citizenCC.html>
http://www.co-intelligence.org/CIPol_CitznCouncilrs.html
http://www.co-intelligence.org/CIPol_ConsciousDemoc.html
<http://www.co-intelligence.org/P-DanishTechPanels.html>
<http://www.co-intelligence.org/P-dynamicfacilitation.html>
<http://www.co-intelligence.org/S-CIprisonwork.html>
http://www.co-intelligence.org/CIPol_ni4d.html
<http://www.co-intelligence.org/P-scenario-visioning.html>
<http://www.co-intelligence.org/P-wisdomcouncil.html>
<http://www.deliberative-democracy.net/>
<http://www.jefferson-center.org/>
<http://www.parliamentofreligions.org/index.cfm>
<http://www.pewcenter.org/doingcj/speeches/index.html>
<http://www.ucpress.edu/books/pages/8947.php>

BIBLIOGRAFIA

Acemoglu, Daron & James Robinson. 2000. *Political Losers as Barriers to Economic Development*, *American Economic Review*, 90: 126–130.

Alesina, Alberto & Edward Glaeser. 2004. *Fighting Poverty in the US and Europe: A World of Difference*. Oxford: Oxford University Press.

Almond, Gabriel & Sydney Verba. 1963. *The Civic Culture: Political Attitudes and Democracy in Five Nations*. Princeton: Princeton University Press.

Apter, David. 1965. *The Politics of Modernization*. Chicago: University of Chicago Press.

Archer, Ronald. 1995. *Party Strength and Weakness in Columbia's Besieged Democracy*, [w:] S. Mainwaring & T. Scully, eds. *Building Democratic Institutions: Party Systems in Latin America*. Stanford: Stanford University Press.

Barber, Benjamin. 1984. *Strong democracy: participatory politics for a new age*. Berkeley: University of California Press.

Bartels, Larry. 2008. *Unequal Democracy: The Political Economy of the New Gilded Age*. Princeton–London: Princeton University Press.

Bartolini, Stefano & Peter Mair. 1990. *Identity, Competition, and Electoral Availability*. Cambridge: Cambridge University Press.

Beller, Emily & Michael Hout. 2006. *Intergenerational social mobility: the United States in comparative perspective*, *The Future of Children*, 16: 19–31.

Benhabib, Seyla. 1994. *In defense of universalism*, *New German Critique*, 62: 173–189.

Benhabib, Seyla, ed. 1996. *Democracy & Difference*. Princeton: Princeton University Press.

Bernasek, Anna. 2006. *The Rich Spend Just Like Me and You*, *New York Times*, 6 August, 2006.

Bessette, Joseph. 1994. *The Mild Voice of Reason: Deliberative Democracy and American National Government*. Chicago: University of Chicago Press.

Bessette, Joseph & Jeffrey Tulis, eds. 1981. *The Presidency in the constitutional order*. Baton Rouge: Louisiana State University Press.

Birch, Anthony. 2001. *The Concepts and Theories of Modern Democracy*. London: Taylor & Francis Group.

Bohle, Dorothee & Bela Greskovits. 2009. *Varieties of Capitalism and Capitalism «tout court»*, *European Journal of Sociology*, 50: 355–386.

Boix, Carles. 2003. *Democracy and Redistribution*. Cambridge: Cambridge University Press.

Boix, Carles & Susan Stokes. 2003. *Endogenous Democratization*,

World Politics, 55: 517–549.

Bowler, Shaun & Todd Donovan, eds. 1998. *Demanding Choices: Opinion, Voting and Direct Democracy*. Ann Arbor: The University of Michigan Press.

Budge, Ian. 1996. *The New Challenge of Direct Democracy*. Cambridge: Polity Press.

Buhlmann, Marc, Wolfgang Merkel & Bernhard Wessels. 2007. *The Quality of Democracy: Democracy Barometer for Established Democracies*, NCCR democracy 21, Working Paper No. 10.

Castels, Francis. 1996. *Needs-based Strategies of Social Protection in Australia and New Zealand*, [w:] S. Esping-Andersen, ed. *Welfare States in Transition*. London: Sage.

Castels, Francis & Deborah Mitchell. 1993. *Worlds of Welfare and Families of Nations*, [w:] F. Castles, ed. *Families of Nations*. Dartmouth: Aldershot.

Clarke, Harold, Jane Jenson, Lawrence LeDuc & Jon Pammett. 1996. *Absent Mandate: Canadian Electoral Politics in an Era of Restructuring*, 3rd edition. Toronto: Gage.

Cohen, Carl. 1971. *Democracy*. New York: Free Press.

Cohen, Joshua. 1996. *Procedure and Substance in Deliberative Democracy*, [w:] S. Benhabib, ed. *Democracy and Difference: Contesting the Boundaries of the Political*. Princeton: Princeton University Press.

Cohen, Joshua. 1997. *Deliberation and Democratic Legitimacy*, [w:] J. Bohman & W. Rehg, eds. *Deliberative Democracy: Essays on reason and Politics*. Cambridge: MIT Press.

Collier, Ruth & David Collier. 1991. *Shaping the Political Arena*. Princeton: Princeton University Press.

Crouch, Colin. 2005. *Capitalist Diversity and Change*. Oxford: Oxford University Press.

Crozier, Michel, Samuel Huntington & Joji Watanuki. 1975. *The Crisis of Democracy: Report on the Governability of Democracies to the Trilateral Commission*. New York: New York University Press.

Dahl, Robert. 1956. *A Preface to Democratic Theory*. Chicago: University of Chicago Press.

Dahl, Robert. 1961. *Who Governs? Democracy and Power in an American City*. New Haven: Yale University Press.

Dahl, Robert. 1971. *Polyarchy. Participation and Opposition*. New Haven–London: Yale University Press.

Dahl, Robert. 1982. *Dilemmas of Pluralist Democracy: Autonomy vs. Control*. New Haven: Yale University Press.

Dalager, Jon. 1996. *Voters, Issues, and Elections*, *Journal of Politics*, 58: 486–515.

Diamond, Larry & Leonardo Morlino, eds. 2005. *Assessing the Quality of Democracy*. Baltimore: The Johns Hopkins

BIBLIOGRAFIA

University Press.

Downs, Anthony. 1957. *An Economic Theory of Democracy*. New York: Harper & Row.

Dryzek, John. 2000. *Deliberative Democracy and Beyond*. Oxford: Oxford University Press.

Easton, David. 1956. *The Political System*. New York: Knopf.

Easton, David. 1965. *A System Analysis of Political Life*. New York: Wiley.

Eliasoph, Nina. 1998. *Avoiding Politics*. Cambridge: Cambridge University Press.

Emmerson, Donald. 1994. *Region and Recalcitrance: Questioning Democracy in Southeast Asia*, Paper presented at the World Congress of International Political Science Association, Berlin.

Epstein, David, Robert Gates, Jack Goldstone, Ida Kristensen & Sharyn O'Halloran. 2006. *Democratic Transitions*, American Journal of Political Science, 50: 551–569.

Esping-Andersen, Gosta. 1990. *The Three Worlds of Welfare Capitalism*. Princeton: Princeton University Press.

Esping-Andersen, Gosta, ed. 1996. *Welfare States in Transition. Social Security in the New Global Economy*. London: Sage.

Esping-Andersen, Gosta. 1999. *Social Foundations of Postindustrial*

Economies. Oxford: Oxford University Press.

Etzioni, Amitai, ed. 1996. *New Communitarian Thinking: Persons, Virtues, Institutions, and Communities*. Charlottesville: The University Press of Virginia.

Ferejohn, John. 2008. *The Citizens' Assembly Model*, [w:] M. Warren & H. Pierce, eds. *Designing Deliberative Democracy: The British Columbia Citizens' Assembly*. Cambridge: Cambridge University Press.

Fishkin, James. 1991. *Democracy and Deliberation: A New Directions for Democratic Reform*. New Haven–London: Yale University Press.

Fishkin, James. 2003. *Consulting the Public Through Deliberative Polling*, *Journal of Policy Analysis and Management*, 22: 128–133.

Gallagher, Michael & Pier Vincenzo Uleri, eds. 1996. *The Referendum Experience in Europe*. London: Macmillan.

Gibson, Diane & Robert Goodin. 1999. *The Veil of Vagueness*, [w:] M. Egeberg, P. Laegreid, eds. *Organizing Political Institutions*. Oslo: Scandinavian University Press.

Goodin, Robert E. 2003. *Reflective Democracy*. Oxford: Oxford University Press.

Goodin, Robert E. 2008. *Innovating Democracy: Democratic Theory & Practice After the Deliberative Turn*. Oxford: Oxford University Press.

BIBLIOGRAFIA

Grice, Paul. 1975. *Logic and Conversation*, [w:] D. Davidson & G. Harman, eds. *The Logic of Grammar*. Encino: Dickenson Publishing Co.

Grice, Paul. 1989. *Studies in the Way of Words*. Cambridge: Harvard University Press.

Gutmann, Amy & Dennis Thompson. 1996. *Democracy and Disagreement*. Cambridge: Harvard University Press.

Gutmann, Amy & Dennis Thompson. 2002. *Deliberative Democracy Beyond Process*, *Journal of Political Philosophy*, 10: 153–174.

Habermas, Jurgen. 1996. *Between Facts and Norms*. Cambridge: Polity Press.

Hacker, Jacob & Paul Pierson. 2005. *Off Center: The Republican Revolution and the Erosion of American Democracy*. New Haven: Yale University Press.

Hadenius, Axel. 1994. *The Duration of Democracy: Institutional vs. Socio-economic Factors*, [w:] D. Beetham, ed. *Defining and Measuring Democracy*. London: Sage.

Hall, Peter & David Soskice. 2001. *Varieties of Capitalism*. Oxford: Oxford University Press.

Halpern, David. 2005. *Social Capital*. Cambridge: Polity Press.

Hamilton, Alexander, John Jay, James Madison. 1901. *The Federalist*. New York: The Colonial Press.

Hibbing, John & Elizabeth Theiss-Morse, eds. 2001. *What is it about Government that Americans Dislike?*, New York: Cambridge University Press.

Hibbing, John & Elizabeth Theiss-Morse. 2003. *Stealth Democracy: Americans' Beliefs About how Government Should Work*. Cambridge: Cambridge University Press.

Hirschman, Albert. 1970. *Exit, Voice, and Loyalty*. Cambridge: Harvard University Press.

Huntington, Samuel. 1968. *Political Order in Changing Societies*. New Haven: Yale University Press.

Huntington, Samuel. 1991. *The Third Wave. Democratization in the Late Twentieth Century*. Oklahoma: University of Oklahoma Press.

Huntington, Samuel. 1996. *The Clash of Civilizations and the Remaking of World Order*, New York: Simon & Schuster.

IDEA. 2005. *Electoral System Design: The New International IDEA Handbook*. Stockholm: International Idea.

Inglehart, Ronald & Christian Welzel. 2005. *Modernization, Cultural Change and Democracy: The Human Development Sequence*. Cambridge: Cambridge University Press.

Iversen, Torben. 2005. *Capitalism, Democracy and Welfare*. Cambridge: Cambridge University Press.

Jacobs, Lawrence & Theda Skocpol, eds. 2005. *Inequality and*

BIBLIOGRAFIA

American Democracy: What We Know and What We Need to Learn. New York: Russell Sage Foundation.

Johnson, David. 2005. *Richest Are Leaving Even the Rich Far Behind*, New York Times, 5 June, 2005.

Kitching, Gavin. 1983. *Rethinking Socialism: A Theory for a Better Practice*. London: Methuen.

Kitschelt, Herbert, Peter Lange, Gary Marks & John Stephens, eds. 1999. *Continuity and Change in Contemporary Capitalism*. Cambridge: Cambridge University Press.

Kitschelt, Herbert, Zdenka Mansfeldova, Radoslaw Markowski, Gabor Toka. 1999. *Post-communist Party Systems: Competition, Representation and Inter-Party Cooperation*. Cambridge: Cambridge University Press.

Landa, Dimitri & Ethan Kapstein. 2001. *Inequality, Growth, and Democracy*, World Politics, 52: 264–296.

LeDuc, Lawrence. 2003. *The Politics of Direct Democracy: Referendums in Global Perspective*. Toronto: Broadview Press.

LeDuc, Lawrence, Richard Niemi, Pippa Norris. 2002. *Comparing Democracies 2: New Challenges in the Study of Elections and Voting*. London: Sage.

Leibfried, Stephan. 1992. *Towards a European Welfare State*, [w]: Z. Ferge & J. E. Kolberg, eds. *Social Policy in a Changing Europe*. Frankfurt: Campus Verlag.

Levy, Frank & Peter Temin. 2007. *Inequality and Institutions in 20-th Century America*, MIT Department of Economics Working Paper, No. 7–17.

Lijphart, Arend. 1992. *Democratization and Constitutional Choices in Czecho-Slovakia, Hungary and Poland*, Journal of Theoretical Politics, 4: 207–223.

Lizn, Juan J. & Alfred Stepan. 1996. *Problems of Democratic Transition and Consolidation: Southern Europe, South America and Post-Communist Europe*. Baltimore: Johns Hopkins University Press.

Linz, Juan J. & Arturo Valenzuela, eds. 1994. *The Failure of Presidential Democracy*. Baltimore: Johns Hopkins University Press.

Lipset, S. Martin. 1959. *Some Social Requisites of Democracy: Economic Development and Political Legitimacy*, American Political Science Review, 53 (March 1959): 69–105.

Lipset, S. Martin, Stein Rokkan. 1967. *Cleavage Structures, Party Systems, and Voter Alignments*, [w:] S.M. Lipset & S. Rokkan, eds. *Party Systems and Voters Alignments: Cross-National Perspectives*. New York: Free Press.

Luebbert, Gregory. 1991. *Liberalism, Fascism, or Social Democracy: Social Classes and the Political Origins of Regimes in Interwar Europe*. Oxford: Oxford University Press.

Luskin, Robert, James Fishkin, Roger Jowell. 2002. *Considered Opinions: Deliberative Polling in Britain*, British Journal of Political Science, 32: 455–487.

BIBLIOGRAFIA

- Magen, Amichai & Leonardo Morlino, eds. 2009. *International Actors, Democratization and the Rule of Law*. London: Routledge.
- Manin, Bernard. 1987. *On Legitimacy and Political Deliberation*, *Political Theory*, 15: 338–368.
- Manin, Bernard. 1997. *Principles of Representative Government*. Cambridge: Cambridge University Press
- Mansbridge, Jane. 1983. *Beyond Adversary Democracy*. Chicago: University of Chicago Press.
- Mansbridge, Jane. 1999. *Everyday Talk in the Deliberative System*, [w:] S. Macedo, ed. *Deliberative Politics*. Oxford: Oxford University Press.
- Mansbridge, Jane. 2003. *Rethinking Representation*, *American Political Science Review*, 97: 515–528.
- Markowski, Radosław. 2002. *Democratic Consolidation and Accountability: News from Central European Democracies*, [w:] R. Markowski, E. Wnuk-Lipiński, eds. *Transformative Paths in Central and Eastern Europe*. Warszawa: ISP PAN.
- Markowski, Radosław. 2006. *Political Accountability and Institutional Design in New Democracies*, *International Journal of Sociology*, 36: 45–75.
- Markowski, Radosław. 2007. *Representation, Accountability and “Congruent” Electoral Behavior’ in New and Old Democracies*, referat wygłoszony na APSA (Amerykańskie Stowarzyszenie

Nauk Politycznych) Chicago, 30 sierpnia – 2 września 2007 r.

Marshall, T. H. 1963. *Class, Citizenship, and Social Development*. Chicago: University of Chicago Press.

Mendelberg, Tali. 2002. *The Deliberative Citizen: Theory and Evidence*, [w:] M. X. Delli Caprini, L. Huddy, R. Y. Shapiro, eds. *Research in Micropolitics*, vol. 6. New York: Elsevier.

Midgaard, Knut. 1980. *On the Significance of Language and a Richer Concept of Rationality*, [w:] L. Lewin & E. Vedung, eds. *Politics as Rational Action*. Dordrecht: Reidel.

Milbrath, Lester & M.L. Goel. 1977. *Political Participation*. Chicago: Rand McNally.

Moore, Barrington Jr. 1966. *Social Origins of Dictatorship and Democracy: Lord and Peasant in the Making of the Modern World*. Boston: Beacon Press.

Morlino, Leonardo. 2005. *Anchors, Anchoring and Democratic Change*, *Comparative Political Studies*, 38: 743–770.

Morlino, Leonardo. 2011. *Changes for Democracy. Actors, Structures and Processes*. Oxford: Oxford University Press.

Morrell, Michael. 1999. *Citizens' Evaluations of Participatory Democratic Procedures*, *Political Research Quarterly*, 52: 293–322.

Munk, Nina. 2005. *Don't Blink. You'll Miss the 258-th-Richest American*, *New York Times*, 25 September, 2005.

Mutz, Diana, 1997. *Mechanisms of Momentum: Does Thinking Make It So?*, Journal of Politics, 59: 104–125.

Mutz, Diana. 2000. *The Consequences of Cross-Cutting Networks for Political Participation*, referat wygłoszony na dorocznym zjeździe Midwest Political Science Association, Chicago, kwiecień 2000.

Noelle-Neumann, Elisabeth. 1984. *The Spiral of Silence: Public Opinion – Our Social Skin*. Chicago: University of Chicago Press.

O'Donnell, Guillermo. 1994. *Delegative Democracy*, Journal of Democracy, (5) 1: 55–70.

O'Donnell, Guillermo & Philippe Schmitter. 1986. *Transition from Authoritarian Rule: Tentative Conclusions about Uncertain Democracies*. Baltimore: Johns Hopkins University Press.

Ogburn, William. 1922 [1975]. *Hipoteza opóźnienia kulturowego*, [w:] W. Derczyński, A. Jasińska-Kania, J. Szacki, *Elementy teorii socjologicznych*. Warszawa: PWN.

Osberg, Lars, Timothy Smeeding & Jonathan Schwabish. 2004. *Income Distribution and Public Social Expenditure: Theories, Effects and Evidence*, [w:] K. M. Neckerman, ed. *Social Inequality*. New York: Russell Sage Foundation.

Page, Benjamin. 1996. *Who Deliberates?*, Chicago: University of Chicago Press.

Piketty, Thomas & Emmanuel Saez. 2003. *Income Inequality in the*

United States, 1913–1998, Quarterly Journal of Economics, 118: 1–39.

Pitkin, Hannah. 1967. *The Concept of Representation*. Berkeley: University of California Press.

Pontusson, Jonas. 2005. *Inequality and Prosperity: Social Europe vs. Liberal America*. Ithaca, N.Y.: Cornell University Press.

Przeworski, Adam. 1985. *Capitalism and Social Democracy*. Cambridge: Cambridge University Press.

Przeworski, Adam. 1988. *Democracy as a Contingent Outcome of Conflicts*, [w:] J. Elster & R. Slagstad, eds. *Constitutionalism and Democracy*. Cambridge: Cambridge University Press.

Przeworski, Adam. 1991. *Democracy and the Market*. New York: Cambridge University Press.

Przeworski, Adam, Jose Antonio Cheibub, Michael Alvarez & Fernando Limongi. 2000. *Democracy and Development: Political Institutions and Material Well-being in the World, 1950–1990*. Cambridge: Cambridge University Press.

Przeworski, Adam & Fernando Limongi. 1997. *Modernization: Theories and Facts*, World Politics, 49: 155–183.

Putnam, Robert. 1993. *Making Democracy Work: Civic Traditions in Modern Italy*. Princeton: Princeton University Press.

Putnam, Robert. 2000. *Bowling Alone: The Collapse and Revival of American Community*. New York: Simon and Schuster.

Putnam, Robert & Susan Pharr, eds. 2000. *Disaffected Democracies*. Princeton: Princeton University Press.

Rawls, John. 1971. *A Theory of Justice*. Cambridge: Harvard University Press. Vancouver-Toronto: UBC Press.

Rawls, John. 1993. *Political Liberalism*. New York: Columbia University Press.

Richardson, Henry. 2010. *Public Opinion and Popular Will*, [w:] D. Kahane, D. Weinstock, D. Leydet & M. Williams, eds. *Deliberative Democracy in Practice*. Vancouver: UBC Press.

Ringen, Stein. 1987. *The Possibility of Politics*. Oxford: Clarendon Press.

Ringen, Stein. 2007. *What Democracy is For. On Freedom and Moral Government*. Princeton: Princeton University Press.

Rokkan, Stein. 1970. *The growth and structuring of mass politics in Western Europe: Reflections on possible models of explanation*, *Scandinavian Political Studies*, 5: 65–83.

Rostow, Walter. 1960. *The Stages of Economic Growth: A Non-communist Manifesto*. Cambridge: Cambridge University Press.

Rueschemeyer, Dietrich, Huber Evelyne Stephens, John Stephens. 1992. *Capitalist Development & Democracy*. Cambridge: Polity Press.

Ryan, Alan. 1974. *J.S. Mill*. London: Routledge and Kegan Paul.

Sandel, Michael. 1996. *Democracy's Discontent*. Cambridge: Harvard University Press.

Sartori, Giovanni. 1970. *Concept Misformation in Comparative Politics*, *American Political Science Review*, 64 (December 1970).

Sartori, Giovanni. 1987. *The Theory of Democracy Revisited*. Chatham, NJ.: Chatham House.

Schmitter, Philippe. 2005. *The Ambiguous Virtues of Accountability*, [w:] L. Diamond & L. Morlino, eds. *Assessing the Quality of Democracy*. Baltimore: The Johns Hopkins University Press.

Schmitter, Philippe & Terry Lynn Karl. 1991. *What Democracy Is... and Is Not*, *Journal of Democracy*, 2: 75–88.

Schumpeter, Joseph. 1942. *Capitalism, Socialism and Democracy*. New York: Harper.

Sen, Amartya. 1992. *Inequality Reexamined*. Oxford: Oxford University Press.

Skocpol, Theda. 1979. *States and Social Revolutions: A Comparative Analysis of France, Russia, and China*. Cambridge: Cambridge University Press.

Stark, Steven. 1995. *Too Representative Government*, *Atlantic Monthly* (May 1995): 92–106.

Steenbergen, Marco R., André Bächtiger, Markus Spörndli & Jürg Steiner. 2003. *Measuring Political Deliberation. A Discourse Quality*

Index, Comparative European Politics, 1: 21–48.

Stepan, Alfred, Juan J. Linz & Yogendra Yadav. 2010. *Crafting State-Nations*. Baltimore: The Johns Hopkins University Press.

Stolle, Dietland. 1998. *Bowling Together, Bowling Alone: The Development of Generalized Trust in Voluntary Associations*, *Political Psychology*, 19: 497–526.

Sunstein, Cass. 1996. *Legal Reasoning and Political Conflict*. Oxford: Oxford University Press.

Tworzecki, Hubert & Radosław Markowski. 2012. *Wiedza a stronniczość partyjna: niełatwy związek*, *Studia Polityczne*, 28: 87–112.

Tyler, Tom. 1990. *Why People Obey the Law*. New Haven: Yale University Press.

Verba, Sidney & Garry Orren. 1985. *Equality in America: The View from the Top*. Cambridge: Harvard University Press.

Verba, Sidney, Kay Lehman Scholzman & Henry Brady. 1995. *Voice and Equality*. Cambridge: Harvard University Press.

Weber, Max. 1972. *Politics as a vocation*, [w:] H. Gerth & C.W. Mills, eds. *From Max Weber*. New York: Oxford University Press.

Weber, Max. 1978. *Economy and Society*, vol. II. Berkeley: University of California Press.

Wildavsky, Aaron. 1979. *Speaking Truth to Power: The Art and Craft of Policy Analysis*. Boston: Little, Brown.

Wilkinson, Richard & Kate Pickett. 2009. *The Spirit Level: Why More Equal Societies Almost Always Do Better*. London: Allen Lane.

Young, Iris. 1990. *Justice and the Politics of Difference*. Princeton: Princeton University Press.

Young, Iris. 2000. *Inclusion and Democracy*. Oxford: Oxford University Press.

Zaller, John. 1992. *The Nature and Origins of Mass Opinion*. Cambridge: Cambridge University Press.

NOTA O AUTORZE


Radosław Markowski

- politolog, dyrektor Centrum Studiów nad Demokracją Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej oraz kierownik Polskiego Generalnego Studium Wyborczego afiliowanego przy Polskiej Akademii Nauk. Członek rad redakcyjnych kilku międzynarodowych czasopism naukowych, w tym takich jak „European Journal of Political Research”, „Political Studies” czy „European Union Politics”. Kierownik wielu międzynarodowych porównawczych projektów politologicznych realizowanych w ramach funduszy Programów Ramowych 6 i 7, członek komitetu zarządzającego projektu „Comparative Study of Electoral Systems”. Nagrodzony w 2000 roku przez APSA (Amerykańskie Stowarzyszenie Nauk Politycznych) za najlepszy projekt z dziedziny politologii porównawczej oraz Nagrodą im. Stefana Nowaka w 2007 roku. Beneficjent licznych grantów NCN. Visiting Professor takich uczelni jak Duke, Wisconsin-Madison, Rutgers oraz Central European University. Visiting Scholar Netherlands Institute of Advanced Studies (NIAS), Wissenschaftszentrum Berlin (WZB), Institute of Human Sciences (IWM). Kilkadziesiąt artykułów w międzynarodowych czasopismach, książki i rozdziały książek wydanych przez Cambridge University Press, Oxford University Press, Manchester University Press, Sage, Palgrave Macmillan. Najważniejsza publikacja *Post-communist Party Systems: Competition, Representation and Inter-party Cooperation*, Cambridge University Press 1999 (współautor).



Radosław Markowski

- politolog, dyrektor Centrum Studiów
nad Demokracją Szkoły Wyższej
Psychologii Społecznej
oraz kierownik Polskiego Generalnego
Studium Wyborczego afiliowanego
przy Polskiej Akademii Nauk



Instytut Obywatelski to think tank polityczny. Stanowi eksperckie zaplecze partii Platforma Obywatelska RP. Instytut jest ośrodkiem badawczo-analitycznym. Prowadzi działalność ekspercką, wydawniczą i edukacyjną. Działa od marca 2010 roku. Motto działalności IO sprowadza się do hasła: *Myślimy, by działać. Działamy, by zmieniać.*

Naszym celem jest:

- promowanie i upowszechnianie idei społeczeństwa obywatelskiego
- rozpoznawanie czynników negatywnych dla jakości życia społecznego
- podnoszenie poziomu jakości debaty publicznej
- tworzenie mechanizmów rozwijających współpracę pomiędzy politykami różnych szczebli, przedstawicielami mediów i obywatelami

Instytut Obywatelski realizuje swoje cele poprzez:

- inicjowanie debat społecznych
- przygotowywanie raportów i analiz
- organizowanie konferencji, szkoleń, odczytów, warsztatów
- nawiązywanie współpracy z polskimi oraz zagranicznymi organizacjami, fundacjami i stowarzyszeniami

www.instytutobywatelski.pl